



**ŚMIERĆ**

**GURU**

Niezwykła, lecz prawdziwa opowieść  
o człowieku poszukującym prawdy

**Rabi R. Maharaj**

Tytuł oryginału angielskiego

*The Death of a Guru*

© Rabi R. Maharaj

© Copyright for Polish Edition by Kazimierz Krystoń

Tłumaczyli

Izabella i Arkadiusz Budziszewscy

Redaktor

Kazimierz Krystoń

Wydawca

„E&A” Biuro Handlowo-Inwestycyjne

ul. Ostrobramska 30/1 60-122 Poznań

ISBN 82-00-03359-9

*Niniejsza książka dedykowana jest Tobie, Czytelniku*

# *Spis treści*

Prolog.....	5
Korzenie bramina.....	8
Śmierć awatara.....	20
<i>Prochy w Gangesie</i> .....	27
Karma i przeznaczenie .....	39
Młody guru.....	59
Śiwa i ja.....	64
Święta krowa! .....	73
Bogacz i biedak.....	78
Nieznany Bóg.....	86
„I ty nim jesteś!" .....	89
Puja guru .....	95
Karma i łaska .....	104
Oświecenie!.....	110
Śmierć Guru .....	114
Nowy początek.....	127
Powitanie i pożegnanie .....	140
Tam, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem.....	148
Umierając żyjemy .....	158
„Nowe życie" .....	168
Epilog.....	185
Słownik .....	192

# Prolog

Nie można powiedzieć, by moje aresztowanie tego wietrznego poranka w listopadzie 1975, kiedy to próbowałem przekroczyć granicę pakistańsko-indyjską, było dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Zdawałem sobie dobrze sprawę z ryzyka, lecz misja moja była tak ważna, że wahanie nie wchodziło tutaj w grę. W tej chwili nie wynikłoby już nic dobrego z martwienia się czymś, co mogło okazać się tylko krótkim opóźnieniem... albo tą nieuniknioną rzeczą, której się na poły spodziewałem.

Podczas gdy sprawdzane były moje dokumenty, rozkazano mi poczekać na zewnątrz. W czasie tych dziesięciu minut, kiedy chodziłem powoli tam i z powrotem przed punktem granicznym pod chłodnym spojrzeniem kilku strażników, zacząłem domyślać się, co mnie czekało. Im dłużej czekałem, tym większą miałem pewność.

Zajęty moimi myślami, prawie nie zauważyłem podchodzącego do mnie oficera.

— Czy pan Rabindranath Maharaj? — zapytał, porównując fotografię w moim paszporcie z moim brodatym obliczem. Wydawało się, że myśli: „Dlaczego ta broda?”. Albo może było to: „Oczywiście, broda!”.

— Tak, to ja — uśmiechnąłem się miło. Była to naturalna reakcja, oczekiwali jej moi przyjaciele i często komentowali. Taak, Rabi to taki sympatyczny facet. „Nawet w sytuacji takiej, jak ta” — pomyślałem. Wewnątrz jednak nie było mi do śmiechu.

— Proszę ze mną! — obrócił się nagle i skinął, bym za nim poszedł.

Gdy wszedłem do niskiego, drewnianego budynku skierowano mnie do znajdującego się na tyłach pomieszczenia, gdzie oczekiwało mnie jeszcze kilku odzianych w mundury urzędników o groźnym wyrazie twarzy. To właśnie tam, z dala od oczu tych nielicznych turystów, którzy po krótkim oczekiwaniu przekraczali granicę w obu kierunkach, usłyszałem przyprawiające o dreszcz, choć poniekąd oczekiwane słowa: „Jest pan aresztowany!” Jakgdyby po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, jak złowrogo potyskuje chłodny metal pistoletów noszonych przez każdego z otaczających mnie mężczyzn.

— Dlaczego szpieguje pan na rzecz indyjskiego rządu? — pytanie padło z ust starszego oficera siedzącego za biurkiem.

— Ależ ja nie szpieguję! — zaprotestowałem.

— I myśli pan, że w to uwierzimy, co? — powiedział śmiejąc się sarkastycznie. — Czy naprawdę wyobrażał pan sobie, że pozwolimy mu opuścić kraj?

Byłem oczywiście obywatelem Indii, a obywatele tego kraju nie podróżowali po Pakistanie — nie było to przynajmniej normalne. Miliony ludzi uciekło z tego wrogiego kraju po tym, jak w wyniku podziału znalazł się on pod kontrolą muzułmanów, a tysiące zabijano brutalnie nawet podczas próby ucieczki. Po drugiej stronie granicy Hindusi dokonywali rzezi tysięcy muzułmanów w czasie, gdy miliony tych ostatnich opuszczały Indie udając się do miejsca schronienia, przygotowanego im przez Brytyjczyków kończących ostatni akt przed oddaniem kontroli nad tą ogromną częścią swego kurczącego się imperium. Od czasu podziału miały miejsce liczne potyczki graniczne między oddziałami indyjskimi a pakistańskimi; a ostatnia interwencja Indii w wojnie między Wschodnim a Zachodnim Pakistanem, której wynikiem była niepodległość Bangladeszu, nigdy nie miała być przebaczona lub zapomniana. Żaden znajdujący się przy zdrowych zmysłach Hindus nie wkroczyłby na tak wrogie terytorium, chyba że miałby do spełnienia jakąś szczególną misję. Tak właśnie myśleli przesłuchujący mnie ludzie, i faktycznie mieli rację.

Dawali mi do zrozumienia, że istniały obciążające mnie dowody, lecz nie zostały one przedstawione. Było to elementem gry, a ja zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że nie mogło być żadnej obrony na jakiegokolwiek postawione przez nich zarzuty. Moje nazwisko powiedziało tym ludziom, że należałem do najwyższej kasty hinduskiej, a przy tak wielkiej wzajemnej wrogości panującej między Indiami a Pakistanem już sam ten fakt wystarczał na poparcie przedstawionego oskarżenia. Bo właściwie co jakiś tam Hindus — a szczególnie bramin miałby robić w Pakistanie, jak nie szpiegować?

Słyszałem już dość opowieści, by wiedzieć, że nie mogłem oczekiwać procesu czy też prawnego postępowania. Tak naprawdę nie byłem szpiegiem, jednakże moja pakistańska misja, zakończona sukcesem, bez wątpienia zostałaby uznana za równie wrogą jak szpiegostwo, gdyby została ujawniona. Przenosząc wzrok z jednej nieprzyjaznej twarzy na drugą i widząc, że odrzucają moje zaprzeczenia, poczułem ogarniającą mnie nagle falę bezsilności. Będzie to z pewnością ostatni dzień mojego życia... a było jeszcze do wykonania tyle pracy.

Nie będzie żadnej wzmianki w wiadomościach, żadnego oficjalnego komunikatu o mojej egzekucji. Zniknę po prostu bez śladu, a moja matka

czekająca na mnie pod Bombajem, której nie widziałem od lat, nigdy nie dowie się, co się wydarzyło i dlaczego. Po kilku oficjalnych zapytaniach mojego rządu i równie formalnych zaprzeczeniach ze strony Pakistańczyków, szybko zapomnia o mnie — kolejnej ofierze tej ukrytej wojny, o której brak relacji w środkach masowego przekazu.

Kiedy pod ścisłą strażą czekałem samotnie na przyjazd z Lahaur człowieka nazywanego tu Szefem (chciał przesłuchać mnie osobiście) przyszła mi do głowy pewna nikła możliwość odzyskania wolności. Byłoby to równoznaczne z przekonaniem tych zatwardziały policjantów o czymś, czemu z wielkim trudem mogliby dać wiarę. Musiałem przynajmniej spróbować. Być może sama niezwykłość tej opowieści przemawiałaby na moją korzyść. Być może Szef dostrzegłby, że to wszystko jest zbyt nieprawdopodobne, aby było kłamstwem.

Aby ta niewiarygodna historia mogła być zrozumiana, musiałyby być opowiedziana od samego początku, sięgając wstecz do mojego wczesnego dzieciństwa w Trynidadzie.

# Korzenie bramina

Niezależnie od tego, jak wielkie jest spełnienie sensu życia, zawsze istnieje pewne poczucie żalu związane z przeszłością. Obiektem mojego najgłębszego poczucia straty jest mój ojciec, Chandrabhan Ragbir Sharma Mahabir Maharaj. Jakże bardzo pragnąłbym, by jeszcze żył! Mojego żalu nie wyjaśnia w całości fakt, że ten niezwykle człowiek umarł w tak młodym wieku i w tak tajemniczych okolicznościach. Tak wiele jeszcze bardziej niezwykłych rzeczy zdarzyło się od tego czasu. Zastanawiam się często, jak by to było dzielić się z nim tym wszystkim i jaka byłaby jego reakcja.

Dzielić się z nim! Nigdy się niczym w naszym życiu nie dzielił. Nie odezwał się do mnie ani razu i nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi z powodu przysięgi jaką złożył przed moim narodzeniem. Dwa zaledwie słowa uczyniłyby mnie niewymownie szczęśliwym. Bardziej niż cegokolwiek innego w świecie pragnąłem usłyszeć, jak mówi: „Rabi, synu!”. Tylko raz. Nigdy jednak tego nie uczynił.

Przez osiem długich lat nie wypowiedział ani jednego słowa, nawet zwierzenia — szeptu skierowanego do mojej matki. Podobny do transu stan, który osiągnął przez jogę, uważany był za wyjątkowo dziwny. Ludzie nie zaznajomieni ze wschodnim mistycyzmem brali go nawet za jakąś formę obłąkania. „Odmienne stany świadomości” zdobyły jednak na Zachodzie nowe uznanie, mając swój początek w przeprowadzanych w laboratoriach naukowych doświadczeniach z narkotykami, przenikając następnie do społeczeństwa, aż do momentu, kiedy miliony ludzi doświadczyły tej „odmiennej rzeczywistości”. Kolejne miliony wkroczyły w to, co zwane jest teraz „wyższą świadomością” stosując hipnoterapię, autosugestię, sterowaną pracę wyobraźni oraz różne popularyzowane na Zachodzie formy jogi — od TM (Transcendental Meditation — Medytacja Transcendentalna, przyp. tłum.) aż do „skupiania się” i wizualizacji. Co więcej — w środowisku naukowym w coraz większym stopniu uznaje się wagę zjawisk zachodzących w psychice. Przyczyniło się to do przejścia wcześniejszego sceptycyzmu materialistycznego społeczeństwa Zachodniego w nową otwartość na okultyzm. Jednakże my, Hindusi, wiedzieliśmy od tysięcy lat, że w jodze tkwi prawdziwa moc. Mój ojciec był tego dowodem. Był on ostatnim żyjącym wzorem wprowadzania w zwyczajne życie tego, czego uczą

słynni teraz w Europie i Ameryce jogowie i guru. Wprowadził w życie to, o czym oni mówią. Dokonało tego niewielu ludzi.

— Dlaczego Ojciec jest taki — pytałem moją matkę, kiedy byłem jeszcze zbyt młody, by to zrozumieć.

— On jest kimś niezwykle szczególnym — największym człowiekiem, jakiego mógłbyś mieć za ojca — odpowiadała, zawsze cierpliwa wobec moich nieustannych pytań

I zaintrygowanego oblicza. — On szuka prawdziwego Ja, znajdującego się w nas wszystkich — Jedynego Bytu, poza którym nie ma innych. I ty także tym jesteś, Rabi.

Niewiele początkowo rozumiejąc, uwierzyłem jednak wkrótce, że dokonał on najszlachetniejszego wyboru ze wszystkich możliwych. Zapewniała mnie o tym często moja matka oraz wielu innych. Mówili, że Wielkie Wyrzeczenie Buddy nie mogło równać się z tym, jakiego podjął się mój ojciec. Kiedy dorosłem na tyle, że mogłem studiować święte pisma, zgodziłem się z tym. Wyrzeczenie mojego ojca było całkowite — podjęte nagle, na krótko po zawarciu małżeństwa. Gdyby podjął tę decyzję nieco wcześniej, nigdy bym się nie narodził.

Chociaż akceptowałem myśl, że to wyższy wybór skłonił mojego ojca do tego, by nigdy nie odezwać się do mnie — jego jedyne dziecko, nie mogłem zaprzeczyć, że dręczy mnie pustka, przemożna tęsknota, niezwykle dokuczliwy głód, z którymi nauczyłem się żyć, nawet ignorować je, lecz których nigdy nie przezwyciężyłem. Dla Hindusa Bha-gavad-Gita jest Księgą ksiąg, a mój ojciec odważnie zdecydował się żyć według niej. Jakże mógłbym, wychowany przez matkę w duchu tej religii, czuć się tym dotknięty? Ciągle jednak odczuwałem tęsknotę za jego towarzystwem.

Nikt, nawet moja matka, nie wiedział nigdy dokładnie jakie złożył śluby; można się ich było tylko domyślać na podstawie niezwyklego trybu życia, jaki nagle zaczął prowadzić. Siedząc w pozycji lotosu — palce obu stóp odwrócone na kolanach — na desce, której używał także jako łóżka, spędzał dni na medytacji i czytaniu świętych pism — nic poza tym. Mantry są niezbędne do medytacji; wytwarzane przez nie wibracje są głównym sposobem przyciągania bóstw, a bez pomocy tych istot duchowych dla medytującego nie ma prawdziwych korzyści. Mój ojciec był jednak ponad odmawianie mantr. Wszyscy uważaliśmy, że jest w bezpośredniej łączności z Brahmanem. Po to, by odnaleźć prawdziwe Ja, zwrócił się do wnętrza do tego stopnia, że nigdy nie zauważał obecności jakiegokolwiek człowieka, mimo że podziwiający go ludzie przybywali z odległości wielu mil, by oddać

mu hołd i złożyć przed nim swe ofiary składające się z owoców i kwiatów, bawełnianych tkanin oraz pieniędzy. Nikt nigdy nie wywołał u niego żadnej reakcji. Wydawało się, że przebywa w innym świecie. Wiele lat później miałem osiągnąć stan medytacji na tyle głęboki, by móc przebywać w ukrytym wszechświecie obcych planet i Wyniesionych Mistrzów, gdzie najprawdopodobniej spędzał czas mój ojciec. Ku mojemu rozczarowaniu nigdy go tam nie znalazłem.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Zdolności takie nie przychodzą łatwo; nie można ich też w prosty sposób wyjaśnić tym, którzy doświadczają wszechświata tylko przez ograniczający ich filtr pięciu zmysłów. Podróż naszą musimy rozpocząć powoli. Pierwszym krokiem jest odłożenie na bok wieloletnich przesądów, w szczególności zaś pozbawionego racjonalnych podstaw przekonania, że wszystko, czego nie możemy zrozumieć lub wykryć przy pomocy niedoskonałych instrumentów współczesnej technologii, jest nierealne. Poza tymi granicami leży nawet to, co wydaje nam się znane; bo któż rozumie, czym jest życie, albo energia, albo nawet światło? A jakież to przyrząd może zmierzyć miłość?

Nawet kiedy byłem małym chłopcem, odzywało się we mnie niepohamowane uczucie dumy, gdy słyszałem, jak chwałą mojego ojca, co zdarzało się naprawdę często. Pełni bojaźni i respektu religijni Hindusi mówili o nim jako o tym, który miał odwagę i przekonanie wkroczyć na wyższe, tajemnicze ścieżki. W opinii wielu — łącznie z największym mędrcem jakiego kiedykolwiek znałem — ojciec był awatarem. Słyszałem to słowo przez lata, zanim naprawdę zrozumiałem, co ono oznacza. Jakże wspaniale ono brzmiało — i jak wyjątkowo! Wiedziałem, że ja także byłem wyjątkowy, ponieważ on był moim ojcem. Pewnego dnia miałem również zostać wielkim jogiem. Początkowo było to tylko niejasne przecucie, jednakże w miarę upływu lat przekształciło się ono w pogłębiające się przekonanie. Jednakże w moich najśmielszych marzeniach nie mogłem sobie wyobrazić oczekujących mnie niespodzianek. Tak wiele jest teraz rzeczy, którymi pragnąłbym podzielić się z moim ojcem — lecz niestety nie ma go już.

Jakże często stawałem przed tym niezwykłym człowiekiem wpatrując się w jego oczy tak długo, aż nieraz zatraciłem się w ich niezmierzonej głębi. Przypominało to zapadanie się w jakąś głębię, wyciąganie rąk w kierunku czegoś, wołanie kogoś, lecz napotykałem tylko ciszę i pustkę. Wiedziałem wtedy, że odnalazł on Szczęście, które Pan Kriszna podarował Arjunie. Jego wygląd tchnął spokojem. Siedział tak bez ruchu, wolno i rytmicznie

wdychając i wydychając powietrze, z długimi włosami i brodą, nie obcinanymi przez te wszystkie lata, sięgającymi mu aż do pasa. W takich chwilach sam odczuwałem obecność bóstwa.

Figurki bogów znajdujące się na naszym rodzinnym ołtarzu traktowaliśmy z czułością, odwijaliśmy je i zawijali w miękkie tkaniny; kąpaliśmy je, ubierając potem z wielką troską i czcią. Podobnie było również z moim ojcem. Tak jak bogowie z pokoju modlitw, nigdy nic dla siebie w sensie fizycznym nie robił. Był bogiem, o którego trzeba było się troszczyć, myć, karmić i przebierać — i tak przez osiem lat. Mój ojciec wypełniał polecenia Pana Kriszny o porzuceniu wszelkiego przywiązania do pozycji, pragnień, do świata fizycznego. Nic dziwnego, że wzbudzało to podziw wśród ludzi, którzy przybywali z daleka i z bliska, by oddać mu cześć. Często mówiono poważnym, pełnym czci głosem, że z pewnością osiągnął on już mokszę, wyrывая się z koła reinkarnacji. Nie czekały go ponowne narodziny na ten śmiertelny świat, lecz wieczne Szczęście Nirwany. Wkroczył na Najwyższą Ścieżkę i wiedziałem, że już się nigdy nie spotkamy. Wiedziałem o tym jeszcze wtedy zanim zaskoczyła nas jego tajemnicza śmierć.

\* \* \*

— Vishnu mówi, że sprowadzi ambulans, żeby zabrali go do sanatorium!

Stałem na zewnątrz, jedząc zerwany właśnie świeży owoc mango, kiedy słowa te dały się słyszeć w nieruchomym powietrzu poranka, wpadając przez otwarte okno. Głos należał do Phoowy Mohanee, starszej siostry mego ojca, będącej jednocześnie jego najgorliwszym uczniem. Była w środku, pomagając mojej matce w myciu ojca, którego obdarzała miłością i pełną pasji czcią. Vishnu był jednym z jej bliskich krewnych. Powodziło mu się dobrze jako człowiekowi interesu, nie miał jednak wcale czasu na religię, a o moim ojcu wypowiadał tylko przykre słowa. Owoce mango mimowolnie wyśliznął mi się z ręki. Przynuram się bliżej okna, wstrzymując oddech, by lepiej słyszeć.

Rozmowa stała się jednak stłumiona i niezrozumiała z powodu docierających tu odgłosów mycia i plusku wody. Było coś o tym, że Vishnu utrzymywał, iż mój ojciec szybko skończyłby z tym nonsensem, gdyby ludzie przestali traktować go jak boga. Przez okno dobiegały niezrozumiałe dla mojego dziecięcego umysłu słowa jak „kuracja wstrząsowa” i „psychiatra”, mieszając się z innymi określeniami dotyczącymi lekarzy i medycyny. Wprawilo mnie to w oszołomienie i przerażenie, szczególnie kiedy słyszałem, jak głos mojej matki stawał się prawie tak histeryczny jak

głos Mohanee. Zawsze przecież była taka spokojna. Tylko rzeczy o niezwykłej wadze mogły w ten sposób wytrącić ją z równowagi.

Znajomą ścieżką, biegnącą pod rozrzuconymi palmami kokosowymi, pobiegłem w kierunku chaty — dwupokojowej o ścianach z błota i ubitej ziemi, podłodze z krowiego łajna, przykrytej dachem z falistej blachy, którą ojciec mojej matki, Lutchman Singh, pozwolił wybudować staremu przyjacielowi rodziny, Gosine'owi na kawałku swojej rozległej posiadłości, niedaleko domu, który dał moim rodzicom w prezencie ślubnym. Ten chudy, żylasty starzec, o skórze pomarszczonej i zniszczonej jak starożytny pergamin siedział w swojej ulubionej pozycji, przykucnąwszy na gołej ziemi w skąpym cieniu, rzucanym przez rosnący przed niską chatą nerkodrzew. Ubrany w spódniczkę dhoti, podwiniętą między nogami, opierał ręce na kolanach obejmując obiema dłońmi brodę.

— Dlaczego masz taką smutną minę, synu Wielkiego Joga? — zapytał Gosine, spoglądając na mnie z tym mądrym wyrazem twarzy, który sprawiał, iż z łatwością mogłem wierzyć, że jest on starożytnym mędrce, który przeszedł reinkarnację i ponownie się zestarzał. Wiedziałem, że to dlatego włada tak dobrze językiem hindi. Jego angielski, a nawet jego dialekt trynidadzki były jednak bardzo słabe.

— Dlaczego sądzisz, że jestem smutny? — odpowiedziałem broniąc się i przeszedłem z łatwością na język trynidadzkiej wioski, odmianę angielskiego, którą posługiwał się Gosine. Stało się to moją drugą naturą, pomimo wysiłków mojej matki usiłującej wpoić mi poprawną gramatykę. Wykorzenienie u mnie miejscowego dialektu, którym mówili wszyscy moi przyjaciele z naszego prowincjonalnego miasteczka, było przedsięwzięciem nie rokującym nadziei.

— Ty sam też nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego — dodałem odwzajemniając się.

— Nie spałem dobrze tej nocy, bracie. Czuję się jak stara szmata do podłogi — odrzekł Gosine z powagą. Kiedy mówił, jego gęste, siwe wąsy falowały w górę i w dół. Nie byłem pewien, co fascynowało mnie bardziej — te falujące wąsy czy też długie kępki włosów wyrastające mu z uszu.

Milcząc przykucnąłem obok niego. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi — na tyle dobrymi, że słowa nie były konieczne. Otuchy dodawało mi już samo przebywanie w jego towarzystwie. Minęło kilka minut, zanim zdobyłem się na odwagę, by zrzucić z siebie mój ciężar.

— Czy wiesz, co to sikatris albo kuracja wstrząsowa? Pocierając w zamyśleniu brodę, starzec zmarszczył brwi

zastanawiając się głęboko i minęło trochę czasu zanim odpowiedział.

— Wielkowiejska gadanina — tutaj to nic nie znaczy. Gdzie to słyszałeś? Pewnie w radiu?

— To Vishnu. Właściwie to nie jego słyszałem.

— Vishnu nie jest zły tylko trochę zwariowany. Mohanee nie mówiła dość głośno, bracie. Twój ojciec obszedł się z nim dobrze. Taak. Był taki czas...

Rozczarowany, znów usiadłem spokojnie. Gosine zawsze wydawał się być tak nieomylnie mądry. Może była to wielkowiejska gadanina, ale musiało to coś znaczyć.

— Nigdy nie zapomnę tego wesela — rzekł nagle tak, jakby miał zamiar opowiedzieć mi coś po raz pierwszy. W rzeczywistości słyszałem już od niego tę historię przynajmniej dwadzieścia razy; znałem ją prawie słowo w słowo.

— Chłopcze, twój ojciec był bardzo mądrym człowiekiem. A ty jesteś prawdziwym, nieodrodnym synem swego ojca. Powinieneś być widzieć tę koronę, którą nosił podczas wesela. Świeciły się na niej wszędzie elektryczne światełka, podłączył je do baterii w kieszeni. Sam to wymyślił. Powinieneś być widzieć tych ludzi, kiedy tak wysiadł z auta tuż przed sklepem waszego Nany!

— Byłeś tam? — zapytałem niewinnie tak, jakbym nie wiedział.

— Chłopcze, mówię ci to, co sam widziałem — to nie jest żadna opowiadka z drugiej ręki. To było największe wesele jakie widziałem w życiu, i najdroższe. Czy tam byłem! Myślisz, że straciłbym coś takiego? Bębny, tańce i mnóstwo jedzenia i picia. Jedzenia dosyć, chłopie, byś się najadł na cały miesiąc. A ten posag! Gdybyś to widział! Jeśli powiesz ci się tak, jak twojemu ojcu... hmm!

W tym miejscu przerwał, tak jak to zwykle robił, a potem mówił dalej. Głos jego zabarwiła jednak nowa nuta lęku. — I porzucił to wszystko! Wszystko! Wiesz co? On jest awatarem!

Gosine popadł w milczenie, by jego ostatnie słowa zabrzmiały bardziej dramatycznie. Wstałem, zbierając się do odejścia. Normalnie zostałbym, by słuchać dalej. W końcu przebrnąłby przez wesele i być może zaczęłby mi opowiadać jakąś historię z Mahabharaty lub Ramayany o przygodach bogów. Znał hinduizm i moje ulubione mity jak nikt inny i dużo się od niego nauczyłem. Nie chciałem jednak słyszeć już nic więcej na temat mojego ojca, a zwłaszcza o tym, jaki był wspaniały. Przeczuwałem, że stanie się coś

straszego i gdy słuchałem, jak Gosine chwali go, odczuwałem jeszcze większy lęk.

Kilka dni minęło bez żadnych niezwykłych wydarzeń i już prawie zapomniałem o groźnych słowach Vishnu. I tak nie były one dla mnie zbyt jasne, a bałem się pytać o to moją matkę. Życie było pełne tajemnic, a wiele z nich było zbyt strasznych, by o nich mówić.

Moja matka była piękną kobietą o wspaniałych rysach, bardzo inteligentną i posiadającą niezwykłą siłę wewnętrzną. Jej małżeństwo z moim ojcem zostało oczywiście ustalone przez ich rodziców, zgodnie z hinduską tradycją. Miała wtedy zaledwie 15 lat i była najlepszą uczennicą w klasie, pragnącą kształcić się dalej. Było to dla niej zaskoczeniem, kiedy ojciec wydał ją za

mąż. Skończyły się jej marzenia o uniwersytecie w Anglii. Rozchorowała się pod wpływem szoku, ale poddała się woli swego ojca. Dwóch spośród najznacześniejszych mędrców w okolicy czytało z dłoni młodej pary, konsultowało się z gwiazdami i księgą mądrości w tej sprawie i orzekło, że związek ten będzie miał błogosławieństwo bogów. Moja matka czuła prawdopodobnie co innego, któż jednak śmiałby kwestionować wyroki gwiazd

I orzeczenia mędrców? Nie sprawiłaby też zawodu swoim rodzicom nie okazując oznak pełnego szczęścia. Wśród Hindusów obowiązek wobec rodziny i kasty jest święty.

Posłuszeństwo to zostało nagrodzone prawie natychmiast jeszcze większym szokiem, kiedy jej mąż, zupełnie bez ostrzeżenia, nagle zamknął się w świecie milczącej medytacji. Nawet jego oczy nie komunikowały się już z otaczającymi go ludźmi. Z trudem mogę sobie wyobrazić przerażenie, jakie musiało to wywołać u mojej matki, młodej, piętnastoletniej żony, będącej w dodatku w ciąży. Musiała stawić czoła swoim obowiązkom, do których należało teraz troszczenie się o jej męża, podobne do troski o jakieś głuche, nieme i ślepe dziecko. Nie skarżyła się jednak nigdy i kiedy dorastałem, stawałem się świadkiem jej czulej troski i niewzruszonej lojalności w stosunku do mojego ojca. Wydawało się, że została obdarowana zdolnością pełnego współczucia i zrozumienia dla wybranej przez niego drogi.

Spokojna, zamyślona i do głębi religijna, była mi nie tylko ojcem i matką, ale także moim pierwszym nauczycielem hinduizmu. Jakże dobrze pamiętam te pierwsze lekcje, które pobierałem jako małe dziecko, siedząc obok niej w domowym pokoju modlitewnym przed ołtarzem z jego licznymi bóstwami! Ciężki zapach maści z drzewa sandałowego, którą smarowane były bóstwa,

migotający płomyk deya, przyciągający moje oczy jak magnes i pełne powagi mantr powtarzanych cichym głosem — wszystko to wytwarzało aurę świętego misterium, która ogarniała mnie jak zakłęcie. Spośród wielu milionów hinduskich bogów nasza rodzina wybrała swoje ulubione bóstwa, a ja jako małe dziecko, jeszcze zanim zrozumiałem, co one przedstawiają, wyczuwałem i lękałem się mocy tych małych figurek stojących na ołtarzu oraz obrazów na ścianie, wokół których wieszaliśmy święte różańce. Te otwarte nieustannie oczy z gliny, drewna, mosiądzu, kamienia i malowanego papieru wydawały się śledzić mnie, kiedy nie patrzyłem na nie. W jakiś dziwny sposób te nieczułe figurki wydawały się posiadać więcej życia niż ja sam. Miały one w sobie cudowną moc, która napawała nas wszystkich lękiem. Nasze ofiary i oddawana im cześć były uznaniem tej budzącej lęk wyższości.

Kiedy spełniona była już poranna lub wieczorna puja, Matka i ja pozostawialiśmy jeszcze w tyle za ciotkami, wujami i kuzynami, którzy powracali do swoich ziemskich zajęć i obowiązków. Uczyla mnie pracowicie przede wszystkim tego, jak być oddanym bogom, wytrwałym Hindusem i nieustannie wypełniać swoje religijne obowiązki. Wszystko inne miało drugorzędne znaczenie. To właśnie z jej ust usłyszałem i zrozumiałem, że dzięki poprzedniej karmie urodziłem się w najwyższej kaście. Byłem braminem, reprezentującym na ziemi Brahman — Jedyną Prawdziwą Rzeczywistość. Tak, to ja byłem Brahman — musiałem jeszcze tylko dostrzec to moje prawdziwe Ja.

Tak, jakgdyby od tamtego czasu minęło nie 25 lat lecz 25 dni, słyszę ciągle jej miękkie, wyraźny głos cytujący Pana Krisznę z jej ulubionych fragmentów Bhagavad-Gity:

„Niech Jog nieustannie praktykuje Jogę, pozostając samotnie w ukrytym miejscu, ujarzmiwszy myśl i jaźń, uwolniwszy się od nadziei i zachłanności. Ujarzmiwszy myśli i zmysły, siedząc nieruchomo na miejscu, powinien praktykować Jogę dla oczyszczenia Jaźni. Utrzymując ciało, głowę i szyję w pozycji wyprostowanej, nieruchomo, pewnie, koncentrując wzrok na czubku nosa... dotrzymując ślubów Brahmacharyi, kontrolując umysł, myśląc o Mnie... Jog zjednoczony w ten sposób zawsze z Jaźnią... podąża ku Pokojowi, ku najwyższemu Szczęściu, które mieszka we Mnie.”

Kriszna był Mistrzem i Stwórcą prawdziwej Jogi, tak mówiła Gita. A mój ojciec był jego najwierniejszym uczniem. W miarę, jak szybko mijały lata, pogłębiało się we mnie to przekonanie, aż w końcu sam zostałem Jogiem.

Wypełniając tego rodzaju instrukcje przekazywane mi przez matkę i naśladowując doskonały przykład mojego ojca, począwszy od wieku lat pięciu codziennie praktykowałem medytację. Siedząc w pozycji lotosu, z wyprostowanym kręgosłupem i oczami wpatrującymi się niewidzącym wzrokiem w nicność, naśladowałem tego, który już wtedy wydawał się być bardziej bogiem niż moim ojcem.

— Tak bardzo przypominasz w czasie medytacji swojego ojca! — mówiła mi czasami po cichu matka, z wyraźną dumą w głosie. — Pewnego dnia i ty będziesz wielkim Jogiem! — Te pełne czułości słowa umacniały mnie w postanowieniu, by jej nie rozczarować.

Pomimo tego, że moja matka była tak młoda, sama radziła sobie ze swoimi niezwykłymi obowiązkami. Nie chciała, aby jej bogaty ojciec wiedział, że czasami musiała prosić o mar — wodę, w której sąsiedzi gotowali ryż. Karmiła mnie nią kiedy byłem małym dzieckiem. Dziadek Singh, zwany przez nas wszystkich Nana, dowiedział się w końcu o tym i nalegał, aby matka przeprowadziła się z powrotem do domu rodzinnego. Jej siostra, Revati, ciągle błagała o to, by mogła tam zamieszkać. Przyjeżdżała co pewien czas z rosnącym ciągle stadkiem swoich małych dzieci, prosząc ze łzami w oczach o schronienie, pokazując brzydkie siniaki nabite jej ostatnio przez bijącego ją męża, pijaka. Bicie żon było na porządku dziennym, więc po kilku tygodniach rekonwalescencji Dziadek zawsze odsyłał Reva-ti z powrotem. Jak by nie było, to on wydał ją za męża za tego człowieka, a miał reputację człowieka dotrzymującego danego raz słowa. Ciotka Revati zawsze oczywiście powracała, posiniaczona i pobita, prowadząc ze sobą rządęk dzieci i oczywiście niosąc w łonie następne. Po urodzeniu przez nią kolejnego dziecka Dziadek odsyłał ją znów do jej męża. Po narodzinach piątego dziecka i śmierci mojego dziadka ciotka Revati zamieszkała z nami w naszym dużym domu rodzinnym. Cieszyłem się z towarzystwa moich kuzynów. Tak jak to było zwykle w połączonych hinduskich rodzinach, mieszkało tam razem 15 do 20 potomków Nany — ciotek, wujów, kuzynów, oraz Nanee — wdowa po dziadku, którą wszyscy z miłością nazywaliśmy MA.

Nana zmarł, kiedy byłem jeszcze bardzo mały. Moja matka i ja dzieliliśmy wtedy z nim sypialnię. Jego sklep z alkoholem i skład z towarami sypkimi

znajdujące się na dole oraz olbrzymie mieszkanie na górze jeszcze długo po jego śmierci rozbrzmiewały ciężkimi i pełnymi złości krokami Nany. Czuło się wtedy, że jego duch wisi gdzieś w powietrzu w tym podobnym do fortecy domostwie wybudowanym z lanego betonu. Ci, którzy nie wierzą w siły tajemne przenikające wszechświat, uważają być może, że to zwykłe przesady lub histeria. My jednak słyszeliśmy jego kroki rozbrzmiewające tam i z powrotem w attyce, a często po prostu przed drzwiami naszej sypialni, kiedy udaliśmy się już na nocny spoczynek. Odwiedzający nas ludzie także tego doświadczali. Rzadko zdarzali się goście spędzający u nas noc, którzy nie byliby fizycznie zaatakowani przez niewidzialne ręce albo nie widzieli pojawiających się nagle zjaw. Po takim przeżyciu niektórzy z naszych krewnych nie chcieli już nigdy więcej zostać na noc. Jednakże ci z nas, którzy nazywali ten budynek swoim domem, nie mieli innego wyboru, jak tylko w nim pozostać.

Nana był głęboko zaangażowany w hinduski okultyzm i miał krytyczne nastawienie w stosunku do tych, którzy tylko filozofowali na temat swojej religii nie ucząc się przy tym wykorzystywać sił nadprzyrodzonych. Kiedy byłem już starszy, Ma powierzyła mi w sekrecie to, co ukrywała przez długie lata w głębi serca i czym podzieliła się tylko z ciotką Revati: Nana złożył swojego pierwotnego syna w ofierze jednemu ze swych ulubionych bogów. Nie było to niecodzienną praktyką, lecz nigdy nie mówiono o tym otwarcie. Ulubionym bóstwem Nany była Lakszmi, małżonka boga Wisznu obrońcy. Była ona boginią bogactwa i powodzenia, która zademonstrowała swoją moc, kiedy to Nana prawie z dnia na dzień stał się jednym z najbardziej wpływowych i majątnych ludzi w moim rodzinnym Trynidadzie. Kiedy mała drewniana chałupa, zbudowana przez Nanę jako mieszkanie dla rodziny i miejsce do prowadzenia interesów, w tajemniczych okolicznościach spłonęła, zastąpił ją ogromnym domem, który stał się punktem orientacyjnym na drodze prowadzącej z Port of Spain do San Fernando. Nikt nie mógł zgadnąć, skąd wzięły się nagle potrzebne na to pieniądze ani też gdzie zdobył złoto, które zgromadził w wielkim sejfie wbudowanym w grubą, betonową ścianę nowego domu. Niewielu spośród setek tysięcy emigrantów z Indii oraz ich potomków było w stanie zgromadzić majątek tak łatwo i tak nagle. Wierzyliśmy wszyscy, że pomogli mu w tym potężni bogowie. W zamian oddał im swoją duszę.

Skrzyżowanie Lutchmana Singha, gdzie mieszkałem, otrzymało swoją nazwę właśnie po Nanie. Leży ono przy głównej drodze wiodącej na południe z Port of Spain. Wśród członków osiadłej w Trynidadzie licznej

społeczności z Indii Wschodnich Nana uznawany był za jednego z przywódców hinduskich, człowieka posiadającego tajemną moc nadprzyrodzoną, której nikt nie mógł zanegować i z którą nikt nie chciał się mierzyć. Było ogólnie wiadomo, że to duchy pilnują ponad miliona dolarów w złotych monetach, które Nana zakopał na terenie jednej ze swych wielu posiadłości — nikt nie wiedział dokładnie gdzie — na początku II wojny światowej. Niewielu odważyłoby się prowokować duchy szukaniem zakopanego skarbu i nie było ani jednego guślarza, który byłby w stanie odnaleźć tajemne miejsce nawet przy użyciu swoich najpotężniejszych czarów. Te bezcenne złote monety, warte obecnie kilka razy więcej, nadal pozostają w ukryciu.

Nana cenił moce tajemne jeszcze bardziej nawet niż pieniądze. Jego mocny, żelazny sejf zawierał przedmiot, którego nie sprzedałby on za żadną cenę — był to mały biały kamyczek z Indii, zamieszkały przez duchy mające moc zarówno uzdrawiania, jak i rzucania klątw. Wyciągał on jad, kiedy potrzymano się go nad miejscem ukąszonym przez węża. Opowiadał o tym wiarygodny świadek, chociaż ja sam nigdy nie widziałem tej sztuki. Jeden z moich wujów opowiadał mi, jak kiedyś, z ciekawości, ostrożnie otworzył drzwi do prywatnego pokoju mieszczącego sejf Nany... po to tylko, by zostać przywitany przez wielkiego węża, pilnującego nie tylko pieniędzy i papierów, lecz także i innych tajemnic pokoju, o których się tylko spekulowało ściszym głosem. Czy wąż ten był prawdziwy, czy też był tylko wcieleniem przybrany przez duchy — jak sugerowali niektórzy — ja sam widziałem tego olbrzymiego, jaskrawo ubarwionego gada czającego się pod domem na długo po nieoczekiwanej śmierci Nany, który zmarł na atak serca w wieku 63 lat.

Dla Hindusów węże są istotami boskimi. Ja sam trzymałem jednego — wspaniały okaz — w moim pokoju i czciłem go, tak samo jak czciłem boską małpę i boskiego słonia, a przede wszystkim boską krowę. Bóg był dla mnie wszystkim i wszystko było Bogiem — za wyjątkiem, oczywiście, tych nieszczęsnych istot, które nie należały do żadnej kasty. Mój świat był pełen duchów, bogów i sił tajemnych, a moim obowiązkiem od samego dzieciństwa było oddanie każdemu z nich tego, co mu się należało.

Taka była kultura odziedziczona przez mojego ojca. W sposób doskonały poszedł on śladem Kriszny oraz innych wielkich Jogów, którzy wcześniej wybrali tę drogę, a moja matka wpajała mi, że muszę uczynić to samo. Było to coś, w co nigdy nie wątpiłem. Ojciec dał mi przykład, zdobył szerokie uznanie i zasłużył na cześć wielu ludzi. Rzeczą nieunikioną było, że po jego

śmierci jego los stanie się moim udziałem. Nigdy nie wyobrażałem sobie jednak, że będę jeszcze taki młody, kiedy nadejdzie ten nieuchronny dzień pisany mi przez bogów.

# Śmierć awatara

— Chodź z nami Rabi, prosimy cię! — błagali moi kuzyni. Wuj Kumar zabierał ich do pobliskiej zatoki na Przylądku Małpy, gdzie mieli pływać. Przebywanie w towarzystwie bramina było zawsze zaszczytem i prawie stuprocentowym zapewnieniem powodzenia. Byłem traktowany jak księżę i tak też się czułem.

— Nie dzisiaj — odrzekłem, zdecydowanie potrząsając głową. Postanowiłem wcześniej, że dokończę malowaną właśnie skomplikowaną scenę religijną.

— Prosimy! — nalegali chórem Sandra i Shanti.

— Nie mogę! — nie były konieczne żadne dalsze wyjaśnienia. Wszyscy domownicy wiedzieli, że dla mnie na pierwszym miejscu znajdowały się obowiązki związane z religią. Przesiadywałem godzinami, rysując wizerunki moich ulubionych bogów — Hanumana, Śiwy, Kriszny, Ganesii i innych. Byłem już mistykiem, odczuwającym jedność z bóstwami, gotowym na rezygnowanie z kąpeli na plaży czy zabawy z przyjaciółmi na podwórzu czy pobliskich polach, wołac zamiast tego poświęcić się tworzeniu własnych bóstw. Hojnie obdarowywałem je kolorami, a następnie wieszając na ścianach mojego pokoju, by przebywały blisko mnie. Czcilem je, zdecydowany poświęcić moje życie hinduizmowi, który — jak uczyła mnie moja matka — był najstarszą, największą i jedyną prawdziwą religią.

Matka, która zawsze zabierała mnie z sobą, gdy szła pielęgnować mego ojca — mieszkał on teraz ze swoją siostrą przyrodnią, Mohanee — poszła tam tym razem beze mnie. Byłem rozczarowany i wprawiło mnie to w nastrój zadumy. Kontemplacja rysowanych przeze mnie bogów dodała mi jednak otuchy. Ściskając kredki małymi, brązowymi palcami, starannie kolorowałem wizerunek Wisznu. Jakże zadowolona będzie matka, gdy po powrocie ujrzy czwororękiego Narajamę leżącego na zwiniętym w spiralę wężu Ananta, któremu usługują Lakszmi i Brahma, siedzący na lotosie wyrastającym z pępka Wisznu... a wszyscy jadący na żółtym, unoszącym się na powierzchni pierwotnego morza!

Wykonując ostatnie pociągnięcia, wymazując gdzieś tam plamki, zadowolony z mojego dzieła, śpiewałem po cichu: „OM, Śiwa; OM, Śiwa, OM, Śiwa”. Wtedy właśnie usłyszałem znajome kroki mojej matki

wchodzącej szybko na zewnętrzne schody. Drzwi do kuchni otwały się gwałtownie i zaraz potem dały się słyszeć mówiące coś szybko podekscytowane głosy. Ruszyłem w tamtym kierunku, lecz w drzwiach zatrzymało mnie nagle to, co usłyszałem.

— On nie żyje! Chandrabhan nie żyje! — stałem w miejscu jak rażony gromem. Wszyscy zaczęli mówić coś jednocześnie i uleciało mi kilka następnych słów.

— Kiedy wstałam dziś rano, miałam złe przeczucie — głos mojej matki przepełniony był smutkiem, a jednak wyraźny i mocny. — Pobiegłam tam od razu. I właśnie kiedy przybyłam na miejsce, pielęgniarka zaczęła obcinać mi włosy. Takie było zalecenie lekarza.

— Ale dlaczego był w szpitalu? — zapytała ciotka Revati. — Przecież nie był chory, prawda?

— To sprawa Vishnu. Chandrabhan wyglądał tak jak zwykle: był silny i pełen wewnętrznego spokoju.

Nastąpiła długa przerwa, po której matka odzyskała głos i mówiła dalej:

Obcięli mu włosy — lekarz powiedział, że były zbyt dmgie, by można je było utrzymać w szpitalu w czystości.

A kiedy je obcięli... on... on przewrócił się do tyłu. Podbiegłam do niego. Próbowaliśmy dać mu trochę wody, ale lekarz powiedział, że on nie żyje. Czy możecie w to uwierzyć? Tak po prostu!

Podbiegłem do mojego łóżka, rzuciłem się na nie i ukryłem twarz w poduszce, próbując stłumić szloch i płacz rozsadzające mi piersi i wydobywające się z gardła. Czułem, że straciłem wszystko. Mimo że prawie go nie znałem jako mojego ojca, był on moją inspiracją, bogiem — awatarem — a teraz nie żył. Wiedziałem, że to nadchodzi; przeczuwałem to już, kiedy Gosine opowiadał mi tamtego dnia o ślubie. A teraz to się stało i już nigdy nie usłyszę go, jak mówi. Było tyle pytań, które chciałem mu zadać; tak wiele musiał wiedzieć i miałem nadzieję, że pewnego dnia usłyszę to z jego ust. A najbardziej ze wszystkiego chciałem usłyszeć, jak wymawia moje imię — jak mówi, że jestem jego synem. Marzenie to zostało teraz przekreślone na zawsze.

W końcu na skutek zwykłego wyczerpania moje spazmy ustąpiły. Przez długi czas leżałem spokojnie, próbując bez wielkich efektów zrozumieć słowa Kriszny skierowane do Arjuna posydanego w bój. Słyszałem te słowa tak często, że znałem je już na pamięć: „Mądrzy nie boją ani nad żywymi, ani nad umarłymi... i zaprawdę nigdy nie przestaniemy być... Mieszkaniec ciała... przechodzi do innego ciała; nie boją nad tym niezachwiani”.

Na zewnątrz rozległy się powolne, nierówne kroki kogoś, kto dźwiga wielki ciężar i do pokoju wszedł wuj Kumar, pragnący powiedzieć mi o śmierci ojca. Nie zauważył, że już wiedziałem. Moja matka była zbyt wyczerpana, by mi o tym powiedzieć. Wuj sądził, że przyjąłem tę wiadomość dzielnie, nie wiedząc o tym, że byłem już zbyt zmęczony rozpaczą, żeby jeszcze objawić ją na zewnątrz.

Nagła i tajemnicza śmierć mojego ojca była oczywiście wielkim szokiem nie tylko dla rodziny, ale dla wszystkich, którzy go znali. Lekarze nie potrafili znaleźć żadnego medycznego wytłumaczenia. Ojciec był w doskonałym zdrowiu. Czy osiągnął Samorealizację i jego duch uciekł, wyrывая się z koła reinkarnacji? Chciałem w to wierzyć. Byli jednak tacy, którzy sądzili, że to duchy odebrały mu życie, chcąc go ukarać za złamanie przysięgi. Wydawało mi się to niesprawiedliwe. Nie wynikało to z jego postępków, lecz z postępków innych — Vishnu, który posłał go do szpitala oraz lekarzy, którzy nie będąc Hindusami nie znali mocy sił tajemnych ani też przysięgi Brahmacharyi. Mój ojciec wiernie wypełniał instrukcje Kriszny zawarte w Bhagavad-Gicie. Vishnu powinien był o tym wiedzieć. Był przecież wychowany w rodzinie hinduskiej i odebrał dobre wykształcenie. Jednakże uważał on, że życie Joga to farsa, uważał, że bogowie i moce duchowe były tylko wytworem wyobraźni mędrców i jakichś sprytnych sztuczek. Ja nie popełniłbym tego samego błędu. Moja wiara w hinduizm nigdy by się nie zachwiała. Wszyscy nauczyliśmy się wtedy, aby nie lekceważyć tego, czego się nie rozumie. Była to jednak kosztowna lekcja.

Kiedy znaleźliśmy się w domu Phoowy Mohanee, skwapliwie unikałem wzrokiem prostej drewnianej skrzynki umieszczonej na stole w pokoju. W obecności umarłych należy dokładnie przestrzegać wszystkich rytuałów — nie można było w tym domu rozpalić żadnego ognia ani też gotować jedzenia tak długo, jak zmarły spoczywał tam przed wyruszeniem w podróż do innych światów. Podczas gdy mędrzec prowadził długą puja, przyjaciele i krewni lamentowali, a Phoowa — najwierniejszy uczeń mego ojca, prześcigał wszystkich, manifestując swój żal. Skuliłem się obok mojej matki, zamknięty w sobie w dziecięcej obronie przeciwko przypadającej mi roli jednej z centralnych postaci przekraczającego moje zrozumienie dramatu. Po skończonej ceremonii jakaś dobra sąsiadka delikatnie zabrała mnie od mojej matki i podprowadziła do trumny.

— Tam jest twój ojciec — powiedziała tak, jakbym nie wiedział. Jakże pragnąłem, by mi o tym nie przypomniano.

To dziwne, ale to bóstwo, ten awatar, przed którym tak często stałem, wpatrując się w niego z tak intensywną tęsknotą, nie wydawał się po śmierci ani trochę bardziej odległy. Wyraz twarzy miał prawie taki sam, tylko skóra była taka blada. Bramini, pochodzący od pierwszych Aryj-czyków mają na ogół jaśniejszą skórę niż członkowie innych hinduskich kast, a mój ojciec był wyjątkowo jasny, nawet jak na bramina. Wydawał się teraz tak biały jak Anglik, a jego zamknięte powieki przypominały wosk. Odwróciłem się i wyrwałem z jej uścisku swoją rękę.

Kondukt pogrzebowy był długi, jako że mój ojciec był ogromnie kochany i czczony przez religijnych Hindusów w promieniu wielu mil. Samochody, rowery i wozy zaprzężone w woły, wiozące żałobników, były rozstawione wzdłuż całej wąskiej drogi wiodącej do wybrzeża, które znajdowało się około dwóch mil w kierunku zachodnim. Byłem zbyt oszołomiony i przerażony, by pytać matkę, dlaczego nie idziemy na cmentarz, na którym tak niedawno został pogrzebany Nana. Dlaczego zmierzaliśmy w kierunku Przylądka Małpy, gdzie zazwyczaj zażywaliliśmy kąpieli? Pytanie to zwiększało tylko poczucie tajemnicy otaczającej śmierć mojego ojca. Zachowałem je jednak dla siebie i tylko mocniej ścisnąłem dłoń mojej matki.

Starannie unikając trumny leżącej krzywo na jadącym z przodu karawanie, skupiłem całą moją uwagę na wysokiej trzcinie cukrowej, rosnącej po obu stronach wąskiej drogi. Patrzyłem, jak przesuwa się powoli, nieruchoma i pełna powagi, z długimi, zielonymi liśćmi, zwisającymi jakby w smutku. Tak właśnie powinno być, skoro wszystkie rzeczy we wszechświecie — ludzie, zwierzęta, przedmioty — miały wspólny Byt. Wydawało mi się, że cała przyroda oplakuje odejście awatara. Kiedy pojawi się w ludzkiej formie następne tego rodzaju objawienie bóstwa? Nawet mędrcy — bramini, posiadający największą wiedzę — nie wiedzieli tego.

Wiszące nad nami przygniatająco ciężkie i gorące powietrze wydawało się zadziwiająco nieruchome jak na kraj, nad którym przelatowały zazwyczaj nieustanne podmuchy wiatrów. Na wprost mnie, na horyzoncie, po drugiej stronie Zatoki Paria, widziałem ciemne chmury unoszące się nad znajomym Przesmykiem Smoka, gdzie północny koniec mojego rodzinnego Trynidadu wystrzeliwał na zachód, usiłując dotknąć wybrzeża pobliskiej Wenezueli. Jakże często biegłem, podskakując po tej dobrze znanej wąskiej drodze, śmiejąc się wraz z moimi kuzynami i przyjaciółmi, zmierzając na plażę. Moje skronie pulsowały ciepłem życia, a ja — unoszony młodzieńczą radością — czułem się częścią każdego znajdującego się przy drodze znajomego przedmiotu. Teraz odczuwałem we wnętrzu przerażającą drętwotę i

oszałamiające poczucie oddalenia widząc robotników na polach trzciniowych, którzy unosili z zaciekawieniem wzrok na widok mijającej ich powoli długiej procesji. Byli oni częścią innego świata, do którego kiedyś należałem.

Pozostawiając za sobą trzciniowe pola, procesja szła dalej drogą przecinającą teraz szeroki pas namorzynowych mokradeł, ciągnących się w obu kierunkach wzdłuż zachodniego brzegu wyspy. Zatrzymaliśmy się na żwirowanym miejscu, znajdującym się tuż nad chlupoczącymi wodami niewielkiej zatoczki, chronionej przed uderzeniami sztormu niskim betonowym murem. W czasie wakacji i po szkole starsi chłopcy skakali z tego muru do płytkiej wody i odpływali od brzegu. Ja byłem na to jeszcze zbyt mały i wraz z moimi młodymi przyjaciółmi pluskałem się w płytkim baseniku, leżącym za parkingiem, niedaleko namorzynów. Radosne wspomnienia związane z tym znanym i ukochanym miejscem wydawały się teraz tak nierealne. Kiedy wysiadaliśmy z samochodu, przeszedł mnie dreszcz, pomimo prażącego słońca.

Prosta trumna z desek została zdjęta z karawanu i poniesiona w kierunku brzegu mojego baseniku. Pierwsza szła Phoowa, śpiewając w sanskrycie wedyzną mantrę mającą oddalić złe duchy. Idąc tuż za trumną, ściskając za rękę moją matkę, wreszcie zauważyłem wielki stos drewna, ułożony starannie na żwirze obok baseniku. Powietrze ponownie napełniło się zwykłym lamentem żałobników, wznoszącym się i opadającym w przyprawiającym o dreszcz rytmie. Patrzyłem z przerażeniem, jak sztywne ciało mojego ojca zostało wyjęte z trumny i umieszczone na stosie bali drewnianych. Szybko ułożono wokół niego więcej drewna, aż w końcu widoczna była tylko jego twarz, wpatrująca się ślepo w niebo. Maścią z drzewa sandałowego mędrzec starannie wykonał po raz ostatni znak przynależności kastowej na odsłoniętym czole. Czy to możliwe? Rytualne palenie zwłok było częstym widokiem w Indiach nad brzegami Gangesu w Benares i w innych miejscach kremacji, lecz nigdy nie widziałem, by praktykowano to wśród Hindusów w Trynidadzie. Myśl o tym, że ciało mojego ojca będzie złożone w ofierze Agni — bogowi ognia, dodała nowy, tajemniczy element do ogarniającego mnie oszołomienia i głębokiego poczucia straty.

W pobliżu przygotowywano ryż, który miał być ofiarowany zmarłemu. Kapłan w dalszym ciągu oczyszczał teren ze złych duchów, co uważano za zabieg konieczny, zanim bóg ognia uwolni z ciała duszę i odprowadzi ją do znajdujących się wyżej rejonów. Niewidzącym wzrokiem wpatrywałem się w wypełniany przede mną metodycznie rytuał.

— Chodź, Rabi! — Był to głos mędrca, przypominający mi o tym, że i ja miałem tutaj do odegrania swoją rolę.

Pograżony w żalu i strachu, nie słyszałem prawie odmawianych mantr i nie zauważyłem mędrca podchodzącego do mnie ze świętym płomieniem palącym się na dużej mosiężnej tacy, niesionej przez niego na jednej dłoni. Mędrzec wyciągnął drugą dłoń i chwycił mnie za rękę. Spojrzałem z lękiem na matkę. Skinęła głową i poklepała mnie po ramieniu. Pochylając się nisko, wyszeptała mi do ucha:

- To twój obowiązek. Bądź dzielny.

Unikałem oczami twarzy mojego ojca, podczas gdy mędrzec ciągnął mnie w kierunku stosu. Oprowadził mnie trzy razy wokół ciała, recytując za mnie w sanskrycie stosowną modlitwę, jako że byłem zbyt młody: „Przykładam ogień do wszystkich członków tej osoby, która, dobrowolnie lub wbrew woli, popełniła być może wiele pomyłek i jest teraz w szponach śmierci... niech dostąpi świetlistych rejonów”. Zauważyłem teraz kostki kamfory, rozłożone asekuracyjnie tu i tam pomiędzy balami. Ich ostry zapach wypełniał moje nozdrza. Wysoki mężczyzna w turbanie, odziany w dhoti, zaczął spryskiwać bale i ciało tłuszczem bawolim i naftą. Mechanicznie wykonując polecenia mędrca, zapaliłem w trzymanym przez niego świętym ogniu pochodnię i przyłożyłem ją do najbliższej kamfory. Ogień zatrzęszczał, następnie zaczął się rozprzestrzeniać pełzając szybko wzdłuż strumyków nafty od jednej kostki kamfory do drugiej. Czerwone i żółte ogniste duchy rozpoczęły wkrótce swój rytualny taniec wokół ciała. Płomienie wznosiły się coraz wyżej, a ja stałem tam w oszołomieniu, dopóki nie odciągnął mnie mędrzec.

Jak w gorączce wędrowałem wzrokiem po tym tłumie twarzy otaczających płomienie, usiłując stłumić łkanie. Nigdzie nie widać było matki. Nie mogłem przezwyciężyć przenikającego mnie bólu. Dałem mu upust w dziecięcym wybuchu naśladującym otaczające mnie ze wszystkich stron zawodzenia. Byłem na wpół ogarnięty histerią, gdy w końcu ujrzałem ją stojącą w pobliżu płonącego ciała, tak blisko, że wydawała się być prawie częścią ognia. Jej białe, jedwabne sari odbijało pełzające, pomarańczowe płomienie. Słyszałem o wdowach, które rzucały się na stos pogrzebowy. Czy miałem stracić i matkę tak, jak straciłem ojca?

— Mamo! — zawołałem. — Mamo!

Jeśli nawet usłyszała mnie wśród ryku iskier i ognia oraz ogłuszającego zgiełku lamentów, nie dała tego po sobie poznać. Stała bez ruchu na samym skraju tego piekła, z wyciągniętymi rękoma, oddając cześć płonącemu ciału oraz Agni — pożerającemu wszystko bogu ognia. Pochylając się nisko,

rzuciła do ognia w ofierze świeżo ugotowany ryż, następnie wycofała się z tego niezdolnego żaru i stanęła obok mnie. Stojąc z podniesioną głową nie przyłączyła się do żałobnych zawodzeń. Jako prawdziwa Hinduska znalazła w sobie dość siły, by wypełnić naukę Kriszny — nie lamentowała ani nad żywymi, ani nad umarłymi. Nie wydała z siebie ani jednego odgłosu przez te wszystkie godziny, kiedy tak staliśmy patrząc na dogasające płomienie. Przyciskając się do niej czułem tylko, jak spokojnie, lecz żarliwie odmawia swoje mantry.

Nasze czuwanie trwało aż do zachodu słońca. Następnie w żarzące się węgle wrzucono siedem szczap drewna. Wszyscy zebrani żałobnicy zaczęli chodzić wokół wylewając ofiary z wody na węgiel. W końcu popioły były na tyle chłodne, że mędrzec mógł zebrać trochę ziemskich resztek mojego ojca, którego moja matka miała zabrać do Indii, by rozrzucić je nad świętymi wodami Gangesu. Nie wiedziałem, w jaki sposób i kiedy miało się to stać. Byłem już zbyt oszołomiony i pogrążony w smutku, by myśleć o tym tamtej nocy.

Znałem awatara — jednego z bogów w ludzkiej postaci, a teraz on odszedł. Przyszedł po to, by pokazać ludziom właściwą ścieżkę — ścieżkę prawdziwej Jogi, która jednoczy z Brahmanem. Wiedziałem, że nie zapomnę przykładu jego życia. Nie mogłem. Jego los stał się moim udziałem i miałem pójść w jego ślady.

# Prochy w Gangesie

Słońce, któremu oddawałem cześć już od godziny, podobne do płonącego pocisku wystrzelonego z łuku Agni, wzniosło się łukiem na znajdującym się za mną niebie, rzucając wzory ze światła i cienia na ziemię i trawę pod palmami kokosowymi. Opuściwszy werandę, zszedłem po zewnętrznych schodach, udając się do szopy, gdzie trzymaliśmy krowę, zaopatrującą nasz dom w mleko. Otworzyłem drewniane wrota i złapałem wlokącą się po ziemi linę, ciągniętą przez uszczęśliwione stworzenie podążające niezgrabnie w kierunku pastwiska. Oczekiwała na swój poranny wypas tak samo niecierpliwie, jak ja. Niemalże wleczony na końcu sznura, w jakiś sposób zdołałem skierować idące chwiejnie zwierzę w miejsce, gdzie rosła świeża trawa. Ponad naszymi głowami szerokie liście palmy kokosowej śpiewały znaną piosenkę, ocierając się o siebie łagodnie w bryzie wczesnego poranka wiejącej od strony zatoki. Pochyliwszy głowę, krowa zajęła się sobą, a ja obserwowałem ją z czcią.

Żadne inne stworzenie nie jest tak czczone przez Hindusów jak krowa. Święta krowa. Z nosem schowanym w głębokiej trawie, niepomne na wszystko inne, to czarno-białe łaciate bóstwo, strzygąc uszami i kręcąc ogonem, odgryzało wielkimi wargami kawałki soczystego, zielonego dywanu i przeżuwało z zadowoleniem. Pasienie krowy było moim ulubionym zajęciem i z radością wykorzystywałem ten mój codzienny obowiązek, by czcić to wielkie i święte bóstwo. Z rosnącego bujnie w pobliżu hibiskusa zerwałem pomarańczowy kwiat i położyłem go między zakrzywionymi rogami na łbie krowy. Spojrzała na mnie swoim brązowym okiem i powróciła do skubania trawy. Jej spokój został zakłócony przez muchę wchodzącą jej w nozdrza. Krowa potrząsnęła głową i kichnęła. Ofiara z kwiatu, którą układałem tak ostrożnie, zsunęła się po jej nosie na ziemię. Zanim zdołałem go odzyskać, jaskrawy kwiat zniknął w jej pysku wraz z kępą wybornej trawy. Osunąwszy się z westchnieniem na ziemię, próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było być krową. Być może już nią byłem w jednym z poprzednich wcieleń. Nie mogłem sobie przypomnieć. Często zastanawiało mnie, dlaczego nie miałem żadnych wspomnień z wcześniejszych wcieleń.

Gosine opowiadał mi często o tym, jak to pewien starożytny mędrzec w dalekich Indiach po raz pierwszy zobaczył ten najwspanialszy widok na

nocnym niebie — grupę gwiazd układających się w kształt krowy. Według Gosine'a to właśnie w ten sposób my Hindusi po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, że krowa jest bóstwem. Słyszałem też inne wyjaśnienia, nawiązujące do wierzeń Egipcjan i Aryjczyków, lecz wersja Gosine'a najlepiej do mnie przemawiała. Wszystko to, co znajduje się na niebiosach, jest święte; i oczywiście wszystkie krowy na ziemi, pochodzące od tej jednej na niebie, były przez to godne czci. Kult krowy rozwinął się bardzo od tych zamierzchłych czasów. Gosine mówił o „Matce Krowie” i często słyszałem też mędrców twierdzących, że jest ona matką nas wszystkich, podobnie jak Kali, małżonka Śiwy. W jakiś sposób wiedziałem, że muszą one być jednym i tym samym, tyle że w różnej postaci. Kali — jedno z najpotężniejszych bóstw hinduskich, którą wszyscy żarliwie czciliśmy, była taka przerażająca, kiedy piła świeżą krew z kielicha, otoczona wiszącymi wokół niej girlandami dopiero co odciętych głów i rąk, stojąc na leżącej postaci swojego męża, Śiwy. O wiele bardziej wolałem czcić Jedyny Byt w łagodniejszej postaci krowy. Poza tym tworzyłem sobie dobrą karmę na moje następne życie, spędzając tak dużo czasu w towarzystwie krowy. Czy ona wiedziała, że jest bóstwem? Obserwowałem ją z uwagą, lecz nie odkryłem żadnych oznak samoświadomości. W końcu pytanie to ustąpiło podziwowi i czci, jakie żywiłem w stosunku do tego najświętszego ze wszystkich stworzeń.

Moja adoracja krowy została zakłócona przez słaby pomruk, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Skoczyłem podekscytowany na równe nogi i wybiegłem spod palm, żeby mieć lepszy widok. Widywaliśmy wtedy bardzo mało samolotów. Kiedy tak patrzyłem, jak przelatuje, przypominałem sobie o tym, o czym myślałem zawsze widząc samolot na niebie. Zastanawiając się nad tajemnicą mojego pochodzenia, zapytałem w końcu moją matkę, skąd się wzięłem. Powiedziała wtedy bardzo poważnie:

— Spadłeś pewnego dnia z nieba, z przelatującego samolotu, Rabi, i ja cię złapałam.

— A czy ja miałem być twój? — zapytałem, czując nagle trwożę na myśl, że równie dobrze mogłem wylądować na podwórzu należącym do kogoś innego.

Matka zapewniła mnie, że miałem należeć do niej i do ojca. Przez długie miesiące miałem potem nadzieję, że z jakiegoś przelatującego samolotu spadnie mi w ramiona braciszek. Po latach dzieci nadal były dla mnie tajemnicą, byłem jednak pewien, że nie spadają z samolotów i nie rozumiejąc dlaczego wiedziałem, że nigdy już nie będę miał brata ani siostry teraz, kiedy mój ojciec już nie żył.

Z powagą i oddaniem czciłem ducha ojca codziennie od chwili jego odejścia. Każdego ranka ofiarowywałem wodę specjalnej trawie, którą posadziliśmy, gdy umarł. Liczyłem z uwagą dni, obserwując jak rośnie. Dzisiaj był czterdziesty dzień i miałem stracić moje długie, czarne, falujące włosy, nie obcinane od lat, o których wszyscy mówili, że tak bardzo upodabniają mnie do ojca. Od wielu dni martwiłem się postrzyżynami. Co będzie, jeśli duchy odbiorą mi życie tak samo, jak odebrały je ojcu, kiedy obcięto mu włosy?

Z werandy machała na mnie matka. Nadszedł czas ceremonii. Zaczęłem szarpać sznur, próbując zaciągnąć opierającą się krowę z powrotem do jej szopy. Biedne stworzenie przez całą drogę zapierało się kopytami i wyrażało swój sprzeciw muczeniem. Wymagane było zdecydowanie, lecz nigdy nie zdobyłbym się na klucie jej ostrym kijem czy też bicie witką, tak jak to na moich oczach czynili niektórzy z moich kolegów.

— Czy w ten sposób traktuje się boga? — upominałem ich niejednokrotnie. W ten sposób nauczyli się okazywać krowie większy szacunek — przynajmniej w mojej obecności.

O wiele mniejsza niż wtedy procesja szła wąską asfaltową drogą wśród wysokiej trzciny, przez namorzynowe mokradła, aż do Przylądka Małpy, czterdziestego dnia po śmierci Mojego ojca. Wszystkie ślady kremacji zostały zmyte przez fale przypyływów, które dwa razy dziennie przelewały się przez niski betonowy mur. Jedynie wspomnienie tego wydarzenia nie mogło być wymazane. Ponownie ujrzałem pełzające płomienie, tańczące swój rytualny taniec wokół ciała i poczułem zapach palącego się mięsa. Przeniknął mnie dreszcz, kiedy tak stałem dokładnie w miejscu, w którym ojciec został spalony na popiół. Dzisiaj ja znajdowałem się w centrum uwagi.

Przyjaciele i krewni skupili się wokół, tworząc półkole, a naprzeciwko mnie stanął mędrzec trzymając w dłoni fryzjerskie nożyce. Krótka puja minęła dla mnie prawie niepostrzeżenie. Obecną rzeczywistość zastąpiło nagle wspomnienie pewnego przerażającego wydarzenia. Mniej więcej trzy lata wcześniej zostałem wyrwany z mocnego snu, czując, że ktoś mocno, ostro i zdecydowanie ciągnie mnie za włosy. Zupełnie przebudzony, wiłem się i wykręcałem krzycząc z bólu. Mimo że panicznie szukałem czegoś wokół, nie byłem w stanie dotknąć żadnych ramion czy dłoni, a jednak jtkoś ciągnął mnie za włosy tak mocno, że zostałem niemal wyciągnięty z łóżka. Moje pełne przerażenia krzyki sprowadziły moją matkę. Kilkoma słowami, poklepując mnie po plecach, zapewniła mnie, że to tylko nocna zmora — nic więcej. Ja jednak wiedziałem lepiej. Byłem całkowicie przebudzony —

wcale nie spałem, a ostry ból tam, gdzie moje włosy zostały prawie wyrwane z cebulkami, utrzymywał się aż do rana.

Wspomnienie to, wraz z nieco świeższym wspomnieniem tajemniczej śmierci mego ojca, napełniło mnie przerażeniem, kiedy stojąc oczekiwałem na mającą się odbyć ceremonię. Wszystko minęło jednak bez jakichkolwiek niespodziewanych wydarzeń. Zanim się zorientowałem, moje włosy opadły na ziemię w miejscu, gdzie wcześniej leżały prochy mego ojca. Następny przypływ miał zmyć te kosmyki do morza, by tam połączyły się z jego resztkami.

Część jego prochów została jednak zachowana na inną specjalną ceremonię. Gosine i ja rozmawialiśmy na ten temat z nieukrywany podkscytowaniem wielokrotnie od śmierci mego ojca.

— On był awatarem — bez wątpienia — zapewniał mnie starzec. — Nie ma mowy o mokszy. Nie w jego przypadku!

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytałem. — Myślisz, że nie osiągnął mokszy?

— Osiągnął ją już dawno — w innym życiu. Tym razem przyszedł tylko po to, by pokazać drogę... tak jak Budda czy Jezus.

Myślisz, że jest jednym z Mistrzów? — myśl ta opanowała mnie całkowicie.

Gosine stanowczo skinął głową.

— Zobaczysz, gdy nadejdzie czterdziesty dzień. Nie będzie żadnego śladu na prochach. Jego duch poleciał z powrotem do Brahmanu. On był bogiem; Bhai — oto kim był twój ojciec! — Patrząc na mnie z lękiem, powtórzył te słowa głosem pełnym głębokiej czci. — Oto kim był twój ojciec!

I ja to wiedziałem, stojąc przed nim, kiedy jeszcze żył i patrząc w te głębokie oczy. Nie rozumiałem tego jednak tak, jak Gosine. On znał Wedy mimo że był niewykształcony. Gosine był według mnie bardzo mądrym i posiadającym głęboką wiedzę Hindusem.

Wracając do domu i czując wyraźnie, jak krótko zostały obcięte moje włosy, nie mogłem się doczekać możliwości sprawdzenia słów Gosine'a. Mędrzec poprowadził nas do pustego pokoju, który był zamknięty przez całą noc. Na środku podłogi, na płaskiej tacy, leżały prochy mego ojca, starannie wygładzone, umieszczone tam z szacunkiem poprzedniego wieczoru. Cała rodzina stłoczyła się wokół, by sprawdzić, czy są tam odcisnięte jakieś wróżebne ślady stóp, mające objawić nowe wcielenie mego ojca. Wiele razy w przeszłości byłem świadkiem tego obrzędu, lecz tym razem nie widziałem w nim żadnego celu. Ojciec nie znajdował się już w kole

reinkarnacji; powrócił do Brahma-nu... dlaczego więc sprawiać sobie kłopot odprawianiem dla niego tego rytuału? Przypomniałem sobie słowa Gosine'a: „Nie będzie żadnego śladu na prochach”.

Słyszałem, jak moja matka łapie oddech. Zaraz potem mędrzec zawołał:

— Hej, spójrzcie! Jest tu ślad ptaka! O tutaj!

W żaden sposób nie da się opisać mojego osłupienia. Wepchnąłem się między matkę i ciotkę, żeby zobaczyć to na własne oczy. To była prawda! Na samym środku gładkiej powierzchni prochów odcisnięty był bez wątpienia ślad stopy małego ptaszka! Wszyscy obejrzeliliśmy go dokładnie. Wniosek był tylko jeden: mój ojciec wcielił się w ptaka!

Mój mały świat rozpadł się w gruzy. Co powie na to Gosine? Przecież największy mędrzec naszej wyspy sam nazwał mojego ojca awatarem! Jeśli on nie osiągnął jedności z Brahmanem, to jaka była nadzieja dla mnie czy kogokolwiek innego? Zrobiło mi się niedobrze. Nie byłem w stanie przyłączyć się do podekscytowanej rozmowy prowadzonej jazgotliwymi głosami, kiedy wszyscy wychodziliśmy na podwórze, by razem wziąć udział w następnej części tej ważnej ceremonii.

Zbyt oszołomiony by myśleć, nie słyszałem prawie nic z długiej puja. Nie miałem wcale apetytu przed mającą zaraz nastąpić ucztą. Od wielu dni kuśiły nas dobiegające z kuchni najsmakowitsze zapachy. Pracowały tam całymi godzinami moja matka i ciotki, przygotowując liczne wyborne przysmaki, potrawy curry i słodczyce. Jednakże zanim ktokolwiek mógł tego spróbować, po trochu z każdej potrawy należało ofiarować zmarłemu. Wypełniająca duże naczynie wykonane ze świętego liścia koa ofiara przeznaczona dla ducha mojego ojca została umieszczona przez mędrca u stóp wysokiego drzewa bananowego. Następnie wszyscy odwróciliśmy się, by gęsiego udać się do domu.

— Bhai ya, nikomu nie wolno się oglądać! — ostrzegł nas mędrzec pełnym powagi głosem. — Jeśli ktoś się obejrzy, może zostać zaatakowany przez ducha. Ofiara jest przeznaczona tylko dla niego.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by złamać ten zakaz. Teraz jednak nie mogłem oprzeć się pokusie. Zwolniwszy kroku pozwoliłem, by pozostali mnie wyprzedzili. On był moim ojcem. Musiałem go zobaczyć, choćby tylko raz jeszcze. Tylko jedno spojrzenie! W połowie drogi do domu, trzęsąc się ze strachu, a jednak nie będąc w stanie przezwyciężyć pokusy, spojrzałem ukradkiem przez ramię. Naczynie z liścia nadal tam leżało i wyraźnie widziałem umieszczoną w nim żywność. Nie było ani śladu ducha mojego ojca. W pośpiechu odwróciłem wzrok. Popełniłem czyn zakazany! Byłem

przekonany, że każdy następny krok będzie moim ostatnim. Nic jednak się nie zdarzyło. Czy bogowie okazali mi litość? Zagadka ta powiększyła jedynie mój zamęt.

Wchodząc szybko na tylną werandę, wspiąłem się odważnie na palce, by popatrzeć na ledwo widoczne naczynie. Widziałem wcześniej, jak Yogi — pies sąsiadów zjadł ofiarę złożoną duchowi Nany i chciałem być pewien, że nie zdarzy się to ponownie. Po upływie może pół godziny bez jakichkolwiek oznak niezwykłych wydarzeń nie mogłem się już dłużej powstrzymać. Ciągłe jeszcze obawiając się duchów, lecz nieco teraz odważniej, wróciłem na podwórze i ostrożnie zbliżyłem się do bananowca. Ku mojemu zdziwieniu odkryłem, że jedzenie zniknęło! A więc to prawda — zjadł je duch mojego ojca! Czy był to dowód na to, że nie osiągnął jednak nirwany? Może był teraz przyglądającym mi się ptakiem na drzewie?

Przygnębiony i zdezorientowany, biegałem bez wytchnienia po całym podwórzu, szukając w krzewach i na drzewach ptaka, małego czy dużego, który choć troszkę przypominałby mojego ojca. Jeśli ja bym go nie rozpoznał, to przynajmniej on rozpoznałby mnie. Na próżno jednak czekałem, by jedno z tych przemykających, świergoczących i wdzięczących się stworzeń zatrzymało się i spojrzało na mnie jak na kogoś znajomego. Żadne z nich nie okazało mi najmniejszego zainteresowania, chyba że podszedłem zbyt blisko, a wtedy spłoszone od razu uciekały. Mój ojciec nie zwracał oczywiście na mnie żadnej uwagi, zanim umarł, dlaczego więc miałby to robić teraz?

Trochę później udałem się znajomą ścieżką do chaty Gosine'a. Nie miałem możliwości porozmawiać z nim w cztery oczy w obecności tak wielu ludzi. Jego syn, mający około 40 lat, siedział przed chatą naprawiając dętkę przy swoim rowerze, na którym jeździł po całym mieście i sprzedawał curry channa i bara przyrządzone z dodatkiem ostrego pieprzu. Poślubił ostatnio kobietę z dwojgiem dzieci i wprowadził się razem z nimi do dwupokojowej chaty zajmowanej przez Gosine'a. Widząc, że nadchodzę, przerwał pracę i wyprostował się z trudem. Złożył obie dłonie przed swoją brodą i uklonił mi się.

— Sita-Ram — powiedział uprzejmie. — Szukasz starego? Jest w środku. Czuje już swoje lata.

To nieprawda, bracie — usłyszałem dobiegający ze środka głos Gosine'a. — Nic takiego nie czuję. Rozłożyło mnie tylko to zimno. Aby to udowodnić, dumny starzec, wyjątkowo wysoki jak na Hindusa wyszedł kuśtykając na swych krzywych nogach na zewnątrz i przysiadł na swoim

zwykłym miejscu pod osłoną cienia chaty. Milcząc przysiadłem i ja. Już samo przebywanie blisko niego dawało mi otuchę i poczucie bezpieczeństwa; nie potrafiłem tego wyjaśnić.

— Twoje ładne włosy szybko ci odrosną — rzekł, kiwając powoli na boki głową przypominającą odwrócone wahadło.

— Moje włosy mnie nie martwią — odpowiedziałem, niezdolny podzielić się moim wewnętrznym zamętem i wątpliwościami.

— Wiesz co, Bhai, nigdy nie zapomnę tego, jak żył twój ojciec. Najświętszy człowiek, jakiego znałem w całym moim życiu... porzucił wszystko w taki sposób! — Głowa Gosine'a nadal wędrowała tam i z powrotem wyrażając zdziwienie.

Tego rodzaju pochwały zawsze sprawiały, że rosolem z dumy — on był moim ojcem — lecz teraz dodawały mi niewiele otuchy, mimo że wyczuwałem, iż Gosine przeniósł teraz na mnie podziw, który żywił do mojego ojca. Śladu małego ptaszka wyraźnie odcisniętego w prochach nie można było zanegować. Wszyscy, łącznie z mędrcelem, zaakceptowali to i najwyraźniej nie przeżyli szoku i rozczarowania tak jak ja. Sprawiało to, że ogarniający mnie chaos był jeszcze bardziej bolesny.

— Jak może być teraz taki mały? — zapytałem. Łatwiej byłoby mi zrozumieć, gdyby stał się dużym ptakiem, ale taki •"ty zwiększał tylko jeszcze moje zdziwienie.

— Słuchaj, Bhai, on wcale nie jest mały, wiesz! — Gosine przechylił się do tyłu dla podkreślenia wagi swych słów. Zamilkł, pocierając w zamyśleniu brodę, a potem wydał z siebie długie, donośne westchnienie. — Posłuchaj, co powiem, dobra? Żaden ptak o tak małej stopie nie byłby w stanie zjeść tyle jedzenia tak szybko.

Oczywiście! Skoczywszy na równe nogi, pobiegłem z powrotem do pokoju, gdzie zamknięte były prochy. Czy pamiętaliśmy o tym, żeby dokładnie zamknąć okno? Nie mogłem sobie przypomnieć. Jeszcze na zewnątrz spojrzałem pod okap i ujrzałem gniazdo małego ptaszka. Znajdowało się tam — jeden obok drugiego — kilka półkolistych otworów — w miejscu, gdzie falisty, blaszany dach stykał się ze ścianą; zauważyłem podniecony, że były one na tyle duże, by ptaszek mógł dostać się do pokoju. Ale czy gniazdo było tam już, zanim umarł mój ojciec? Nie byłem tego całkowicie pewien, ale wydawało mi się, że tak.

A więc mój ojciec wcale nie zostawił na prochach żadnego śladu! Co za ulga! A co z jedzeniem — kto lub co je zjadło? Może jeden z Asurów lub Rakszasów, demonów opisywanych w Wedach, maczał w tym swoje palce,

chcąc nas wprowadzić w błąd. Właśnie tak! Mój ojciec będzie mnie jednak bronił przed tymi złymi siłami — on oraz inni Wyniesieni Mistrzowie. Będę wierzyć w mojego ojca i w to, co uczynił. I pójdę w jego ślady.

\* \* \*

— Rabi! Gdzie jesteś? Przyjechał Baba! — to wołała mnie Nanee.

— Idę, Ma! — szybko wbiegłem po schodach do domu, gdzie wszyscy witali serdecznie naszego dobrego przyjaciela.

— Rabi! — zawołał ten wielki człowiek, ściskając mnie w gorącym uścisku. Jankhi Prasad Sharma Maharaj, rodem z Indii, był największym na wyspie mędrce. Jego odwiedziny w domu były nielada honorem, jaki nas spotykał, jako bliski przyjaciel i wielbiciel mojego ojca Baba zawsze zatrzymywał się u nas, kiedy mijał nasz dom w czasie swych podróży, podczas których przemierzał Trynidad wzdłuż i wszerz. Posługiwał się głównie językiem hindi — w bardzo niewielkim stopniu angielskim — był też biegły w sanskrycie. Wysoki, o jasnej skórze i dość tęgi, z długą siwiejącą brodą, mógłby uchodzić za Świętego Mikołaja, gdyby był nieco grubszy. Dla niektórych był postacią napawającą lękiem — w kontaktach ze mną był jednak wesoły i przyjazny — jak Mikołaj i darzyliśmy się wzajemną miłością.

— Rabi! — zawołał ponownie, wyciągając mnie na odległość ramion. — Z każdym dniem widzę w tobie coraz bardziej twojego ojca. Bhagwan sprawuje nad tobą pieczę. Pewnego dnia będziesz wielkim Jogiem! Masz oczy swojego ojca i będziesz miał też znowu jego włosy — dodał ze śmiechem, pełnym miłości gestem przeczesując palcami mojego krótkiego jeża, który wydawał się rosnąć tak powoli.

Zwrócił się do mojej matki, która stała obok mnie dumą promieniejąc. — On jest niezwykle wyjątkowy. Bardzo wyjątkowy! — powtórzył, potrząsając głową dla potwierdzenia swoich słów. — Pewnego dnia będzie wielkim Jogiem, tak jak jego ojciec — Wypiąłem pierś, a moje oczy zaszczyły łzami. Tak, będę nim. Wyprostowałem się tak bardzo, jak tylko mogłem.

Tym razem wizyta była krótka. Udawał się właśnie do Port of Spain, aby odprawić tam specjalną puja dla bogatego Hindusa, który zachorował na raka i chciał, aby przygotować mu — za przyzwoitą opłatą — drogę do wstąpienia W/następne życie. Niektórzy mędrzy za odpowiednią cenę obiecywali nawet nirwanę. Mędrzec Jankhi nie dawał żadnych takich gwarancji, jednakże tysiące Hindusów wierło głęboko w skuteczność jego wstawiennictwa u dewów i z chęcią dobrze płaciło, by je otrzymać.

Po udzieleniu nam swego błogosławieństwa, wielki mędrzec ogarnął wokół siebie swą dhoti i przeszedł majestatycznie w kierunku drzwi, gdzie

się zatrzymał, by wykonać ukłon. Z dłońmi złożonymi przed twarzą skłoniliśmy się wszyscy w jego kierunku, oddając cześć mieszkającemu w każdym z nas bóstwie. Jeszcze chwila i już schodził szybko w dół po schodach. Wybiegłem na werandę i pomachałem mu, gdy wsiadał do czekającego na niego samochodu. Jego słowa ciągle jeszcze rozbrzmiewały mi w uszach, kiedy samochód zniknął za pierwszym zakrętem. Nie mogłem zapomnieć o tym, że byłem wyjątkowy. Wszyscy przypominali mi o tym fakcie. Miałem być wielkim mędrce; więcej — Jogiem, świętym człowiekiem, tak jak mój ojciec.

Matka stała obok mnie i również machała ręką. Objęła mnie ręką i poklepała po ramieniu. Wydawało mi się, że wiem, o czym myśli. Miałem kontynuować dzieło mojego ojca; jego los stał się moim udziałem. Razem z nią mieliśmy pójść w jego ślady.

Myliłem się jednak. Myślała o czymś zupełnie innym i próbowała znaleźć słowa mogące zmniejszyć bolesne skutki tego, co zamierzają mi oznajmić.

— Prochy twojego ojca muszą być zabrane nad Ganges, Rabi — powiedziała w końcu — i rozrzucone nad tą najświętszą z rzek, by poniosła je do morza. Chciałabym, żebyś zrobił to samo z moimi, kiedy umrę.

Ganges! To słowo otaczała niezwykła aura tajemniczości. Święta Matka rzek — podobnie jak krowa, Matka nas wszystkich; jej czyste wody wypływały z najwyższych szczytów Himalajów i spływały przez rozległe stopy i doliny do Zatoki Bengalskiej. W Benares, Najświętszym Mieście, prochy muszą być rozrzucone nad wodami. Miało to być ostateczne powierzenie duszy ojca w ramiona Kriszny.

— Zabierzesz mnie z sobą, prawda, mamó? — Błagałem ją. — Proszę! Proszę cię, Mamó! Muszę pojechać z tobą! Musisz mnie zabrać!

— Chciałabym, Rabi, ale to za daleko dla ciebie. Zmęczyłbyś się. No i oczywiście nie możesz nie chodzić do szkoły...

— Nie zmęczyłbym się! A do szkoły mógłbym chodzić w Indiach.

Powoli i ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Przykro mi naprawdę... ale nie martw się, wrócę szybko. Obiecuję.

— Proszę nie zostawiaj mnie! — prosiłem ją usilnie. — Nie chcę tu zostać zupełnie sam bez ciebie!

— Nie będziesz sam. Jest przecież Ma i ciotka Revati — wszyscy twoi kuzyni i wuj Kumar i Lari... — Objęła mnie i poklepała po ramieniu. — Wkrótce wrócę, Rabi. To obietnica. Co byś chciał, żebym ci przywiozła z Indii?

— Słonia! — odpowiedziałem szczerze. — Takiego jak na obrazkach!

Matka nauczyła mnie, że przyjmowanie zrządeń losu bez szemrania było moim obowiązkiem jako Hindusa. Jednakże ten obowiązek stoickiej akceptacji mojej karmy, narzuconej mi przez Pana Krisznę, stał się dla mnie — małego chłopca — zbyt wielkim ciężarem do zniesienia, kiedy w końcu nadszedł dzień wyjazdu mojej matki. Przepełniony smutkiem, usiadłem obok niej w samochodzie, mającym zawieźć ją na nabrzeże Port of Spain, gdzie z kolei miała wsiąść na statek do Anglii, a stamtąd do Indii. Ma, która nie mogła jechać z nami, machała ręką przez okno; matka kiwała jej również i tak odjeżdżaliśmy w ten najsmutniejszy ze wszystkich dni. Ja też pomachałem jej na Pożegnanie, zdecydowany, że pojedę razem z matką do Indii. W silnych podmuchach wiejącej bryzy najnowsza flaga Hanumana powiewała na szczycie masztu stojącego przed sklepem z alkoholem i produktami sypkimi. Sylwetka mojego ulubionego bohatera, małego boga Hanumana, wycięta starannie przez Ma z białego materiału i przyszyta na czerwonym bawełnianym tle, wydawała się również machać mi na pożegnanie. Dobra wróżba!

Razem z nami jechało około dwunastu samochodów pełnych krewnych i przyjaciół, odprowadzających moją matkę. Niecały rok minął od czasu, gdy wielu z nas odprowadzało na tym samym nabrzeżu wujka Deonarine'a udającego się do Anglii. Był on najstarszym bratem mojej matki i udawał się na studia na Uniwersytecie Londyńskim. Deonarine był dla mnie jak ojciec. Staliśmy wszyscy na molo i płakaliśmy, podczas gdy statek wypływał wolno z portu. Czułem się, jakby miało mi pęknąć serce. A teraz wyjeżdżała moja matka. Ukradkiem otarłem sobie łzy rękawem. Chciałem być odważny, lecz krewni i znajomi nieustannie przypominali mi o tym, jaki to przywilej dla mojej matki udającej się w tę świętą pielgrzymkę. W końcu stało się to nie do zniesienia. „Twoja matka jedzie do Indii, Rabi, nad Ganges! Jakie to szczęście, chłopcze!” — powtarzali ciągle. — Nie bądź taki smutny. Wkrótce wróci. Jak mogłem powiedzieć im — albo jej — że pękało mi serce?

Weszliśmy wszyscy na pokład. W otępieniu słuchałem entuzjastycznych komentarzy, jak ogromny i luksusowy był statek, jak wygodne miał kabiny, a jedzenie — jakże podniecała cudzoziemska kuchnia na tym holenderskim statku. Wszystko to było takie absurdalne. Czy mojej matce zależało na luksusach? A jeśli chodzi o jedzenie, to posłała do portu jednego z moich wujów, aby jej kupił spory zapas owoców i warzyw na podróż. Zupełnie dobrowolnie, w wieku zaledwie czterech lat, złożyłem solenne przyrzeczenie

przestrzegania ahinsy — zasady niestosowania przemocy, nakazującej szanowanie wszelkiego rodzaju życia — stając się, podobnie jak moja matka — całkowitym wegetarianinem. Jak oni śmieli wyobrażać sobie, że będzie ona choćby tylko siedzieć w tej samej jadalni, gdzie mięso świętej krowy pożerane jest przez niewiernych!

Moja gorliwość religijna miała nie tylko zadowolić bogów i być jedynie naśladowaniem mojego ojca — miała też sprawiać radość mojej matce, która nauczyła mnie hinduizmu. Byliśmy sobie tak bliscy i tak bardzo ją kochałem. niesprawiedliwością było to, że miano nas rozdzielić. Ja, który naśladowałem hinduskie ideały o wiele bardziej wiernie niż ci krzykliwi ludzie życzący matce szczęścia i tak głupio wypowiadający pochwały na temat tej podróży, która sprawiała mi tyle bólu.

Syrena okrętowa wydała długi i donośny dźwięk.

Do widzenia... szczęśliwej podróży... napisz szybko... będzie nam ciebie brakować! — Każdy próbował rzucić swoje ostatnie słowo.

— Pocałuj swoją mamę, Rabi! — ciotka Revati wypchnęła mnie do przodu. Realność czekającej mnie samotności zwała się na mnie całą siłą.

— Ja też jadę do Indii! — zawołałem, rzucając się obiema rękami na gałkę u drzwi do kabiny matki i zaciskając ją w śmiertelnym uścisku.

Kaka Nakhi, który był kiedyś szoferem Nany i woził go jego wielkim czarnym Dodgem, wyciągnął w moim kierunku torebkę świeżych orzeszków ziemnych. Uwielbiałem je.

— Zobacz, Rabi — próbował mnie ugłaskać. — Weź je sobie. Nie miałem jednak zamiaru dać się oszukać. Nie było sposobu, w który mogliby mnie nakłonić do puszczenia tych drzwi.

— Rabi, zaczęła mnie prosić Matka. — To do ciebie nie podobne. Idź już. Idź z ciotką Revati. Możesz mi pomachać z nabrzeża.

Wzmocniłem mój uścisk.

— Jadę z tobą, Mamo! Proszę! Zabierz mnie ze sobą!

— No już. Musimy iść! — powiedziała ciotka Revati z oczami pełnymi łez na myśl o rozłące z siostrą. — Statek zaraz odpłynie. — Spróbowała delikatnie zdjąć moją dłoń z klamki, jednakże strach dodał mi sił. Widziałem niezdecydowanie na twarzy mojej matki. Nie do pomyslenia byłoby używać wobec mnie siły lub sprawiać mi ból. Byłem świętym dzieckiem, braminem, synem wielkiego Joga. Rozległ się drugi ostrzegawczy sygnał syreny okrętowej.

— Musimy wszyscy wyjść — w tej chwili! — Był to mój wuj Kumar, stojący nade mną, próbujący okazać delikatność, lecz w zdecydowany

sposób. Był radcą prawnym w naszym okręgu i jego głos zawsze niósł w sobie pewną nutę władzy. Ja jednak byłem zdeterminowany i zacząłem krzy-  
czeć, trzymając się desperacko. Do Kumara przyłączył się Kaka Nakhi i  
razem już próbowali łagodnie oderwać moje dłonie od klamki. Udało im się  
zjedną ręką, ale zaraz wróciła ona na swoje miejsce, kiedy usiłowali oderwać  
drugą. Moje krzyki zwiększały jeszcze zamieszanie. — Jadę z Mamą! Jadę z  
Mamą! — wrzeszczałem.

Nigdy przedtem nie zachowywałem się w ten sposób. Ja — małe święte  
dziecko — wywoływałem przyprawiające o szok zamieszanie w obecności  
krewnych, którzy stali jak rażeni gromem. Nie było już jednak więcej czasu  
do stracenia. Wspólnym wysiłkiem Lari i Nakhi oderwali mnie od drzwi i  
wynieśli z kabiny matki. Znieśli mnie, kopiącego i krzyczącego, ze statku na  
nabrzeże.

Co za pożegnanie! Opuściła mnie nagle cała moja energia. Stałem tak,  
szlochając, nie będąc w stanie zobaczyć przez łzy machającej mi z pokładu  
matki, a tymczasem statek odbijał od nabrzeża. Przez całą drogę do domu nie  
można było mnie uspokoić. Tej nocy płakałem tak długo, aż zasnąłem.  
Następnego dnia nie chciałem nic jeść, szlochając histerycznie mimo  
wszelkich wysiłków mających mnie pocieszyć. Wiedziałem, że powinienem  
podporządkować się wszystkiemu, co niosła z sobą moja karma. Byłem  
jednak tylko małym chłopcem, z dziecięcymi emocjami, potrzebującym  
miłości, którą mogła mi dać tylko matka.

Nigdy już jej więcej nie zobaczę. Było to straszliwe przekonanie  
narastające we mnie z każdym konwulsyjnym szlochem.

# Karma i przeznaczenie

— Musisz się nauczyć cierpliwości, Rabi. Niewiele jest rzeczy ważniejszych... i trudniejszych.

— Ale Ma, jak mama mogła powiedzieć, że wróci szybko? To już dwa lata, a teraz w następnym liście znów pisze, że w przyszłym roku. Za każdym razem w przyszłym roku! — Ciągłe jeszcze powtarzałem pytającym mnie o to kolegom, że wróci „w przyszłym roku”, ale sam już w to nie wierzyłem.

Nanee siedziała na swoim zwykłym miejscu przy oknie, gdzie odwiedzałem ją każdego ranka. Pochylony nisko, ze złożonymi dłońmi, siadywałem wtedy ze skrzyżowanymi nogami na podłodze naprzeciw niej. Obserwowałem jej zwinne palce gdy zaczynała haftować, zajmowało jej to większą część dnia. Prawie wszystko, co zrobiła rozdawała innym. Unieruchomiona od pasa w dół na skutek choroby polio, której nabawiła się w dzieciństwie, oraz w wyniku wielu nocy przespanych w deszczu pod drzewem mango z powodu okrucieństwa Nany, zносиła swój ból i nieszczęście bez słowa skargi. W rzeczywistości była najpogodniejszą osobą w domu, do której zwracali się wszyscy potrzebując pociechy lub rady.

— Miej cierpliwość, Rabi — powiedziała jeszcze raz. — Cierpliwość. Nam wszystkim brakuje twojej mamy. Otrzymała jednak stypendium umożliwiające jej studia na uniwersytecie w Benares. Nie wiesz o tym, ale jeszcze przed małżeństwem pragnęła studiować na uniwersytecie. To jej karma, rozumiesz? Nikt nie może tego odmienić.

— Czy myślisz, że mama naprawdę wróci w przyszłym roku? — zapytałem.

— Nigdy nie trać wiary w swoją mamę, Rabi — ani w nikogo innego — odpowiedziała łagodnie Ma. — Teraz zamierza wrócić w przyszłym roku, lecz jeśli tak się nie stanie, to wiedz, że jest jakiś powód i znoś to cierpliwie.

Niełatwo było posłuchać tej rady.

Ma była taka łagodna dla innych. Nigdy nie powiedziała ostrego słowa, nigdy nie było słycać w jej głosie tej nuty złości tak typowej dla tak wielu spośród pozostałych domowników. Była rozjemcą w rodzinnych dysputach, które czasami stawały się bardzo zaciekle. Czuliśmy nieraz wyraźnie, że to zły duch Nany wywołuje kłótnie między jego potomkami. Wspianiałe usposobienie Ma było jak balsam przyłożony do rany.

Nie znaczy to, że Nana był tylko i wyłącznie kłótliwym człowiekiem. Czasami wydawał się być wcieleniem dobroci i hojności — pożyczał pieniądze biednym, czasem nawet niektórym spośród czarnych, którzy żyli w pogardzie u większości Hindusów. Nana stawał się wtedy ich uwielbianym przyjacielem i dobroczyńcą. Stojąc na werandzie, rzucał nieraz garściami srebrne monety na ziemię przed sklepem, ku zachwytowi dzieci i robotników z pobliskich pól, którzy rozdrapywali pieniądze tak, jakby spadały z nieba. Nana był pierwszym człowiekiem w naszej części wyspy — który posiadał radio — duży, kosztowny model, sprowadzony ze Stanów Zjednoczonych — często chętnie dzielił się z innymi tą cudowną skrzynką. W wielkim salonie ustawiano rzędami krzesła; zapraszano sąsiadów, klientów, przyjaciół i krewnych; następnie radio nastawiano na cały regulator — przypominało to kino bez ekranu. Tym wielkim honorem obdarzał bezstronnie zarówno bogatych jak i biednych, którzy jak jeden mąż zachwycali się tym niezwykłym urządzeniem.

Zła strona charakteru Nany wydawała się jednak leżeć tuż pod maską dobroci i zazwyczaj dawała o sobie znać nagle i bez ostrzeżenia. Obsługując klienta w położonym na dole sklepie z trunkami, mógł wyjść nagle w samym środku transakcji, wejść po schodach do mieszkania na górze, złapać ciężki pas ze skóry i w wybuchu wściekłości zacząć okładać nim wszystkich — oprócz mnie — z jakiegoś powodu, którego nikt nie mógł się domyślić. Przyjmowaliśmy to jako jego karmę, jako coś, co było pozostałością jednego z jego poprzednich wcieleń. Mitologia hinduska jest pełna opowieści o demonach sprawujących kontrolę nad złą karmą. Czasami wydawało się, że w Nanę wstąpił jakiś zły duch najgorszego rodzaju, będący w stanie w jednej chwili przemienić go z Dr. Jekylla w Mr. Hyde'a. Szeptano, że to być może duchy pilnujące jego bogactwa zawładnęły jego duszą. Wydawało się bowiem, że jest coś nadprzyrodzonego w tych jego napadach gniewu, w sile i przebiegłości, które w takich przypadkach okazywał. Był jednak także człowiekiem religijnym, każdego ranka i wieczoru odprawiającym swoje hinduskie modlitwy i obrzędy; zbierał wszystkie dzieci, by śpiewały hinduskie bhajany i odmawiały mantry poświęcone bóstwom.

Mimo, że Nana wziął sobie inną żonę po tym, jak Nanee została sparaliżowana, zdarzało się, że traktował Ma z wielką dobrocią. Gotowy wydać fortunę na znalezienie dla niej lekarstwa, Nana płacił ogromne sumy mędrcom, specjalizującym się w uzdrawianiu. Zabierał ją również do różnego rodzaju czarowników i uzdrowiaczy, do wielkiego szpitala w Port of Spain, a nawet do słynnego katolickiego sanktuarium. Jednakże ani jego pieniądze, ani duchy, na których polegał, nie były w stanie dokonać

najmniejszej poprawy. Ma pozostała częściowo sparaliżowana od pasa w dół i tylko z największym wysiłkiem mogła się w ogóle poruszać.

Dzieci nosiły ukochaną Ma po całym domu — na jej krzesło przy oknie, do jadalni na posiłki, do salonu, kiedy przybywali z wizytą krewni i znajomi lub mędrzec mający odprawić specjalną puja. Większość dnia Ma spędzała siedząc na swoim ulubionym miejscu, gdzie zanoszono ją każdego ranka po kąpielu — mogła tam patrzeć ponad palmami kokosowymi, polami trzciny cukrowej i namorzy-nowymi mokradłami na rozciągającą się w oddali zatokę. Odrywając wzrok od delikatnej robótki, by dać wytchnienie oczom, uwielbiała oglądać jaskrawo ubarwione motyle i różne gatunki ptaków przelatujących z jednego drzewa na drugie lub fruujących grupami wysoko na niebie: znajdował się między nimi mały ptaszek, nazywany przez nas Blue jeans, co do którego byłem przekonany, że zostawił ślad na prochach mojego ojca.

Kiedy Ma była w szpitalu w Port of Spain, ktoś podarował jej Biblię, którą zabrała z sobą do domu. Bardzo polubiła tę zakazaną księgę, szczególnie Psalmy. Gdy Nana odkrył, że w tajemnicy czyta ją swoim dzieciom, ogarnęła go ślepa wściekłość.

— Ja cię nauczę sprowadzać chrześcijańskie kłamstwa pod mój dach! — wrzeszczał w języku hindi. Wyciągnąwszy swój ciężki skórzany pas, zaczął ją bić z całej siły, robiąc jej okropne pręgi na plecach i ramionach. Następnie, uniósłszy Ma w swoich potężnych ramionach, wyniósł ją na werandę i zrzucił na dół z wysokich schodów. Kiedy leżała tam, jęcząc z bólu, podarł znenawidzoną księgę na kawałki i wyrzucił do śmieci. W jakiś sposób zdobyła inną Biblię, a wtedy ponownie ciężko ją pobił i zrzucił ze schodów. Znajdująca się w podobnym położeniu, choć z innych powodów, druga żona Nany została wygnana z domu. Jednakże Nanee nie była na tyle sprawna, by uciec i wytrwale znosiła te tortury, przyjmując je jako swoją karmę.

To, że czytała tę znenawidzoną chrześcijańską księgę, było dla mnie niezrozumiałe. Kiedy pewien znajomy mędrzec cytował czasami Biblię, mój gniew nie znał granic. Był on wielbicielem Ramakriszny, słynnego czciciela Kali i nauczyciela Vivekenandy, który był założycielem Towarzystwa Vedanta. Podobnie jak Ma, wierzył on, że wszystkie religie mają w sobie pewne elementy prawdy i że w końcu doprowadzą swoich wyznawców do Brahmanu. Byłem już zbyt fanatycznym hindusem, by się z tym zgodzić. Kiedy w Bhagavad-Gicie przeczytałem słowa Pana Kriszny mówiące, że wszystkie drogi prowadzą do niego, byłem bardzo rozczarowany. Musiałem to zaakceptować, ponieważ tak mówiła Gita, lecz pocieszałem się,

przypominając sobie, że moja religia jest najlepszą drogą. Pragnienie Ma połączenia swojej religii z chrześcijaństwem było jedynym punktem niezgody między nami; nigdy jednak na ten temat nie dyskutowaliśmy.

Moja ciotka Revati była bardzo gorliwą Hinduską. Była całkowicie przeciwna czytaniu Biblii.

— Czytaj Bhagawad-Gitę, Rabi, nieustannie — napominała mnie często. Darzyłem ją szacunkiem za tryb życia jaki prowadziła. Próbowwała zająć miejsce mojej matki i nauczyła mnie wiele z Wed, szczególnie z Vedanty, która była jej ulubioną księgą.

Akceptowałem wszystko, co mówiły te święte pisma, chociaż wiele rzeczy było trudnych do zrozumienia i wydawało się być sprzeczne ze sobą. Zawsze miałem przejmującą świadomość, że Bóg istniał zawsze i że to on wszystko stworzył. A jednak Wedy mówiły, że był taki czas, kiedy nie istniało nic — Brahman powstał z niczego. Nawet Gosine nie potrafił pogodzić tego z pochodzącym z Gity stwierdzeniem Kriszny: „To, czego nie ma, nigdy nie może być”. Pozostało to dla mnie zagadką.

Koncepcja Boga właściwa hinduizmowi mówiąca o tym, że każdy liść, każdy insekt, każda gwiazda jest Bogiem, że Brahman jest wszystkim i wszystko jest Brahmanem — nie kolidowała z moją świadomością Boga jako kogoś, kto nie jest częścią wszechświata, lecz jego Stworzycielem kto jest kimś innym i o wiele większym niż ja i nie jest we mnie, tak jak byłem tego uczony. Zarówno ciotka Revati, jak i Gosine tłumaczyli mi, że podobnie jak wszystkie inne istoty ludzkie, byłem ofiarą mayi, błędnej koncepcji na temat rzeczywistości, zwodzącej wszystkich, którzy nie byli jeszcze oświeceni. Postanowiłem pozbyć się tej oznaki ignorancji. Mój ojciec podjął walkę i pokonał złudzenie odrębności od Brahmanu. Ja też chciałem tego dokonać.

Po tajemniczej śmierci mojego ojca stałem się ulubionym obiektem zainteresowań wróżbitów odczytujących los z dłoni, astrologów i przepowiadaczy przyszłości, którzy często zatrzymywali się w naszym domu. Nasza rodzina nie podejmowała w zasadzie ważnych decyzji bez konsultacji u astrologa, było więc ważne, by moja przyszłość została potwierdzona w ten sam sposób. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy uczynić coś, czego nie przepowiedziały gwiazdy. Bardzo zachęcające było więc to, że dowiadywałem się, iż linie moich dłoni, planety i gwiazdy — zgodnie z tym, co mówili interpretujący je ludzie — zgadzały się co do tego, że zostanę wielkim hinduskim przywódcą. Jog, guru, mędrzec, sanyasi — najwyższy kapłan w świątyni — wszystkie te przepowiednie wprowadzały mój młody umysł w oszołomienie.

Pewna szczególnie utalentowana wróżbitka, zajmująca się odczytywaniem losu z dłoni, mieszkała w małej wiosce Mayo, odległej o około siedem mil. Z całej wyspy zjeżdżali się tam ludzie, by poradzić się tej pięknej córki bramińskiego kaptana w sprawach przyszłości. Była ona szczególnie popularna wśród mędrców, którzy często się z nią konsultowali. Przebywając pewnego dnia w naszym domu, przyjrzała się dokładnie mojej dłoni i oznajmiła:

W wieku 20 lat ciężko zachorujesz, ale potem będziesz żył długo. Będziesz sławnym hinduskim Jogiem, poślubisz piękną hinduskę przed ukończeniem 25 lat; będziesz miał czwórkę dzieci i będziesz bardzo bogaty! — Czy można było chcieć więcej? Z pewnością bogowie uśmiechnęli się do mnie!

Dom nasz odwiedzał często również inny człowiek, będący jednym z najbardziej popularnych na wyspie mediów — słynny bramin, który widywał siedzące obok siebie kobry, kiedy zapadał w stan głębokiej medytacji. Był on zakochany w ciotce Revati i miał nadzieję ją poślubić. Jego przepowiednie dotyczące mojej przyszłości jako słynnego i bogatego mędrca były równie wspaniałe. Człowiek ten posiadał magiczną moc, którą uzdrowił już wielu ludzi z poważnych chorób — chociaż nie mógł pomóc Ma — a jego przepowiednie były uważane za nieomyłne. Mając potwierdzenie tak wielu wróżbitów, któż mógł wątpić w moje przeznaczenie, czy też w to, że — jak to często powtarzał Baba Jankhi — byłem wyjątkowy?

Za każdym razem, gdy przepowiadano mi przyszłość, rosło przekonanie, że rzeczywiście byłem wyznaczony do spełnienia w hinduizmie ważnej misji. Nie przypadkowo zrodziłem się jako syn słynnego Joga, czczonego przez wielu ludzi jako awatar. Było to moim przeznaczeniem. W miarę jak wzrastało moje zrozumienie karmy, również i to stawało się czynnikiem wpływającym na moją ostateczną decyzję. Z pewnością wysiłki nagromadzone w poprzednich wcieleniach sprawiały, że w nieunikniony sposób miałem w mojej obecnej inkarnacji rozpocząć wkrótce poważne studia, które uczynią ze mnie hinduskiego kaptana.

Kiedy oznajmiłem, że moje następne letnie wakacje chcę spędzić na studiach w świątyni, nikt nie był szczęśliwszy niż Phoowa Mohanee, przyrodnia siostra mojego ojca. Była ona głęboko religijna i często na wielkich uroczystościach wygłaszała mowy — zawsze w języku hindi. Szanowałem jej mądrość i z uwagą wysłuchiwałem jej rad. Po śmierci mojego ojca przeniosła na mnie okazywane kiedyś jemu oddanie. Przy okazji swoich częstych wizyt zawsze przynosiła mi prezenty: słodycze, ubranie czy

pieniądze. Takie podarunki, składane braminowi, podobały się bogom i zakarbiały ofiarodawcy dobrą karmę. Kiedy tylko Phoowa dowiedziała się o mojej decyzji, pospieszyła z wizytą, by mi pogratulować.

— Rabi — zawołała, obejmując mnie. — Twój ojciec będzie z Ciebie dumny! Do jakiej świątyni zamierzasz się udać?

— Do takiej, gdzie mają swami z Indii — odpowiedziałem.

— W takim razie aszram w Daruga będzie dla Ciebie odpowiednim miejscem! — zawołała Ajee, matka mojego ojca. Ajee straciła wzrok po zastosowaniu domowego leku jednego z mędrców, więc ojciec mego ojca, Ajah, wziął sobie inną żonę. Podobnie jak wiele innych bogatszych kobiet, które przybyły z Indii, Ajee była chodzącym sklepem jubilerskim. Obie ręce od przegubów po łokcie zakute były w złote i srebrne bransolety. Na szyi nosiła ciężki złoty naszyjnik, wysadzany złotymi monetami, a z jednej strony jej przebitego nosa zwisał złoty kwiat. Jeszcze więcej złotych i srebrnych bransolet obejmowało obie kostki powyżej jej bosych stóp. Stanowiła ona spory kontrast w stosunku do mojej ukochanej Nanee, która tylko czasami nosiła jakąś bransoletę.

— Masz rację. Oczywiście! — zgodziła się Phoowa — swami, który założył tę świątynię, był naprawdę dobry — Jej oczy błyszczały entuzjazmem. — Przyjechał z Indii, kiedy byłeś małym chłopcem. Twoja matka i Revati jeździły za nim wszędzie, biorąc udział we wszystkich puja. W świątyni też zrobił wiele dobrego. A ten, który jest tam teraz, też jest taki! Wcale nie żartuję.

Położyła mi dłoń na głowie i spojrzała mi w twarz. W jej oczach dostrzegłem wielką dumę, ale w głosie było coś więcej niż duma - jakiś prorocki autorytet, który wywołał we mnie dreszcz. — Będiesz wielkim Jogiem, większym nawet niż się ktokolwiek spodziewa! — oznajmiła z powagą. Wierzyłem jej całym moim sercem. To była bez wątpienia moja karma.

Przyjęcie na naukę do świątyni w Durga prowadzonej przez słynnego Brahmacharyę było wielkim wyróżnieniem, a ja miałem tylko dziesięć lat. Jednakże moja reputacja rozprzestrzeniła się już w naszej części wyspy. Większość mędrców w promieniu wielu mil znała i szanowała mojego ojca; przepowiedali mi świetną przyszłość, nie tylko dlatego, że mój ojciec był takim wielkim hindusem, ale i dlatego, że ja sam się już sprawdziłem prowadząc zdyscyplinowane religijne życie. Wszyscy pamiętali, że dwanaście dni po moim narodzeniu mędracy zorganizowali bardzo wielkie barahi.

W pełnym posłuszeństwie Wedom i prawom Manu dokładnie wypełniałem pięć codziennych obowiązków dwukrotnie narodzonego: składałem ofiary bogom, Prorokom, przodkom, niższym zwierzętom oraz ludziom, zawarte w codziennych religijnych praktykach, które rozpoczynałem świcie i kończyłem po zachodzie słońca. Mimo, że niektórzy religijni Hindusi nosili skórzane pasy lub buty, ja wzdragałem się na myśl o wkładaniu skóry jakiegokolwiek zwierzęcia, szczególnie krowy. To mógł być jeden z moich przodków lub nawet bliski krewny! W mojej religii nie było dla mnie żadnych kompromisów i moja reputacja jako młodzieńca mającego zostać mędrceem sięgała daleko poza nasze miasto.

Wstawszy wcześniej rano, powtarzałem natychmiast stosowną mantrę do Wisznu i składałem wewnętrzny hołd naszemu rodzinnemu guru. Recytowałem poranną modlitwę pamięci z największą żarliwością, postanawiając w ten sposób wykonać dzieło tego dnia pod przewodnictwem Pana Wisznu i potwierdzając, że stanowiłem jedność z Brahmanem: „Ja jestem Panem, w niczym nie różnię się od Niego, Brahmanu, i nie cierpię z powodu żadnej troski udreki. Ja jestem istnieniem — wiedzą — szczęściem, zawsze wolnym. O Panie świata, wszelka mądrości, najwyższe bóstwo, małżonku Lakszmi, O Wisznu, budząc się wcześniej rano, będę spełniać obowiązki mojej ziemskiej egzystencji... O panie Hriszikesa, władający moją zmysłową istotą, z Tobą w głębi mego serca, będę postępować tak, jak mi nakazano”.

Potem następowała moja — odbywana jeszcze przed świtem — rytualna kąpiel, będąca aktem oczyszczenia, który przygotowywał mnie do mających nastąpić później obrzędów. Recytowałem wtedy mantrę Gayatri, rozpoczynając się od nazw trzech światów: „OM, Bhuh, Bhuvah, Suvach — medytujmy nad tym cudownym blaskiem oślepiającego dawcy życia, Sawitara; niech pobudza nasze rozумы”. Była ona uznawana za mantrę mantr, samą esencję uzyskiwanej przez bramina mocy duchowej. Powtarzałem tę odę do słońca, pochodzącą z Rigwedy, setki razy dziennie, zawsze w sanskrycie, języku bogów. Jej wartość wynikała z powtarzania im więcej razy, tym lepiej i jako małe dziecko recytowałem ją szybko tysiące razy, zanim nauczyłem się, co ona oznacza. Ważniejsze od zrozumienia znaczenia było prawidłowe wymawianie sanskryckich dźwięków. Już samo to stanowiło podstawę skuteczności mantry. Wierzyłem niewzruszenie, tak jak wszyscy ortodoksyjni Hindusi, że mantra uosabiała samo bóstwo i tworzyła to, co wyrażała. Wierzyłem, że przez prawidłowe powtarzanie mantry

Gayatri i oddawaną mu codziennie cześć samo słońce utrzymywane było na swym właściwym miejscu.

Następnie nadchodził czas na poranne obrzędy, sprawowane w pokoju modlitw. Pełen powagi, w zamyśleniu i z pewnym uczuciem lęku zapalałem zapalną i przykładałem ogień do nasączonego bawolim tłuszczem bawełnianego knotu deyi, skupiając całą moją uwagę na migotającym płomyku — również bogu. Z nabożną czcią, mając jednak poczucie mojej własnej świętości przez dostąpienie takiego honoru, brałem maść z drzewa sandałowego i wykonywałem świeży znak chanan na czole każdego z bóstw oraz na fallicznym symbolu Śiwy. Zapach drzewa sandałowego, napełniający pokój modlitw sprawiał, że przenikał mnie dreszcz emocji — uczucie zmysłowej rozkoszy na myśl mojej bliskości z tak wieloma bogami.

Siadając w pozycji lotosu z twarzą skierowaną ku wschodowi, popijałem wodę oraz rozpryskiwałem ją na siebie i wokół mnie dla ceremonialnego oczyszczenia. Później praktykowałem Jogę, ucząc się kontroli oddechu, a następnie przywoływałem czczone przeze mnie bóstwo wykonując nyasę — dotykając mego czoła, ramion, klatki piersiowej i ud, umieszczając symbolicznie w ten sposób bóstwo w moim własnym ciele. Odczuwałem mistyczną jedność z każdym czczonym przeze mnie bogiem. Siedząc przed ołtarzem, spędzałem godzinę na głębokiej medytacji, koncentrując całą moją uwagę na czubku nosa dopóki nie straciłem kontaktu z otaczającym mnie światem i nie zacząłem dostrzegać jedności mojej istoty Jediną Rzeczywistością, będącą podstawą wszechświata. Oddaliwszy bóstwo krótką ofiarą wody i złożeniem mu hołdu, wychodziłem na zewnątrz, gdzie przez kolejną godzinę czciłem słońce, często wpatrując się w nie długo szeroko otwartymi oczyma i ponownie powtarzając setki razy mantrę Gayatri. Wierzyłem, tak jak zostałem nauczony, że jest ona w stanie zbawić całkowicie oddaną jej duszę. Kochałem moją religię, a czcząc pamięć mego ojca, wiedziałem, że musi być zadowolony.

\* \* \*

Mimo, że wewnętrznie byłem przepelniony podnieceniem wynikającym z niecierpliwego oczekiwania, w sercu moim był też i smutek. Odczuwałem to tego ranka, kiedy wuj Kumar miał odwiedzić mnie i moją małą walizkę swoim wielkim żółtym kabrioletem — jedynym tego rodzaju na wyspie — do świątyni w Durga. Wiedziałem, że będzie mi brakować mego drogiego przyjaciela Gosine'a, który z każdym dniem wydawał się coraz starszy.

Przeszedłszy ścieżką przez bramę i dalej przez wąską uliczkę, zastałem go siedzącego w słońcu i powtarzającego cicho swoje poranne mantry. Słyszając moje kroki, przerwał modlitwę, by mnie powitać.

— A więc wyjeżdżasz dzisiaj — powiedział, gdy pokłoniliśmy się sobie z powagą. — Myślałem o tobie, kiedy obudziłem się wcześniej dziś rano, a potem moje myśli skierowały się ku twojemu Ajah. To bardzo dobry znak! To nic, że pod koniec życia pił tak dużo, ale był wielkim mędrce. Dobry znak, bracie! Nie myślałem o nim już od długiego czasu.

— Chciałbym, żeby jeszcze żył — powiedziałem w zadumie. — Mówią, że był Hindusem z wyższych sfer. — Pamiętałem go tak dobrze: wysoki, o jasnej skórze, szarych oczach, prawie jak biały człowiek, lecz w każdym calu bramin.

— Każdemu to, na co zasłużył — rzekł Gosine z powagą tak jakby był sędzią uważnie analizującym sprawę. — Nie musiał opuszczać Indii i przyjeżdżać aż tutaj... nie było tu prawie wcale mędrców. Taak, pamiętam te czasy zupełnie dobrze. Przyjechał jednak i wykonał wspaniałe dzieło, i wiele pomógł nam, Hindusom. Hindusi z mojego pokolenia dobrze to wykorzystali. A on również zrobił dobry użytek z daksziny — dodał z figlarnym błyskiem w oku.

— Znałeś go więc? — Znałem oczywiście odpowiedź na to pytanie, lecz nieuprzejmie z mojej strony byłoby nie zapytać.

Czy go znałem? Pytasz o to starego Gosine'a? Ludzie dawali mu całe tony różnych rzeczy. Miał zawsze całe góry bawolego tłuszczu, masła, ryżu i mąki. Zbierał też dhoti. Ale jestem pewien, że w Indiach wiodło mu się lepiej.

Zniżywszy głos, przybrał konfidencjonalny, niemal tajemniczy ton i pochylił się ku mnie:

— Byliśmy naprawdę prawdziwymi przyjaciółmi. On był bogaty, bracie — nie tak, jak na końcu, kiedy wykończył go alkohol. Ja zawsze byłem biedny. To moja karma. Mimo to był dobrym przyjacielem Gosine'a. Dobry Hindus, wielki mędrzec. Odprawiał prawdziwe puja, żadnej łatwizny. To naprawdę tajemnica, dlaczego stał się taki nieszczęśliwy, i zaczął tyle pić. I wyobraź sobie tylko, dzisiaj myślałem nim — tak po prostu przyszedł mi do głowy. To bardzo dobry znak! — Poklepał mnie po ramieniu. — To dobry czas, by udać się do mandiru w Durga. Będziesz wielkim mędrce, wielkim Jogiem! Bhai, mówię tobie, jesteś jęgo nieodrodnym synem!

Moje oczy były pełne łez, kiedy machałem wszystkim ręką na pożegnanie z samochodem wyjeżdżającym na główną drogę. Ma została przyniesiona do

jednego z frontowych okien i również mi machała. Moi kuzyni podskakiwali na dole przed wejściem do sklepu, wykrzykując słowa pożegnania. Nie było mi łatwo zostawiać ich wszystkich; wiedziałem jednak, że moja decyzja jest słuszna. Gdyby tylko żył mój ojciec!, pomyślałem. Byłby zadowolony. Ciotka Revati miała napisać do mojej matki, by przekazać jej tę nowinę. W moim wnętrzu czułem się dobrze, dumny z tego, że idę w ślady ojca. W uszach rozbrzmiewały mi słowa Gosine'a i odczuwałem narastające podniecenie. Moja karma była dobra i wzywało mnie przeznaczenie.

# Mędrzec Ji

Mandir w Durga, poświęcony Wisznu, małżonkowi Lakszmi, na pierwszy rzut oka bardzo przypominał znajdujące się w małych miasteczkach Trynidadu, świątynie. Miał on upakowane bielone ściany, podłogę z ubitej ziemi oraz dach z ocynkowanej blachy (a także sztandary i kapliczki na małym dziedzińcu), co sprawiało, że jego wygląd był mniej okazały niż w przypadku świątyń w większych miastach. Brakowało mu też wysokich murów i wysokiego, bogato rzeźbionego wejścia charakterystycznego dla starszych budowli w Indiach. Dla mentalności hinduskiej ważne są takie zewnętrzne ozdoby. Jednakże sercem świątyni jest w rzeczywistości wewnętrzne sanktuarium — symbol ludzkiego serca, gdzie pod postacią swojej podobizny zamieszkuje bóstwo. Nad małym dziedzińcem górowała wielka podobizna Wisznu, stojącego na straży na wprost głównego wejścia, przez które widać było święte miejsce na samym końcu ogólnie dostępnego sanktuarium, odgródzone niską balustradą.

Kiedy przybyłem na dziedziniec, przed wielkim, fallicznym symbolem Śiwy leżał jakiś biznesmen, oddając mu cześć; zostawił buty przy zewnętrznej bramie, a teczkę postawił na ziemi obok siebie. Kilku innych wyznawców chodziło szybkim krokiem wokół kapliczki z ulubionymi bóstwami, znajdującej się tuż przy niskim murze otaczającym dziedziniec. Zabiegi takie zjednywały przychylność tych bóstw.

Pomimo prostego, trochę prymitywnego wyglądu, świątynia w Durga miała opinię jednej z najlepszych na wyspie, gdyż jej głównym kapłanem był błyskotliwy i wysoce poważany młody bramin, który posiadał gruntowne wykształcenie hinduistyczne. Ciągłe jeszcze przed czterdziestką, bardzo przystojny, o atletycznej budowie i przyciągającej osobowości, ten młody swami był ideałem każdego bramina. Złożywszy ślubowanie czystości cielesnej, został Brahmacharyą. Uważałem, że studiowanie pod kierunkiem tak szanownego Hindusa jest dla mnie wielkim zaszczytem. On wydawał się równie zadowolony z mojej obecności.

Pokój, który dzieliłem z pewnym prawie dwudziestoletnim młodzieńcem, był bardzo prosty. Miał gołe ściany i podłogę oraz otwarte drzwi, uniemożliwiając jakąkolwiek intymność. Każdy z nas miał bardzo stare, niezwykle wąskie, niskie łóżko z nagich desek. Mimo, że mój towarzysz był wyjątkowo religijny jak na swój wiek, nie był jednak braminem i dlatego nie mógł uczestniczyć w zajęciach, które ja odbywałem.

Nasz dzień zaczynał się bardzo wcześnie. W czasie ostatniej, ósmej części nocy odprawiana była przynosząca po myślność ceremonia z lampami, mająca obudzić Wisznu — bóstwo świątyni. Po wykapaniu bóstwa i oddaniu mu czci zbieraliśmy się wszyscy około godziny piątej trzydzieści, by wysłuchać Wed czytanych głośno w języku hindi; następnie około dwóch, trzech godzin spędzaliśmy na medytacji. Pierwszą wyznaczoną mi mantrą była Hari OM Tat Sat. Brahmacharyą zawsze zaczynał swoją medytację od powtórzenia tego jednego słowa: OM. Posiadająca najwyższą wibrację i najtrudniejsza do wymówienia, podobnie jak wszystkie mantry OM, musiała być przekazana przez guru. W Wedach napisane są następujące słowa:

na lotusie... Brahma zaczął się zastanawiać: Dzięki jakiej pojedynczej sylabie mógłbym dostąpić radości wszystkich pragnień, wszystkich światów... bogów... Wed... nagród...? Ujrzał to OM... przenikające wszystko, wszędzie obecne... sylabę symbolizującą Brahman... Dzięki niej dostąpił radości wszystkich pragnień, wszystkich światów, wszystkich bogów, wszystkich Wed... wszystkich istot... Dlatego też bramin, który, pragnąc czegokolwiek sobie zażyczy, pości trzy noce, siedzi na świętej trawie z twarzą zwróconą ku wschodowi i powtarza to nieprzemijające OM, będzie miał spełnione wszystkie cele, a wszelkie jego działania zakończą się sukcesem.

Nic nie było ważniejsze, niż nasza codzienna transcendentálna medytacja, będąca sercem Jogi, którą Kriszna zalecał jako najpewniejszą drogę do wiecznego Szczęścia. Mogła ona jednak być również niebezpieczna. Prerażające doświadczenia psychiczne zagrażały nieostrożnemu człowiekowi, pogrążonemu w medytacji. Przypominały one widzenia towarzyszące zażywaniu narkotyków. Znane były przypadki, gdy demony opisywane w Wedach zawładnęły niektórymi Jogami. Moc kundalini, o której mówiono, że leży zwinięta jak wąż u podstawy kręgosłupa, mogła, uwolniona w głębokiej medytacji, wywoływać doświadczenia ekstatyczne; mogła też — jeśli nie była właściwie kontrolowana — spowodować wielkie szkody na umyśle, a nawet i na ciele. Granica między ekstazą a horrorem była bardzo delikatna. Dlatego też my, początkujący, byliśmy pod bliskim nadzorem Brahmacharyi i jego pomocnika.

W czasie moich codziennych medytacji zacząłem mieć wizje psychodelicznych kolorów, słyszeć niezemską muzykę i odwiedzać egzotyczne planety, gdzie rozmawiali ze mną bogowie, zachęcając mnie do osiągnięcia jeszcze wyższych stanów świadomości. Czasami w moim transie spotykałem te same straszne, demoniczne istoty, które są przedstawiane w świątyniach hinduskich, buddyjskich, sinto oraz innych religii. Było to

przerażające przeżycie, lecz Brahmacharya wyjaśniał mi, że to normalne i namawiał do kontynuowania moich poszukiwań i dążeń do uświadomienia sobie własnego Ja. Czasami przeżywałem poczucie mistycznej jedności z wszechświatem. Stawałem się wszechświatem, Panem wszystkiego, wszechmocnym, wszechobecnym. Moi nauczyciele byli tym podekscytowani. Najwyraźniej byłem jednostką wybraną, której pisany był wczesny sukces w poszukiwaniu jedności z Brahmanem. Siły, które wcześniej prowadziły mojego ojca, teraz prowadziły mnie.

Już wcześniej jadłem bardzo mało, lecz w czasie mojej trzymiesięcznej nauki w świątyni nauczyłem się jeszcze więcej o samoumartwianiu. Mój jedyny posiłek spożywałem codziennie wraz z bogatą hinduską rodziną, prowadzącą pobliską mleczarnię. Byli oni zachwyceni obecnością bramina w ich domu w czasie południowego posiłku. Karmienie bramina w gwarantowany sposób przyczynia się do dobrej karmy. Ja natomiast bardzo ceniłem sobie możliwość oddawania czci całemu stadu krów.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu odkryłem, że ci, którzy umartwiają się w pewnych dziedzinach życia, mogą równocześnie pobłażać sobie na inne sposoby. Wydawało mi się, że pewien mężczyzna mający około trzydziestki, który miał zostać świętym mężem, za bardzo zabiegał o swój wygląd zewnętrzny, spędzając zbyt dużo czasu na układaniu swoich długich, ciemnych włosów i poprawianiu ubrania. Jedynym elementem jego wyglądu, który zaniedbywał, był wydatny brzuch, rosnący nieustannie od ciągłego przejadania się. Przeżyłem szok, kiedy dowiedziałem się, że łączą go bliskie stosunki z niektórymi z dziewcząt, odwiedzających świątynię.

— Hej, bracie, jak ci się podoba Shama? Ładna, co? — spytał mnie pewnego dnia. Shama miała około 12 lat, ładną twarz i długie, kruczoczarne falujące włosy — była jedną z dziewcząt, które ciągle przebywały w pobliżu świątyni, lecz niewiele czasu spędzały na poważnych obrzędach. — Jest w tobie zakochana! Masz, weź ten placek, który dla ciebie zrobiła.

Poczułem, jak na twarz wystąpiły mi rumieńce.

— Ja nie jestem w niej zakochany—ani w żadnej z nich!— oznajmiłem ze świętym oburzeniem.

Nie zmieszany mrugnął do mnie i posłał mi szelmowski uśmiech. — Mam dla ciebie świetne miejsce na spotkanie z nią. Nikt się nie dowie!

— Przestań! Nie mam zamiaru rozmawiać o takich rzeczach! — Moja twarz była cała w ogniu.

— Nie oszukasz mnie. Wydaje ci się, że nie widziałem jak patrzysz na dziewczęta! —

— To nieprawda! Nigdy się nie ożenię. Chcę być dokładnie taki, jak Brahmacharya!

Odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

— Myślisz, że on jest Brahmacharya? Posłuchaj dobrze, co ci powiem...  
— W korytarzu rozległy się czyjeś kroki, więc nagle zacisnął usta. Próbując powstrzymać mój gniew, wyszedłem zdecydowanym krokiem z pokoju, niemalże wpadając za drzwiami na Brahmacharyę. Byłem zakłopotany tym, że mógł sobie pomyśleć, iż słucham plotek na jego temat, lecz najwyraźniej nie słyszał ani słowa.

— Wyglądasz tak, jakbyś się spieszył — powiedział z uśmiechem i poszedł w kierunku swojego pokoju.

Kilka dni później, kiedy akurat przechodziłem po cichu obok sypialni, po zakończeniu ceremonii z lampami (kiedy bóstwo zostało złożone na nocny spoczynek) usłyszałem, jak jeden z nowicjuszy szłocha w swoim pokoju. Zaciekawiony, zatrzymałem się tuż obok jego drzwi i zamarłem na dźwięk głosu Brahmacharyi, kipiącego tłumionym gniewem.

— To ty jesteś tym, który mówi o mnie na zewnątrz! Nie próbuj zaprzeczać! — A potem dodał nieco spokojniejszym tonem — Oczywiście, dziewczęta są zawsze w każdej świątyni. Mają prawo tu przebywać tak jak każdy inny. A ja mam prawo spędzać z którąkolwiek z nich tyle czasu, ile zapragnę. Jeszcze trochę tych twoich opowieści i będziesz musiał stąd odejść!

Nie mogłem sobie wyobrazić, jakie to historie były opowiadane. Bez wątplenia kłamstwa. Moja sympatia i lojalność była po stronie swami. Nigdy nie zwątpiłbym w jego świętość. Oczywiście, że to normalne, by dziewczęta i kobiety przebywały w pobliżu, tak jak to było i w innych świątyniach. Jednakże po tym wydarzeniu zacząłem zauważać, że pewna smukła dziewczyna, mająca prawie trzydzieści lat — nazwijmy ją Parbathi — była najwyraźniej zakochana w Brahmacharyi. Z niechęcią musiałem też przyznać, że i on traktował ją z czułością kochanka, chociaż był bardzo powściągliwy, gdy ktośkolwiek patrzył. Wydawało mi się dziwne, że nie dostrzegłem tego wcześniej. Parbathi, będąca niezwykle piękną dziewczyną, spędzała wiele czasu wraz z nim w jego pokoju — prawdopodobnie przygotowywała i podawała mu jedzenie, które przynosiła dla niego każdego dnia, lecz wydawało się to prawie niemożliwe, by mogło to trwać tak długo. Chociaż mój młody umysł nie pojmował tego w pełni, wydawało mi się, że jego postępowanie nie przystoi komuś, kto ślubował nigdy się nie ożenić. Podziwiałem tego niezwykle młodego bramina, lecz teraz byłem bardzo rozczarowany i zakłopotany.

Pewnego dnia podsłuchałem, jak kilku zwykłych wyznawców dyskutowało na ten temat w języku hindi. Zbili się w ciasną gromadę, siedząc na ubitej ziemi dziedzińca.

— To prywatna sprawa — lepiej się w to nie mieszajmy — powiedział jeden przystojny mężczyzna po czterdziestce.

Śiwy starzec z długą brodą, którego często widywałem w świątyni, uroczyście skinął głową.

— Oczywiście to karma. Jest coś z ich poprzedniego życia, co muszą razem załatwić. — Dały się słyszeć głosy aprobaty, widziałem jak kiwiają głowami na znak zgody. To sprawiło, że poczułem się lepiej.

Moje dni były zbyt pracowite, bym myślał wiele na temat potknięć Brahmacharyi. W końcu karma miała na pewno sprawić, że się to rozwiąże. Nie miałem co do tego wątpliwości. Nawet pies sąsiadów, którego obserwowałem przez długie lata, wydawał się być żywym dowodem karmy i reinkarnacji. Nazywany z miłością Jogiem, ten chudy, czarny pies miał białą powiewającą brodę. Jako ścisły wegetarianin, Jog niewzruszenie odmawiał nie tylko spożywania kości i mięsa, ale nawet jajek. Mimo, że jego pan był muzułmaninem, on sam najwyraźniej był wyznania hinduistycznego i wiernie uczestniczył we wszystkich większych uroczystościach religijnych. Z pewnością zasługiwał sobie teraz na dobrą karmę, doświadczony twardej nauki w poprzednim życiu. Fakt, że często stawał się głośny i kłócił się z innymi psami, przekonywał mnie o tym, że był on reinkarnacją Joga, który popadł w złą karmę. Znałem właściwie pewnego mędrca, który zachowywał się dokładnie tak jak Jog. Złościło mnie, że tak wielu hindusów źle traktuje psy. Jakże mogli wierzyć w reinkarnację i jednocześnie traktować jakiegokolwiek zwierzę gorzej niż istotę ludzką? Kiedy odkryliśmy, że Jog przychodzi na uroczystości, ponieważ uwielbia podawane później jedzenie, umocniło to jeszcze bardziej moją wiarę w reinkarnację. Znałem wielu mędrców, którzy lubili te same co on specjały, a dla wielu Hindusów jedzenie miało najwidoczniej większe znaczenie niż religijny obrzęd.

Kiedy pod koniec tego lata powróciłem do domu, odkryłem, że moja nauka w świątyni przydała mi splendoru w oczach religijnych Hindusów. Kiedy szedłem przez miasto do szkoły, znajdowałem się w centrum pełnej czci uwagi.

— Sita-Ram, Mędrce Ji — wołali do mnie ludzie, spiesząc, by mi się nisko pokłonić. Uwielbiałem to. Szczególnie miłe było mi uznanie okazywane przez mędrców.

Często, kiedy w drodze do szkoły mijalem dom Mędrca Bhajana — wielkiego, otyłego mężczyzny z długimi, związanymi z tyłu, czarnymi włosami — był on akurat w ogrodzie, zbierając kwiaty potrzebne mu do odprawianych tego dnia puja i przygotowując się do codziennego obchodu. Widząc jak się zbliżam, składał przed sobą dłonie, kłaniał się nisko i wołał:

— Mędrce Maharaj, namahste Ji.

— Namahste Ji, Mędrce Bhajan — odpowiadałem z powagą, czując wewnętrzne zadowolenie.

Chociaż uważałem, że nie osiągnąłem jeszcze w pełni świadomości własnego Ja, czułem, że jestem bardzo bliski jivan — mukti — najwyższego ideału postawionego przed człowiekiem w Bhagavad — Gicie. Uwolnienie się z tego stanu pierwotnej niewiedzy jeszcze w mojej cielesnej postaci sprawiłoby, że nie podlegałbym już reinkarnacji, lecz zostałbym na powrót połączony z Brahmanem — moim prawdziwym Ja — na zawsze. Byłem obecnie przekonany, że to właśnie ten stan osiągnął mój ojciec i dążyłem do tego samego wyzwolenia z iluzji indywidualnego istnienia. Byłem jednym jedynym Brahmanem, czystym istnieniem — świadomością — szczęściem; należało więc oczekiwać, że inni ludzie, widząc stopień, w jakim zrealizowałem ten najwyższy ideał, powinni kłaniać mi się i czcić mnie.

Właściwie i ja, siedząc przed lustrem, czciłem samego siebie. Dlaczegoż by nie? Ja byłem Bogiem. Kriszna w swojej cennej i pięknej Bhagavad-Gicie obiecywał tę boską wiedzę tym, którzy praktykują Jogę. Był to nektar, który mieli pić medytujący. Nie była to kwestia stania się Bogiem, lecz po prostu zdania sobie sprawy z tego, kim naprawdę jestem i kim przez cały czas byłem. Spacerując ulicami rzeczywiście czułem, że jestem Panem wszechświata i że kłaniają mi się moje stworzenia.

Chociaż nie było rzeczą łatwą skromnie przyjmować cześć, nauczyłem się stopniowo, jak zachowywać skromność nie przynosząc przy tym ujmy mojej boskości. Trzeba było tylko pamiętać o tym, że wszyscy ludzie byli z tej samej Istoty — za wyjątkiem oczywiście tych, którzy nie należeli do żadnej z czterech hinduskich kast. Moją wielką ambicją stało się nauczanie godnych Hindusów prawdy o tkwiącym w ich istocie bóstwie, uwolnienie ich z okowów niewiedzy. Chciałem zostać guru, ponieważ guru to nauczyciel i bez jego pomocy dla Hindusa nie ma nadziei na uwolnienie się z koła reinkarnacji.

Jednym z najpopularniejszych w tym czasie w Trynidadzie guru był Jego Świątobliwość Swami Sivananda. Otrzymywaliśmy regularnie z Indii jego biuletyny, opisujące wielkie puja i inne wydarzenia w jego świątyni i

reklamujące jego książki (jedna z nich nosiła tytuł „Mój Bóg Sivanan-da”), które objaśniały jego nauki i zawierały listy od jego licznych zwolenników będące dowodem uznania. Zawsze załączonych było kilka jego zdjęć, mających umożliwić nam lepsze oddawanie mu czci. Wielka fotografia Sivanandy zajmowała poczesne miejsce na naszym ołtarzu, zawsze ze świeżym znakiem chanan na czole. Ogromnym przeżyciem dla całej rodziny było otrzymanie listu od mojej matki, w którym opisywała ona swoją wizytę w aszramie Sivanan-dy. Była bardzo przejęta jego boską obecnością i zapewniała nas, że był on człowiekiem wielkiej świętości — Mistrzem, który osiągnął świadomość własnego Ja. Postanowiłem być taki jak on. Po jego nagłej śmierci na raka czciliśmy go jako jednego z Wywyższonych Mistrzów z długiej linii guru sięgającej swoim początkiem czasów rodu Rishi.

Pomimo rosnącego poważania dla mojej pobożności i składanych mi pełnych czci wyrazów szacunku, było we mnie ciągle jeszcze wiele z małego chłopca. Oczekiwanie na prezenty i skarpety napełniane przez Świętego Mikołaja na Boże Narodzenie podniecało mnie tak jak zawsze. Trynidad, będący brytyjską kolonią przez długie tygodnie rozbrzmiewał dźwiękami „Jingle Bells”, „Deck the Halls with Boughs of Holly” i innych bożonarodzeniowych kołęd. Hinduscy i buddyjscy kupcy nie mieli żadnych skrupułów przed przyłączeniem się do tych świąt. Oznaczało to dodatkowe zyski, a religijne przekonania człowieka nie mogą mieć wpływu na rzecz tak wielkiej wagi. Nawet muzułmanie co roku przyłączali się do tych uroczystości. W tym okresie Święty Mikołaj był patronem wszystkich, najbardziej umiłowanym ze wszystkich bogów.

Małe dzieci musiały iść w dzień Wigilii wcześniej do łóżka, podczas gdy dorośli byli zajęci ostatnimi świątecznymi przygotowaniami lub po prostu upijali się. Starsze dzieci dmuchały w gwizdki, uderzały w duże patelnie i bębny, odpalały petardy i machały swoimi „gwiazdami” — sztucznymi ogniami. Było zbyt głośno, by oczekiwać, że dzieci zapadną w sen, wiedzieliśmy jednak, że Święty Mikołaj nie przyjedzie na swoim reniferze i nie przywiezie nam prezentów, dopóki „jakikolwiek stworzenie będzie się ruszać”. Tej jednak Wigilii postanowiłem choć na chwilę zobaczyć Mikołaja, nawet gdybym musiał czuwać całą noc. Poczyłem starannie przygotowania, by być pewnym, że nie będzie wiedział, że go podglądam.

— Hej, bracie! Po co to robisz? — zapytał Ananda, jeden z moich młodszych kuzynów, dzielący ze mną wielkie podwójne łóżko przez pewin czas po wyjeździe mojej matki do Indii. Przy pomocy nożyczek Nanee wycinałem w prześcieradle dwa małe otwory. W tym tropikalnym klimacie

rzadko używaliśmy kocy, ale prześcieradło było zawsze potrzebne, choćby jako zabezpieczenie przed moskitami.

— Cśśś! — było to jedyną odpowiedzią, jakiej mu udzieliłem. — Cśśś!

— Dlaczego nie śpisz? — nalegał, czując jak łóżko trzęsie się przy moich próbach ułożenia się pod prześcieradłem w wygodnej pozycji z oczami wyglądającymi przez te dwa małe otwory.

— Cśśś! Masz spać!

— Ty też.

— Nikt by nie zasnął przy tym całym twoim hałasie.

— To ty hałasujesz. Przestań się kręcić.

— Cśśś!

W końcu Ananda zaczął spokojnie chrapać. Walczyłem z sennością, koncentrując całą moją uwagę na oknie, przez które Mikołaj miał jak co roku wejść do mojego pokoju. Rankiem w dzień Bożego Narodzenia w skarpecie u stóp mojego łóżka będzie leżeć jabłko, które miałem dostawać przez cały rok oraz cały asortyment smacznych orzechów. Tym razem miałem zamiar zobaczyć, jak Mikołaj ją napełnia. Czas mijał wyjątkowo wolno. Wydawało mi się, że nie uda mi się czuwać już ani minuty dłużej, kiedy usłyszałem w pokoju jakiś hałas. Nie dobiegał on jednak od strony okna, lecz gdzieś z tyłu! Zaskoczony tym, prawie się odwróciłem, lecz powstrzymałem się i ostrożnie przekręciłem głowę, trzymając wycięte otwory przed oczami. W mroku dostrzegłem wuja Kumara skradającego się na palcach do łóżka z załadowanymi czymś rękami. Położywszy prezenty na podłodze, wyłowił z wielkiego worka dwa jabłka oraz orzechy i włożył je do naszych skarpet. Następnie oddalił się po cichu, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na dwie nieruchome postacie leżące w łóżku, pewny, że jego czyn pozostał niezauważony.

Moje odkrycie prawie mnie rozsadzało, musiałem jednak poczekać, aż skończy się śniadanie i dopiero wtedy, pozostawszy sam na sam z Krishną i Shanti — dwójką moich najstarszych kuzynów, mogłem podzielić się z nimi moją niezwykłą nowiną.

— Nie ma żadnego Świętego Mikołaja! — oznajmiłem w pełen dramatyzmu sposób.

— Co takiego? — zawołała Shanti z otwartymi szeroko oczami pełnymi niedowierzania.

— Nie ma żadnego Mikołaja — powtórzyłem — chyba, że chcecie nazwać Świętym Mikołajem wuja Kumara.

— Żarty sobie stroisz, czy co? — zażądał wyjaśnień Krishna pełnym wyższości tonem kogoś, kto jest starszy i mądrzejszy. — A skąd według ciebie wzięły się te prezenty? Jeśli chcesz wiedzieć, przyniósł je Mikołaj z samego Bieguna Północnego!

— Nie, nie przyniósł ich wcale Mikołaj! — orzekłem wszystkimwiedzącym tonem. — To wuj Kumar — to on jest Mikołajem!

— Dlaczego nas oszukujesz? — zawołała Shanti płacząc. Jej twarz ogarniało rosnące niedowierzanie.

— Zrobiłem mu wczoraj wieczorem świetny kawał... i widziałem go naprawdę na własne oczy!

— Kogo widziałeś?

— Wuja Kumara, jak napełniał skarpety! Cały czas próbuję wam to powiedzieć.

Ta straszna wiadomość rozeszła się szybko wśród dzieci w naszym domu, a potem w naszym sąsiedztwie. Jako przyszły filozof skonkludowałem, że mimo wszystko nie było to wcale taką niespodzianką. Oczywiście bogowie chrześcijańscy to po prostu mity — nie byli prawdziwi, tak jak bogowie czczeni przez nas, Hindusów, których czasami można było ujrzeć w wizjach podczas medytacji albo też pod postacią duchów. Nie wiedzieliśmy nic o dokładnym sprawdzaniu takich zjawisk przez parapsychologów i innych badaczy, ani też że zjawiska takie towarzyszyły ludziom tak słynnym i pozbawionym emocji, jak dr Carl Jung. Zналиśmy tylko to, czego doświadczyliśmy i było to bardzo rzeczywiste.

\* \* \*

— Hej! Rev! Hej! Spójrz tam!

Usiadłem w łóżku i przetrarłem oczy, przerażony, próbując zobaczyć coś w ciemności. Obok mojej sypialni rozległy się pospieszne kroki. Słyszałem podekscytowane, stłumione głosy oraz krzyk Nanee, wołającej w języku hindi ciotkę Revati.

Kiedy w domu zaczęły się zapalać światła, znalazłem w sobie na tyle odwagi, że wysliznąłem się spod prześcieradła i pobiegłem do sypialni Nanee, gdzie słychać było wiele głosów połączonych w jeden głośny i podenerwowany jazgot.

— Właśnie widziałam... właśnie widziałam Nanę! — mówiła Ma przerażonym głosem w języku hindi, kiedy wbiegłem do jej pokoju. Wokół jej łóżka zebrała się połowa domowników, słuchając w napięciu. — To był Nana, jestem tego pewna... nie miał tylko żadnej głowy! — drżąca i blada,

Ma wskazała w kierunku okna. — Obudziłam się czując coś dziwnego... a to był on! Widziałam go w świetle księżyca, wpadającym przez okno.

— Jesteś pewna, że to nie był sen? — spytała Ciotka Revati.

— Nehi Ji! Byłam zupełnie przebudzona. Zaczął iść w moim kierunku i wtedy zawołałam. Nie wiem, jak mogłam krzyczeć tak głośno.

\* \* \*

— Nie możesz powiedzieć, że to był na pewno duch waszego Nany — powiedział nieco później tego ranka zamyślony Gosine, kiedy razem omawialiśmy tę sprawę siedząc przed jego chatą. — Wokół jest mnóstwo duchów. Wszędzie.

— Ale Nanee mówi, że widziała właśnie Nanę!

— To nie takie proste — upierał się Gosine. Potarł kilka razy brodę, a potem spojrzał na mnie kątem oka. — Niektórzy z mędrców wykorzystują duchy. Czy jeden z nich nie mieszka opodal? Wiesz kogo mam na myśli. Te duchy robią, co im powie. Czasem złe rzeczy, a czasem dobre.

— Twierdzisz, że jako mędrzec też będę musiał wykorzystywać duchy? Gosine wzruszył tylko ramionami i spojrzał w inną stronę.

— Nie mówię, że wszyscy z nich to robią. Niektórzy mogą obejść się bez czaszki.

— W jaki sposób sprawia, że duchy go słuchają?

— Bhai, każdy wie, że idzie on na cmentarz i wykopuje czyjąś czaszkę. Kiedy już się ma tę czaszkę, można nakłonić ducha tej osoby, by dla ciebie służył.

— To znaczy, że ktoś wziął czaszkę Nany? I to dlatego nie było głowy na tym...tym czymś, które widziała? Ale jego grób ma przecież strażnika.

Gosine wyglądał na zmieszanego. Znów wzruszył ramionami i wstał z trudem na nogi, patrząc z niepokojem w niebo. Nad Zatoką zbierały się chmury burzowe.

— Wydaje mi się, że wkrótce będziemy mieli trochę deszczu — kiwając głową na boki, z zakłopotaniem na twarzy, odwrócił się by wejść do chaty. — Ja nie igram z duchami — powiedział, schylając się w niskich drzwiach — to piekielna sprawa.

Kiedy biegłem w kierunku domu, niebo rozdzierały błyskawice, a deszcz lał strumieniami. Dudnienie grzmotów było przerażające. Być może bogowie byli rozgniewani.

# Młody guru

Przez otwarte okna wpadał do klasy huczący dźwięk bębnow, wywołując wśród uczniów zamęt i poruszenie. Wielkie bębny, które słycać było na odległość kilku mil, były już przygotowywane i wypróbowywane przed mającym się odbyć tego wieczoru w Mahabir Village świętem Ramleela. Szkoła znajdowała się właśnie w tej miejscowości (około jednej mili od mojego domu). Trwające przez tydzień widowisko przedstawiało treść całej Ramayany. Marzyłem o Indiach, próbując wyobrazić sobie wioskę, w której — według słów pewnego mędrca — mieszkałem w moim poprzednim wcieleniu. Rozlegające się teraz rytmiczne bicie w bębny dodawało mojej wyobraźni nowych bodźców. Widziałem siebie jako Ramę, a potem jako Hanumana, małego boga, walczącego przeciwko złemu Ravanie. W porównaniu z tym szkoła wydawała mi się niezwykle nudna. Dlaczego ja, Pan wszechświata, będący jednością z Brahmanem i jego istotą, musiałem znosić cierpienia kolejnej lekcji gramatyki angielskiej? Nie docierało do mnie prawie żadne słowo z tego, co mówił nauczyciel.

Miałem dopiero 11 lat, ale już wielu ludzi kłaniało mi się; składali u moich stóp podarunki: pieniądze, bawełniane tkaniny i inne cenne rzeczy, a w czasie uroczystości religijnych wieszali mi na szyi girlandy z kwiatów. Może powinienem rzucić szkołę i wrócić do świątyni, by jeszcze bardziej intensywnie oddać się religii? Zarówno Nanee, jak i ciotka Revati odradzały mi to; pokusa była jednak silna, szczególnie, kiedy siedziało się w dusznej klasie w takie gorące popołudnia jak to. Długie godziny poświęcane przeze mnie na medytację i inne praktyki religijne pozostawiały mi mało czasu i energii na szkołę.

Kiedy rozległ się ostatni dzwonek, wybiegłem z klasy, promieniując radością. W towarzystwie kilku moich wielbicieli pobiegłem w kierunku bazaru, chcąc być jednym z pierwszych, którzy znajdą się na uroczystości. W miarę jak zbliżaliśmy się łomot bębnow stawał się coraz głośniejszy.

— Chciałbym, żebyś był moim guru, Rabi! To szczere wyznanie wyszło od Ramjita, którego rodzice należeli do kasty Kszatrijów, podobnie jak Nana. Ojciec Ramjita był brygadzystą na polach trzcinowych i z dumą nosił swój korkowy kapelusz nadzorczy w kolorze khaki.

— I moim! — dodał Mohan, bardzo religijny chłopiec, uczęszczający regularnie na spotkania grupy sandhya, w której działalność byłem bardzo zaangażowany i pomagałem w nauczaniu młodych Hindusów ich religijnych obowiązków. Ojciec Mohana był Wajśją i hurtowym sprzedawcą cukru z

pobliskiej fabryki, gdzie mój ojciec —jeszcze przed swoim ślubem — pracował przez pewien czas jako technik.

Uśmiechnąłem się, zadowolony z ich gorliwości.

— Nie mogę mówić o tym i biec tak szybko — powiedziałem w przerwie między dwoma głębokimi oddechami. Odczuwałem ostatnio ból w klatce piersiowej i wiedziałem, że wynika to z tego, iż dużo palę. — Porozmawiamy o tym na miejscu — dodałem bez tchu. Było już w naszym mieście wielu ludzi, zwracających się do mnie o pomoc duchową. W przyszłości chciałem być guru dla tysięcy.

Wąskie, wyboiste ulice Mahabir Village, wzdłuż których stały rzędy małych chat z wyschniętego błota oraz drewnianych szop o podłogach z ubitej ziemi, należących do robotników z pól trzciny cukrowej, były już przepełnione.

Przebiegliśmy obok jaskrawo udekorowanych sklepów i wydostaliśmy się na duży, otwarty plac, położony w centrum wioski. Tutaj każdego wieczoru przedstawiana była udramatyzowana wersja Ramayany. Handlarze, polecający swoje towary hałaśliwemu, rozpychającemu się tłumowi, sprzedawali napoje, słodczyce i korzenne potrawy na prowizorycznych straganach, z ręcznych wózków lub tac umieszczonych na rowerach — albo po prostu z wielkich naczyń i tac rozłożonych na ziemi i wypełnionych barą i ostrym sosem mango, curry channa, smażonym channa i różnymi hinduskimi słodczymi, jak na przykład jilabhi. Tu i ówdzie na skraju tłumy przysiadali wróżbita przepowiadający przyszłość lub czytający z dłoni, rozkładając karty lub diagramy dłoni przyciągające grupki klientów i ciekawskich.

Nie brakowało mi pieniędzy do wydawania. W zamkniętej szafce w domu gromadziłem gotówkę pochodzącą z podarunków składanych mi przez moich czcicieli. Niektórzy mędrcy należeli do najbogatszych Hindusów ja sam odkrywałem już, jak szybko i bez żadnego wysiłku z mojej strony pieniądze się mnożyły. Biedniejsi ludzie z niższych kast byli często najważniejszym źródłem dochodów mędrca. Jeden ze znanych mi mędrców specjalizował się w odprawianiu puja mających przynieść szczęście w grze na loterii, w totalizatorze oraz w gromadzeniu bogactwa. Opłacający go regularnie biedni pozostawali biednymi, podczas gdy on stawał się coraz bogatszy i zawsze mógł wskazać na siebie jako dowód skuteczności działania jego magicznych mocy.

Znajdowałem się tego wieczoru w pierwszym rzędzie widzów. W pewnej chwili mędrzec zadał w muszlę, wydobywając z niej długi, głęboki dźwięk, a następnie wypowiedział swoje błogosławieństwo, dając sygnał do

rozpoczęcia widowiska. Wrogie sobie armie, odgrywane przez mężczyzn z niższych kast, ustawione wcześniej w imponujących, kolorowych kostiumach po przeciwnych stronach placu, zaczęły teraz tanecznym krokiem zbliżać się do siebie w takt głuchych tonów bijących bębnow. Zły Ravana wprowadził żonę Ramy — Sitę, której rolę odgrywał młody mężczyzna odziany w jaskrawo ubarwione sari, jako że udział kobiet w przedstawieniu był zabroniony. Hanuman, małpi król, będący prawdziwym bohaterem tej historii, odkrył miejsce, gdzie trzymano w niewoli Sitę. Rama wraz ze swoimi braćmi i zwolennikami oraz sprzymierzonym z nimi Hanu-manem i jego małpią armią, mieli się zmierzyć z Ravaną i jego złymi kohortami. Jakże imponującym i barwnym widowiskiem była ich walka odbywana przy akompaniamencie wojennych dudnień wielkich Tassa i przenikliwych okrzyków widowni! Podobało mi się ono niezwykle i szybko zapomniałem o tym, że w szkole wyobrażałem sobie, iż jestem młodym Mahatmą Gandhi, utrzymującym pokój pomiędzy hindusami i muzułmanami, którzy z łatwością angażowali się w walki na pięści i obrzucali się wyzwiskami. — Nieużywanie przemocy jest obowiązkiem wszystkich kast! — napominałem często hinduskich chłopców i na ogół słuchali mnie, jako swojego duchowego przywódcy. Jednakże w czasie święta Ram-leela — podobnie zresztą jak i setki innych wegetarianów i zwolenników nieużywania przemocy — przeżywałem uniesienia na widok bohaterskich wyczynów Hanumana Ramy na polu walki, a im bardziej sugestywnie potrafili to oddać aktorzy, tym bardziej nam się to podobało.

Moja matka nie zapomniała o tym, by nauczyć mnie, jakie jest duchowe przesłanie tego eposu: że Rama reprezentuje dobro, a Ravana zło. Prowadzona przez nich walka była odzwierciedleniem nieustannego konfliktu między dobrem a złem w sercu każdego człowieka. W świątecznej atmosferze, będąc zauroczony dźwiękiem bębnow, zapomniałem o tym czasem na kilka chwil, lecz kiedy tego wieczoru późno wróciłem do domu w towarzystwie Shanti, Sandry, Anandy i Amarai, musiałem znowu stawić czoła tej walce między dobrem a złem, szalejącej w moim własnym sercu.

Dlaczego powinienem wyczuwać ten konflikt między dobrem a złem, skoro wszystko było Jednością? Zastanawiało mnie to. Brahman był jedyną rzeczywistością. Wszystko inne było iluzją. Wobec tego z pewnością i zły Ravana był Brahmanem, tak jak był nim awatar Rama. Byłem nim także i ja. W moich wywołanych przez Jogę transach byłem Panem wszechświata, bez jakichkolwiek problemów, bez niepokoju, bez niepewności. Chodziło o to, by zachować tę transcendentalną świadomość również wtedy, gdy nie

oddawałem się medytacji. Być może jedyną nadzieją było postąpić tak, jak mój ojciec — wycofać się całkowicie z tego świata iluzji. Jakże jednak mógłbym być guru i nauczać innych?

Najmłodszy syn ciotki Revati, Amar — był jednym z moich najlepszych uczniów. Mając zaledwie pięć lat przypominał mi mnie samego w tym wieku i być może dlatego właśnie tak bardzo go lubiłem. Odprawiał już swoje własne puja, ofiarując każdego ranka wodę słońcu i zdradzając oznaki niezwykłej gorliwości religijnej. Uczyłem go medytacji oraz specjalnych mantr, a w zamian on darzył mnie najgłębszym szacunkiem.

\* \* \*

— Nie wyglądasz ostatnio zbyt dobrze, Rabi! Tak się martwię o twoje zdrowie — powiedziała mi poważnie następnego ranka Ma, kiedy poszedłem ją odwiedzić i posiedzieć z nią tuż przed pójściem do szkoły. — Jesteś taki blady i tak dużo kaszlesz!

— Nic mi nie jest, Ma — upierałem się. — Czuję się dobrze. W tym momencie naszedł mnie nagły atak kaszlu, który sprawił, że złożyłem się w pół.

— Rabi! Wuj Kumar będzie musiał zabrać cię do lekarza przed swoim wyjazdem do Anglii!

— To nic takiego, Ma — zdołałem wykrztusić, łapiąc oddech. Czułem okropny ból w piersiach, szczególnie wokół serca! — Nic mi nie będzie.

— Kaszlesz tak bardzo już od wielu tygodni! Słyszę cię co nocy.

— Naprawdę nic mi nie jest. Nie martw się Ma. Każdy kaszle. A jak ty się dzisiaj czujesz? — Wstydząc się za siebie, chciałem zmienić temat w obawie, że mogłaby się domyślić prawdy. Potajemnie paliłem bardzo dużo już od miesiący byłem pewien, że Ma, moje ciotki i wujowie ostro by się sprzeciwili, gdyby się o tym dowiedzieli — a nie byłem już w stanie zerwać z tym nałogiem. Myślałem często, jak dziwną rzeczą był mój ścisły vegetarianizm — nie kupiłbym w sklepie sera, który byłby krojony nożem używanym do krojenia kiełbasy lub mięsa — a jednak nie mogłem rzucić palenia, chociaż wiedziałem, że rujnuje to moje płuca. Siedząc samotnie gdzieś na polu, paliłem jednego papierosa za drugim, zaciągając się głęboko za każdym pociągnięciem. A najgorsze ze wszystkiego jako że nie chciałem, by ktokolwiek dowiedział się o moim ukrytym nałogu — musiałem kraść papierosy, mimo że miałem mnóstwo pieniędzy i to dręczyło bardzo moje sumienie. Bez wątpienia w mej duszy toczyła się walka między Ravaną a Ramą i wydawało się, że nie mam żadnego wpływu na jej wynik. Ravana wygrywał, pomimo moich gorących modlitw do Hanumana.

Tego dnia w drodze do szkoły po raz pierwszy odczułem pustkę w środku, kiedy słyszałem z ust moich wielbicieli zwyczajowe pozdrowienie: „Sita-Ram, Mędrce Ji”. Nie dręczyła mnie moja rozmowa z Ma, chociaż wiedziałem, że ją okłamałem. Myśli moje zajmowało niepokojące doświadczenie, które stało się moim udziałem dzisiaj rano.

Kiedy w jednej ręce trzymałem małą mosiężną czarę, zwaną lota, napełnioną świętą wodą dla złożenia ofiary oczyszczającej, położyłem właśnie świeży kwiat hibiskusa na głowie naszej krowy, tak jak to czyniłem każdego ranka i kłaniałem się, oddając jej cześć — nagle, z ostrzegawczym parsknięciem, to wielkie, czarne stworzenie pochyliło głowę i zaatakowało mnie. Uskoczyłem do tyłu, z ledwością unikając rogów, a następnie rzuciłem się do ucieczki, gubiąc po drodze lota i modlitewne korale. Mój bóg polował na mnie! Na szczęście nie zdążyłem wcześniej odwiązać krowy. Sznur zatrzymał ją w chwili, gdy już myślałem, że przebiję mnie swoimi rogami. Wstrząśnięty, nie mogąc złapać tchu, spojrzałem najpierw na stratowaną lota i korale, na gniewnie bijące o ziemię kopyta, a potem na jej wielkie brązowe oczy, wpatrujące się we mnie z ogromną nienawiścią. Zaatakowany przez mojego boga! A ja od lat czciłem ją wiernie przez godzinę każdego dnia!

Idąc do szkoły, dwie godziny po tym wydarzeniu, ciągle jeszcze drżałem w środku — już nie z przerażenia, lecz z niewymownego żalu. Dlaczego? Chociaż Śiwa, Kali i wielu innych bogów często napawało mnie strachem, krowa była tym jedynym bóstwem, które zawsze wielbiłem. Pasienie jej i dbanie o nią było moim ulubionym obowiązkiem. Zawsze traktowałem ją — a także wszystkie inne zwierzęta — z wielką dobrocią. Dlaczego więc bóg ten zaatakował mnie? Było to pytanie, które miało mnie nękać przez wiele następnych dni. Nawet Gosine nie potrafił na nie odpowiedzieć.

# Śiwa i ja

Na początku lat trzydziestych Nana wykonał sobie sporym kosztem portret u najlepszego fotografa na wyspie, który stwierdził, że Nanę jako klienta trudno zadowolić i dlatego odpowiednio sobie za to policzył. Wybrana w końcu fotografia, ukazująca Nanę w patriarchalnej pozie z przeszywającym wzrokiem, została oprawiona w wielką, kosztowną ramę i zawieszona w najbardziej eksponowanym miejscu w salonie. Wchodząc do tego pokoju z jakiegokolwiek strony (a trzeba było przejść tamtędy, udając się do jakiegokolwiek części domu) od razu stawało się oko w oko ze spojrzeniem Nany. Wydawało się, że oczy te obserwują nas, gdziekolwiek idziemy, tak jakby to duch Nany obserwował za ich pośrednictwem, co działo się po jego śmierci w domu, który został zbudowany za pieniądze niewiadomego pochodzenia. Bałem się spoglądać w te oczy. Nie dawały mi one spokoju.

To samo odczuwałem w stosunku do Śiwy — boga, którego najbardziej się obawiałem. Dlatego też czciłem go najgorliwiej, by go ugłaskać. Ducha Nany nie dawało się jednak ugłaskać. Nadal straszył on nas dzikim tupotem i odgłosami kroków, którym towarzyszył utrzymujący się długo nieprzyjemny zapach. Różne przedmioty wylatywały nagle z szaf lub zsuwały się ze stołów, czasami na naszych oczach i ku naszemu zdziwieniu.

Pomimo moich wysiłków ugłaskania Śiwy miałem rosnące poczucie jego nietłaski. Próbowałem odegnąć je na różne sposoby — przy pomocy mantr, rytuałów i oddawania mu czci, lecz nie mogłem znaleźć pokoju w mojej relacji z tym napawającym strachem bogiem, znanym jako Niszczyciel. Często w moich głębokich medytacjach znajdowałem się w innym świecie sam na sam z Siwą, którego zachowanie zawsze było groźne. Kiedy pewnego dnia przebiegałem przez podwórze mojej ciotki Sumintry, w bosą stopę wbił mi się gwóźdź. Leżąc później w łóżku, z gorączką wywołaną na skutek infekcji, nie mogłem pozbyć się nieodpartego wrażenia, że to Śiwa umieścił tam ten duży gwóźdź i skierował na niego moją stopę. Próbowałem oddalić to uczucie, uznając je za zwykły przesąd, lecz kiedy wspomniałem o tym mojemu kuzynowi Krishnie, w jego oczach pojawiło się zrozumienie. Zwierzył mi się, że i on miał podobne wrażenie, że atakuje go Śiwa. Pewnego razu późnym wieczorem, kiedy się jeszcze uczył, jakaś niewidoczna ręka uderzyła go tak mocno, że spadł na podłogę i jeszcze następnego ranka wszyscy mogliśmy oglądać ślady na jego twarzy. Jeszcze innej nocy niewidzialne ręce unieruchomiły go na łóżku i ponownie miał

uczucie, że to Śiwa. Ja również przeżyłem jeszcze kilka ataków, które według mnie pochodziły od Śiwy, lecz ani Krishna, ani ja nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego te rzeczy przydarzały się właśnie nam. Gosine nie mógł nam w tym pomóc w żaden sposób. Nie lubił rozmawiać o takich rzeczach — i wiedziałem, dlaczego.

Te tajemnicze cielesne ataki i nieustające nawiedzanie domu przez ducha Nany miały komulujący się, odbierający wszelką odwagę wpływ na nas wszystkich. Gdzieś tuż, tuż wyczuwało się napięcie, które w niczym nam nie pomagało, a wpływało ujemnie na stosunki między nami. Było tak szczególnie w przypadku moim i ciotki Revati. Mimo, że kiedyś byliśmy sobie tak bliscy, obecnie ledwie się znosiliśmy, a czasami nawet kłóciliśmy się w samym środku rodzinnej puja. Moja matka przebywała już w Indiach około sześciu lat, a ja miałem dość traktowania mnie jak jednego z dzieci mojej ciotki. Z okrągłą twarzą i serdecznym śmiechem, była ona osobą zmienną, poddającą się skrajnym nastrojom — w jednej chwili mogła karmić swoje dzieci słodyczami, a w następnej bić je. Podejrzewałem czasami, że pod maską tej pogodnej osobowości, którą przyciągała do naszego domu nieprzerwany strumień przyjaciół, ciotka była kobietą bardzo nieszczęśliwą — były po temu powody po tym wszystkim, co wycierpiała z rąk swojego odstręczającego męża. Domyślałem się, że być może w poprzednim życiu była bijącym swoją żonę mężczyzną, i teraz w obecnym życiu karma odpłacała jej tym samym losem.

Kiedy byłem młodszy, ciotka Revati była religijnym przywódcą w naszym domu, lecz teraz było nas dwoje domagających się sprawowania władzy duchowej. Wywoływało to między nami narastające napięcie i podejrzewałem, że w miarę jak dorastałem, pojawiało się niemało zazdrości. Długie godziny spędzane przez nią w pokoju modlitewnym na odprawianiu własnych puja, na medytacji oraz czczeniu słońca i krowy wystarczały aż nadto, by zaniedbała się w swoich domowych obowiązkach. Stan ten dokuczał jej i często wyładowywała swoje podenerwowanie na większości z nas — a szczególnie na mnie. Ja z kolei opierałem się jej próbom zaangażowania mnie w domowe obowiązki, które nie były godne mojego wielkiego powołania. Nie wypadało mi tracić czasu przeznaczonego na moje religijne obowiązki po to, by wykonywać posługi, które mogły być spełniane przez innych. Jedyną rzeczą, jaką robiłem z ochotą, było pasanie krowy — troska o to najświętsze ze stworzeń miała zbawienny wpływ na karmę człowieka. Lecz od dnia kiedy mnie zaatakowała, straciłem mój entuzjazm nawet do tego zajęcia. Skończył się również mój kult krowy.

Głęboko martwiło mnie, gdy widziałem, jak stan szczęśliwego spokoju, który osiągnąłem przez medytację, mógł tak łatwo zostać zniweczony łajaniem mojej ciotki oskarżającej mnie o lenistwo lub o to, że nie wykonywałem przypadającej mi w udziale części domowych obowiązków. Zazwyczaj byłem spokojną osobą, lecz przy takich okazjach mój temperament wybuchał i broniąc się, że w obronie używałem ostrego języka. Czasami podejrzewałem nawet, że to zły duch Nany zawładnął mną na chwilę. Bywało również, że zachowywałem się dokładnie tak jak on, bijąc jeden z podpierających werandę betonowych filarów podobną do bicia witką, dopóki wyczerpany nie opadłem z sił. Stałem tak potem, patrząc na krzyżujące się ślady pozostawione na pobielonym tynku i zastanawiałem się, co we mnie wstąpiło. Pewnego razu złapałem stary skórzany pasek Nany, którym tak często okładała rodzinę i parokrotnie uderzyłem nim po plecach kilka z moich młodszych kuzynek, lecz zaraz przestałem, zmieszany i zawstydzony. Scena ta niezwykle wyraziście przypominała dzikie napady gniewu Nany. Po takich epizodach wydawało mi się, że oczy Nany z portretu śmieją się ze mnie (jeśli popełniłem ten błąd i popatrzyłem na nie) tak jakby znały jakąś tajemnicę. Przenikał mnie wtedy dreszcz i szybko się odwracałem, lecz wspomnienie tego doświadczenia nie opuszczało mnie. To z pewnością Nana nawiedzała mnie i gnębiła, nie tylko dźwiękiem swoich kroków, lecz także działając przeze mnie samego. Dlaczego ja, najbardziej religijny w całym domu, musiałem być siedliskiem jego ducha, nadal nękającego członków naszej rodziny jeszcze długo po jego śmierci? Było to pytanie, któremu nie mogłem stawić czoła, ponieważ wydawało się ono angażować wszystko, w co wierzyłem.

Próbując zapomnieć o tych incydentach, żyłem uroczystościami religijnymi — tymi publicznymi, odbywającymi się w świątyni, prywatnymi, odbywającymi się w naszym domu lub też uroczystościami u innych ludzi, na których tłumnie zbierali się krewni i znajomi. Znajdowałem się wtedy w centrum uwagi, podziwiany przez wszystkich. Uwielbiałem przechadzać się wśród zebranych, pokropując wiernych świętą wodą i znacząc czoła świętą, białą maścią z drzewa sandałowego lub zbierając ofiary, dopóki niesiona przeze mnie mosiężna taca nie napełniła się po brzezi niebieskimi, czerwonymi i zielonymi banknotami o różnych nominałach, wyglądając jak wielki bukiet złożony z kwitnących pieniędzy. Najbardziej jednak lubiłem siedzieć przy ołtarzu, tuż obok celebrującego obrzęd mędrca, będąc obiektem pełnych podziwu spojrzeń. Jakże wielką przyjemność sprawiała mi również gęsta woń kwiecistych girland, wiszących przy takich okazjach na mojej

szy! A ci wierni, kłaniający mi się nisko po zakończonej ceremonii, by złożyć mi u stóp swoje ofiary!

Mimo że spokój, którego doświadczałem w medytacji, opuścił mnie tak łatwo, nie opuściły mnie tajemne siły; zaczęły się nawet objawiać publicznie, wyzwalane i utrzymywane przez praktykowanie Jogi. Wiedząc, że bez tych manifestacji nadprzyrodzonej mocy nie będę miał zbyt wielu zwolenników, powitałem tą rosnącą moc duchową z radością. Oddający mi pokłon ludzie przeżywali często poczucie rozjaśnienia lub doświadczali wewnętrznego oświecenia, kiedy dotykałem ich czoła, udzielając błogosławieństwa. Miałem dopiero 13 lat, lecz udzielałem już słynnego wśród guru „Szakti pat”, co było nie zaprzeczalnym znakiem autentyczności mojego powołania. Szakti to jedno z imion Kali — morderczej, pijącej krew małżonki Śiwy, bogini, będącej matką mocy i udzielającej tej pierwotnej siły, która przepływa przez serce wszechświata. Jakże podniecało mnie to, że stałem się kanałem, przez który przepływała jej moc!

Często, kiedy byłem pogrążony w głębokiej medytacji, bogowie przybierali widzialną postać i rozmawiali ze mną. Czasami wydawało mi się, że wyobraźnia astralna przenosi mnie na odległe planety lub do światów znajdujących się w innym wymiarze. Miały minąć lata, zanim dowiedziałem się, że podobne doświadczenia były stymulowane w laboratoriach, pod czujnym okiem parapsychologów, przy użyciu hipnozy i LSD. W osiągniętych przez Jogę transach najczęściej przebywałem sam na sam z Siwą Niszczycielem, siedząc v strachu u jego stóp, podczas gdy wielka kobra owinięta dookoła jego szyi wpatrywała się we mnie, sycząc i ostrzegawczo wysuwając swój język. Zastanawiałem się czasami, dlaczego żaden ze spotykanych przeze mnie bogów nie wydał mi się dobry, łagodny i kochający. Jednakże wyglądali oni przynajmniej realnie — nie miałem co do tego wątpliwości — nie byli jedynie mitami, tak jak ten chrześcijański bóg — Święty Mikołaj.

\* \* \*

Jakże szczęśliwy byłem tego dnia, kiedy mój wuj Deonarine, najstarszy syn Nany, powrócił w końcu z Anglii, ukończywszy z honorami studia na Uniwersytecie Londyńskim! Kiedy kilka miesięcy wcześniej przeniósł się do Londynu wuj Kumar, zaostrzyły się w domu matriarchalne i autorytarne rządy ciotki Revati. Teraz — wraz z powrotem Deonarine'a, głową rodziny znowu miał być mężczyzna. Deonarine był osobą, która w największym stopniu zastępowała mi kiedykolwiek ojca. Być może jego powrót miał

również zachęcić do powrotu moją matkę. Ciągłe pisała do nas co dwa, trzy miesiące; nie było już jednak wzmianek o powrocie „w przyszłym roku”.

Pewnego dnia, na krótko po swoim przyjeździe, wuj Deonarine wziął mnie po cichu na bok.

— Kupiłem właśnie nowy samochód, Rabi, i chciałbym, żebyś go pobłogosławił — wyznał szczerze. — Nie pojedę nim nigdzie bez twojego błogosławieństwa!

Rozpromieniłem się. I pomyśleć tylko, że obawiałem się tego, że w czasie swego pobytu w Londynie porzuci hinduizm! Deonarine przez długie lata wykazywał małe zainteresowanie religią, lecz teraz wydawało się, że się w niej umocnił. „Poczekaj chwilę” odpowiedziałem, próbując posłużyć się poprawną angielszczyzną. — Przyniosę tylko parę rzeczy. Zaraz wracam.

Udzieliłem samochodowi gruntownego błogosławieństwa wypędzając wszelkie możliwe złe duchy i przywołując opiekę najpotężniejszych bóstw. Wuj Deonarine dał mi za to nawet przyzwoitą zapłatę, chociaż protestowałem, mówiąc, że nie jest to konieczne. W końcu zgodziłem się jednak, nie chcąc pozbawiać go tej wielkiej zasługi, jaką jest obdarowanie bramina.

— Musisz pójść do szkoły średniej, Rabi! — zaczął pewnego ranka nalegać Deonarine, gdy wraz z nim byłem w odwiedzinach u Ma. Miałem niebawem ukończyć szkołę w Mahabir Village i zacząłem przebąkiwać o możliwości powrotu do świątyni w Durga lub nawet udania się do wielkiej świątyni w Port of Spain.

— Rabi, musisz mieć wyższe wykształcenie — kontynuował z zapalem, a Ma stanowczo kiwnęła głową. — Mam na myśli również uniwersytet. To istotne dla przekazywania idei. Niezależnie od tego, jak bardzo jesteś oświecony, jak możesz zostać dobrym nauczycielem, jeśli nie potrafisz jasno wytłumaczyć rzeczy innym ludziom? Oprócz gruntownej znajomości ksiąg Wedy potrzebujesz także wykształcenia ogólnego!

— Cóż, z pewnością masz rację — zgodziłem się niechętnie, zwieszając głowę na znak rozczarowania. Czekałem niecierpliwie na zakończenie męczarni związanych ze szkołą, lecz nie można było odmówić słuszności jego słowom. Zdecydowałem się zdawać egzamin wstępny do tej samej szkoły średniej na południu, do której chodził mój kuzyn Krishna. Mogłem mieszkać u Wuja Ramchanda, którego wielce szanowałem. Mieszkał on niedaleko szkoły.

— Rabi idzie! Rabi idzie! — Był to głos Daadi, jak zwykle z daleka obwieszczający moje przybycie.

Z małą walizką w jednej ręce, pocąc się od gorąca i duchoty, szedłem ciężkim krokiem z dworca autobusowego do domu Ramchanda Maharaja, starszego brata mojego ojca, mieszkającego w południowej części wyspy. Bardzo lubiłem wizyty, które składaliśmy tam od czasu do czasu. Żona wuja Daadi, była bardzo wylewną i egzaltowaną osobą i zawsze witała mnie uszczęśliwionymi okrzykami, jak tylko zobaczyła mnie w oddali. Tym razem jednak wyczułem w jej głosie alarmującą nutę i wkrótce przekonałem się, dlaczego. Kiedy wszedłem do domu, moje nozdrza zaatakował natychmiast nieprzyjemny zapach koziego curry. Nigdy nie podejrzewałem, że jedzą mięso. Co za szokujące rozczarowanie!

— Ach! Nie wiedzieliśmy, że przyjedziesz dzisiaj! — wuj Ramchand wydawał się szukać słów by ukryć swe zakłopotanie.

— Chciałem wam wszystkim zrobić niespodziankę — odpowiedziałem spokojnie, nie wiedząc, w którą stronę skierować wzrok, wyraźnie wyczuwając jego konsternację. Ach, co za wstyd! Bramin jedzący mięso! I to taki gorliwy i religijny bramin!

Wuj próbował wciągnąć mnie w ogólnikową rozmowę na temat zdrowia Ma i innych członków rodziny, lecz ja odpowiadałem chłodno, wcale nie próbując ukryć mojego niezadowolenia. W końcu rozmowa utknęła. Wiedząc, co o tym myślę, wuj Ramchand próbował się usprawiedliwić.

— Czy wiesz dlaczego chrześcijanie jedzą mięso, Rabi? — zapytał.

Wydawało mi się to dziwnym pytaniem. Co za znaczenie mogło mieć to, jakie usprawiedliwienia podają chrześcijanie dla swoich zbrodni przeciwko memu bogu — krowie? Potrząsnąłem głową, czując, że jest mi niemalże zbyt niedobrze, bym mógł mówić. Jakże żałowałem, że chciałem im sprawić przyjemność moim niespodziewanym przyjazdem.

— Bóg spuścił z nieba ogromne prześcieradło pełne wszelkiego rodzaju zwierząt.

— A to skąd wzięteś? — zapytałem.

— Z Biblii bracie — chrześcijańskiej księgi.

— Chcesz przez to powiedzieć, że czytasz to?

— Sam nie czytam, ale słyszałem o tym.

— I co stało się z tym wielkim prześcieradłem? — ogarniała mnie złość i rozczarowanie. Była to ta sama księga, za której czytanie Nana zrzucił Ma ze

schodów. Księga chrześcijan — zjadaczy krów!!! I to miał być brat mojego ojca!

— Było w nim wiele gatunków zwierząt — i wiesz, co Bóg powiedział Piotrowi? Powiedział mu, by zabijał i jadł, ile tylko zapagnie! — Jego twarz nosiła wyraz triumfu, tak jakby przedstawił wystarczające usprawiedliwienie dla panującego w tym domu straszego zapachu przemocy i śmierci.

— Być może — powiedziałem ostro — ale nie powiedział tego tobie!

— Ale my robimy to w imię Kali — dodał Ramchand. — Kapłani w słynnej świątyni Kali w Kalkucie zabijają każdego ranka 16 kóz — ciotka potakiwała głową z kuchni, gdzie schroniła się przed moim gniewem.

— Ale bramini ich nie jedzą! — przypomniałem im sucho.

Nie chciałem tknąć nic z ich stołu przez cały ten dzień. Już sam zapach mięsa zanieczyścił cały dom. Ludzie szanowali mnie za głoszone przeze mnie zasady oraz za to, że ich przestrzegałem. W domu miałem zawsze własny talerz i sztućce, nawet moją własną powłokę na poduszkę oraz własne prześcieradła — nikt inny nie śmiał ich używać. Nie zjadłbym chleba lub placka zawierającego jajko. Ramchand wiedział o tym. Zawsze w przeszłości mieliśmy tyle wspólnych tematów, o których mogliśmy z przyjemnością rozmawiać. Teraz siedzieliśmy w niezręcznej ciszy, przerywanej z rzadka kilkoma nieporadnymi zdaniami. Ciotka trzymała się poza zasięgiem mojego wzroku, podobnie moi młodzi kuzyni. W końcu wuj zaproponował, żebyśmy przeszli się do pobliskiego portu, by popatrzeć na wielki holenderski tankowiec, który zawiął właśnie poprzedniego dnia. Przystałem na to, ciesząc się ze sposobności opuszczenia domu i oddalenia się od tego plugawego zapachu.

Holenderski statek był piękny, smukły i długi — większy od jakiegokolwiek z oglądanych przeze mnie wcześniej tankowców. Prawie można było dostrzec, jak zagłębia się w wodzie w miarę jak ogromne rury niestrudzenie przepompowywały na zakotwiczony niedaleko brzegu statek strumienie czarnego złota z kursujących tam i z powrotem barek. Niedaleko nas, przy nabrzeżu, załadowywany był statek handlowy. Długie ramiona dźwigów wyciągały się nad dokiem, kołowroty skrzybiały przeraźliwie, unosząc w powietrze ciężkie ładunki. Rozebrani do pasa zapracowa ni robotnicy portowi pocili się obficie w rozpalonym słońcu. Zawsze lubiłem wizyty w porcie. Wykonywana tam praca przeszywała mnie dreszczem emocji; obce nazwy wypisane na statkach zdawały się być zniewalającym wezwaniem do odwiedzenia odległych, egzotycznych miejsc. Ramchand kochał port podobnie jak ja. Nie zauważyliśmy nawet, jak napięcie między

nami stopniowo ustąpiło i rozpoczęliśmy swobodną rozmowę o moich planach rozpoczęcia jesienią nauki w pobliskiej szkole średniej, co pozwoliłoby mi na częstsze składanie mu wizyt. Wydawał się zadowolony i zapewniał, że podejmuję właściwą decyzję — taką, którą aprobowałby mój ojciec.

— Ciekawe dlaczego nikt nie pracuje na tym statku?, spytałem, kiedy przechodziliśmy obok wysokiego kadłuba frachtowca, który wyglądał na opuszczony.

— To rzeczywiście dziwne — odpowiedział mój wuj w zamyśleniu, przeszukując statek wzrokiem.

— Spójrz na to! — zawołałem, chwytając ciężką linę, zwisającą w odległości kilku stóp od basenu portowego z wystającego bomu. Sprawdziłem jej wytrzymałość. Wydawała się dość silna, by utrzymać ciężar kilku ton.

— Zobacz, co potrafisz! Zupełnie jak Tarzan! — krzyknąłem, biorąc szybki rozbieg i wyskakując w powietrze. Kołysałem się tam i z powrotem wielkim łukiem, trzymając się rozhuśtanej liny, wznosząc się wysoko ponad nabrzeże, a następnie opadając w dół i mijając w locie śmiejącego się, rozradowanego wuja. I wtedy stało się. U szczytu zataczanego łuku, tak nagle, jakby ktoś przeciął ją nożem, lina nieoczekiwanie obluźowała się ze znajdującego się wysoko nade mną bomu.

„Uważaj, Rabi!”

Usłyszałem wołanie mojego wuja prawie zanim zorientowałem się, co się dzieje. Poleciałem w dół i ku mojemu przerażeniu zobaczyłem, że lecę prosto w wąską przestrzeń między statkiem a nabrzeżem. Moje młóćące powietrze ręce złapały się krawędzi nabrzeża i zawisłem tak w tej ryzykownej pozycji, na poły oszołomiony. Chwyciwszy mnie za rękę, Ramchand wyciągnął mnie w bezpieczne miejsce na chwilę przed tym, jak statek przesunął się na skutek powolnego ruchu wody i uderzył w nabrzeże.

— Chłopcze, miałeś niesamowite szczęście! — zawołał wuj. Mogłem zostać zgnieciony. Drżały mu wargi, a cała krew odpłynęła z twarzy.

Byłem zbyt słaby, by stanąć na nogach. Obaj wpatrywaliśmy się oniemiałi w zwój zerwanej liny leżącej na nabrzeżu, a potem spojrzeliśmy na znajdujący się wysoko nad nami bom. Wydawało się, że nie ma żadnego wyjaśnienia dla tego faktu. Lina wcześniej była przecież zamocowana, a teraz już nie — tak, jakby jakaś niewidoczna ręka nagle ją odwiązała. Mimowolny dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa, kiedy przez głowę przeleciały mi następujące wspomnienia: pewnego razu poczułem, jak jakieś

niewidzialne ręce spychają mnie z jadącej ciężarówki i przy upadku zostałem poważnie ranny; pewnego niezapomnianego popołudnia coś niewidzialnego przytrzymało mi stopę tak, że nie mogłem jej usunąć z drogi po której jechał ciężki walec, tak, że zgniótł ją... przypomniałem sobie i inne podobne „wypadki”. A teraz w cieniu tego dziwnego, opuszczonego statku poczułem wyraźnie pełną mnie grozy obecność Śiwy, którą znałem tak dobrze. Czy to on odwiązał linę? Próbowałem odrzucić tę bluźnierczą myśl, bojąc się gniewu Śiwy, lecz poczucie jego obecności nie opuszczało mnie. Dlaczego? To nie ja jadłem mięso!

Kiedy przyszliśmy do siebie, zwróciliśmy się powoli w kierunku domu, zachowując powagę i milczenie, zatopieni we własnych myślach. Jeśli była to moja karma z jakiegoś poprzedniego wcielenia, to było to w moim odczuciu strasznie niesprawiedliwe. Dlaczego miałbym być karany za jakieś dawne grzechy, których nawet nie pamiętałem?

# Święta krowa!

Mam dla ciebie niezwykłą wiadomość, Rabi! Będę uczyć w Queen's Royal College w Port of Spain! Może byś tak poszedł do tej szkoły zamiast na południe? — Wuj Deonarine pokazał mi list zawierający nominację, która właśnie nadeszła.

— Naprawdę sądzisz, że powinienem? — myśl o chodzeniu do tak wielkiej i prestiżowej szkoły napawała mnie strachem.

— Oczywiście! Mógłbyś codziennie jeździć ze mną do szkoły samochodem — dotrzymywać mi towarzystwa. Co na to powiesz?

Bardzo lubiłem wuja Deonarine'a. Wspaniale byłoby jeździć z nim codziennie, mieć szansę porozmawiania o tak wielu rzeczach... więc się zgodziłem. Jakże emocjonującym przeżyciem było jechać tego pierwszego dnia szerokimi ulicami Port of Spain z ruchliwymi sklepami i wielkimi domami o czerwonych dachach, mijać rozległe parki z zielonymi, trawiastymi boiskami do piłki nożnej i klubami krykietowymi, i wreszcie dotrzeć do imponującego kompleksu budynków Queen's Royal College! Wuj Deonarine wydawał się nie mniej zadowolony ode mnie i natychmiast przedstawił mnie z dumą kilku członkom wydziału jako swojego „młodego bramińskiego siostrzeńca”.

Najpierw wszyscy zebrali się w wielkim audytorium, gdzie zostaliśmy uraczeni przez dyrektora długim i całkowicie niezrozumiałym (dla mnie) przemówieniem. Wcześniej słyszałem niewielu Anglików i żadnego z nich do końca nie rozumiałem, ale ten był najgorszy z nich wszystkich. Nie rozumiałem prawie ani jednego słowa.

— Słuchaj, co on powiedział? — po zakończeniu spyta łem szeptem siedzącego obok mnie ucznia. Potrzebowałem chyba tłumacza, by móc chodzić do tej szkoły!

Popatrzył na mnie dziwnie.

— Jesteś głuchy? — zapytał głośno.

— Nie, nie jestem głuchy, ale o czym on mówił?

— Ach to tylko jakieś przepisy i tego rodzaju rzeczy. Chyba jesteś z południa... gdzieś ze wsi?

Skinąłem głową, zaczynając żałować, że nie poszedłem jednak do tej drugiej szkoły razem z Krishną. Zanim dzień dobiegł końca żałowałem jeszcze gorzej, że kiedykolwiek usłyszałem o Queen's Royal College. W tej

części wyspy, gdzie mieszkałem, prawie cała ludność pochodziła z Indii Wschodnich, lecz w Port of Spain przeważająca większość była czarna, co natychmiast wywołało we mnie wewnętrzny konflikt. Przez całe moje życie żywiłem głęboką nienawiść do czarnych ludzi, ponieważ jedli oni mojego boga — krowę. Uważałem ich za coś niższego od najniższej kasty. Jakże mogłem siedzieć obok nich w klasie, ocierać się o nich w zatłoczonych korytarzach tej szkoły i grać wraz z nimi w piłkę nożną? Tego pierwszego dnia moje uprzedzenia i duma poddane zostały kilku silnym wstrząsom. Większość czarnych, których znałem u nas na wsi, była stosunkowo biedna. Wielu uczniów w tej szkole — czarnych, brązowych i białych, pochodziło jednak z bogatych rodzin i mówiło lepszą niż ja angielszczyzną. Kiedy przychodziła moja kolej do odpowiedzi, inni uczniowie parskali śmiechem za swoimi książkami, rozbawieni moją nosową, wiejską mową, złą wymową i błędną gramatyką. Z wielkim wysiłkiem zacząłem mówić poprawniej, by uniknąć śmieszności.

W następnych tygodniach codzienne kontakty z czarnymi, orientalnymi i angielskimi młodzieńcami oraz przedstawicielami innych ras stanowiły poważne wyzwanie dla moich wierzeń religijnych. System kastowy jest podstawą hinduizmu. Sam Brahma stworzył cztery istniejące kasty ze swego własnego ciała — żadne zarządzenie nie było w stanie zmienić tego stwierdzenia w Wedach — tak więc nie było żadnej podstawy dla istnienia w świecie kogokolwiek innego. A jednak świat był pełen innych istot ludzkich, znajdujących się poza systemem kastowym. Co było źródłem ich powstania? Dlaczego w pismach hinduskich nie było żadnej wzmianki o możliwości ich zbawienia przez Jogę i reinkarnację? Najwyraźniej według mojej religii nie było dla nich nadziei. Mimo to nie byli oni pod żadnym względem gorsi ode mnie. W rzeczywistości trudno mi było rywalizować w klasie z wieloma spośród nich. W mojej części wyspy byłem podziwiany i ubóstwiany pewien, że jestem Bogiem. Jednakże ci nieoświeceni chłopcy z Queen's Royal College traktowali mnie za ledwie jak równego sobie, a czasami nawet i nie tak. A pytania, które mi zadawali — czasem żartem, a czasem na serio — zaczęły wstrząsać moją wiarą.

— Czy to prawda, że Hindusi wierzą, że wszystko jest Bogiem?

Skinałem głowę, przenosząc zakłopotany wzrok z pytającego na zebranych wokół chłopców różnych ras i religii, którzy chcieli mnie dręczyć. Stawało się to już zwyczajem — a inni hinduscy chłopcy skwapliwie unikali udzielania mi jakiegokolwiek pomocy, tak jakby się wstydzili lub bali się.

— Chcesz powiedzieć, że mucha jest Bogiem, albo mrówka, albo pluskwa? — W otaczającym mnie tłumie rozległy się salwy śmiechu.

— Śmiejecie się, bo nie rozumiecie — powiedziałem dumnie. — Widzicie tylko iluzję, lecz nie dostrzegacie Jedynej Rzeczywistości — Brahmanu.

— Czy ty jesteś Bogiem? — zapytał z niedowierzaniem pewien portugalski chłopiec.

Nie mogłem zawahać się ani wycofywać — wywołałoby to tylko jeszcze większy śmiech.

— Tak — odpowiedziałem stanowczo — podobnie jak wszyscy Hindusi. Muszą oni tylko zdać sobie z tego sprawę.

— W jaki sposób chcesz sobie „zdać sprawę” z czegoś, co nie jest prawdą? — odciął się z drwiącym parsknięciem. — Ty nie stworzyłeś świata!

Jeden z chłopców, Anglik, wydawał się wiedzieć zbyt dużo o hinduizmie.

— Słyszałem, że jesteś wegetarianinem — nie uznajesz prawa do niszczenia jakiegokolwiek życia...

— Wyznaję zasadę nieużywania przemocy. Tak jak Gan-dhi. Wszyscy go szanują. On był wielkim Hindusem! Odbieranie życia jest złem.

— Wszelkiego życia? — nie zwróciłem uwagi na ton jego głosu, który powinien był mnie ostrzec, że zastawia na mnie pułapkę.

Potaknąłem stanowczo.

— Wszelkie życie jest święte. Tak mówią Wedy — spojrzałem błagalnie w stronę kilku chińskich chłopców z grupy, o których wiedziałem, że są buddystami. Oni również w to wierzyli — dlaczego się do tego nie przyznawali? Wiedziałem, że jestem w kłopotcie i pragnąłem, żeby zechcieli pomóc mi w tej kwestii, chociaż w wielu innych zagadnieniach religijnych byłbym ich wrogiem. Na lekcjach biologii uczyliśmy się już o tym, jakich jest siedem cech charakterystycznych dla życia. Były to: oddychanie, przyjmowanie pokarmu, wydalanie, wrażliwość na bodźce, wzrost, reprodukcja i ruch. Wiedziałem aż za dobrze, że również rośliny posiadają wszystkie te cechy. Odbierałem życie, kiedy zrywałem banana lub mango i zjadałem je. Nie widziałem żadnego sposobu, by zaprzeczyć, że wegetarianie odbierają życie, byłem jednak zdecydowany bronić różnicy między odbieraniem życia roślinom, a odbieraniem życia zwierzętom.

Mój przeciwnik mrugnął do swoich przyjaciół.

— Czy nie wiesz, że nawet rośliny posiadają siedem charakterystycznych cech życia? — zapytał. — Wegetarianie również odbierają życie.

Otworzyłem usta, próbując wyjaśnić różnicę między życiem roślinnym a zwierzęcym, lecz głos zabrał już ktoś inny.

— A co się dzieje, kiedy on gotuje sobie wodę na herbatę? — zapytał jakiś głos z tyłu. — Pomyślcie o tych milionach bakterii, które wtedy zabija! Biedne, bezbronne zwierzątka — bo przecież nimi są. Wiecie one ewoluują i przesuwały się w górę w łańcuchu reinkarnacji — w końcu zostają krowami i ludźmi!

Wszyscy mieli świetną zabawę.

— Do licha, on jest normalnym mordercą! — zawołał ktoś z lewej. — Nie ma się co dziwić, że jest taki chudy! — dodał ktoś inny. — Żywić się tylko roślinami! Trzeba jeść mięso, człowieku!

— Po prostu nie rozumiecie! — protestowałem odważnie. Płonęły mi policzki, a w środku czułem się rozbity i sfrustrowany.

— Nie próbuj opierać hinduizmu o logikę lub naukę, — poradził mi wuj Deonarine, kiedy wieczorem wracaliśmy do domu. — To jest religia — coś, w co decydujesz się wierzyć, a nie coś, co możesz udowodnić.

— Ale prawda jest prawdą! — upierałem się. — Pisma hinduskie są prawdą!

— Wiele z tego, o czym mówią, to czysta mitologia — powiedział Deonarine protekcyjnym tonem. — Kriszna nigdy nie istniał; podobnie Rama. Bhagavad-Gita i Ramayana to po prostu mity — piękne opowieści.

Widziałem, że dyskusja z wujem Deonarine nie ma sensu. Nigdy nie był na tyle zainteresowany religią, by praktykować Jogę i nie mógł więc zrozumieć tego, co ja wiedziałem. On nie spotykał bogów tak, jak mi się to zdarzało. Być może taka była jego karma, by nie zrozumieć tego w tym życiu. Z pewnością miał wejść jeszcze w wiele innych wcieleń i nauczyć się prawdy wtedy, kiedy już będzie gotowy.

Tego wieczoru, kiedy pasłem naszą krowę pod palmami kokosowymi za chatą Gosine'a, obserwowałem ją uważnie, tak jak czyniłem to zawsze od dnia, w którym mnie zaatakowała. Nie wydawało się zbyt słuszne nie ufać tak wielkiemu bóstwu, lecz człowiek musi być praktyczny. To była jedna z rzeczy, których uczyłem się w szkole średniej — być praktycznym. Najwyraźniej religii nie trzeba traktować zbyt dosłownie w zwyczajnym życiu. Przestałem czcić krowę z przyczyn praktycznych. Niemożliwym było jednocześnie wystrzegać się ataku i oddawać jej cześć. Wiedziałem jednak, że nigdy nie przestanę wierzyć, że krowa jest wielkim i świętym bóstwem. W rzeczywistości byłem pewien, że stanie się w następnym wcieleniu krową

byłoby wielkim krokiem w górę ku jedności z Brahmanem, gdyby w tym wcieleniu nie udało mi się osiągnąć mokszy.

— Jesteś bogiem, prawda? — spytałem krowę z całą powagą.

Nie przestawała zrywać swoim wielkim pyskiem soczystej trawy, przeżuwając ją powoli i z głębokim zadowoleniem. Doprawdy trudno było uwierzyć, że mogła mnie tak podstępnie zaatakować — wspomnienie to było jednak ciągle świeże.

— Oczywiście, że jesteś bogiem! Wiem, że jesteś. Prawda?

Podniósłszy swój łeb, spojrzała na mnie leniwym wzrokiem, przeżuwając swój pokarm wolno i spokojnie. „Muu”, oznajmiła z powagą.

— Muu! Muu!

# Bogacz i biedak

— W jaki sposób Nana zdobył takie bogactwo? — zapytał pewnego wieczoru wuj Deonarine. Spekulacje na ten temat w dalszym ciągu fascynowały mnie jak i wielu innych, lecz nigdy nie słyszałem, by mówił o tym Deonarine. Staliśmy na frontowej werandzie podziwiając wspaniały widok, jaki tworzyły rozświetlone domy w całym mieście. Wydawało się, że każda hinduska rodzina współzawodniczy ze swoimi sąsiadami, by zobaczyć, kto w czasie dorocznego święta Divali będzie mógł wystawić więcej lampek deya.

— Mędrcy mówią, że to duchy dały mu złoto — Deonarine`a przeszedł nieprzyjemny dreszcz. — Naprawdę nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia... — dodał w zamyśleniu. — Oczywiście Nana pracował ciężko. Mimo że pochodził z wysokiej kasty i był Kszatriją, zaczął jako pomocnik na farmie ścinający trawę za dziesięć centów dziennie. W jakiś sposób udało mu się kupić od pewnego Chińczyka chatę za 50 dolarów i zaczął tam wytwarzać ozdoby. Jednej nocy chata spłonęła w tajemniczych okolicznościach... i po tym wydarzeniu został milionerem, chociaż niewielu ludzi poza rodziną wiedziało o tym.

Kiedy zmrok zamienił się w ciemność, wszystkie święte światła wokół nas wydały się jeszcze jaśniejsze. Co za piękny widok! Divali było jednym z moich ulubionych świąt narodowych. Zachęcające dla mnie było to, że każdy hinduski dom był o wiele jaśniej oświetlony niż domy chrześcijan na Boże Narodzenie — i to nie światłem elektrycznym, lecz żywymi płomykami na zanurzonych w bawolim tłuszczu knotach. Podobne jasnym świecom, deya migotały na parapetach okiennych, na stołach, na balustradach ganków i na schodach od góry do dołu — każde światło ku czci Lakszmi — bogini bogactwa i powodzenia.

Wuj Deonarine wskazał ręką w kierunku szczególnie obficie oświetlonego domu.

— Nana odprawiał zawsze swoje specjalne puja do Lakszmi dwa razy dziennie w czasie Divali, sam przed swoim wielkim, żelaznym sejfem. W jego pokoju odbywały się także i inne tajemnicze obrzędy, lecz nikt nie mógł nigdy w nich uczestniczyć.

— Jak myślisz, czy to Lakszmi uczyniła go bogatym, czy duchy? — zapytałem. Nasz domowy mędrzec przechodził co pewien czas wszystkie

pokoje w domu z zapaloną deya, oddając cześć domowi i mieszkającym w nim duchom — szczególnie duchowi Nany, który go zbudował. Pełnym powagi gestem wykonywał przy użyciu deya trzy koła wokół wielkiej fotografii Nany w salonie. Czuliśmy duchy tak samo, jak bogów i czasami jedne i drugie istoty zatracaly w naszych oczach swoją odrębność.

— Czy to ważne jak to nazwiemy? Czyż we wszechświecie nie istnieje tylko jedna Siła?

— Jest tylko jedna Rzeczywistość — Brahman. — Przytaknąłem z powagą. — Wszystko inne jest iluzją — maya.

Obserwowaliśmy światła w milczeniu. Można było niemal wyczuć obecność Lakszmi oraz to, że jest zadowolona. Było jednak jeszcze jedno pytanie, które musiałem zadać i w końcu przerwałem ciszę.

— Niektórzy mówią, że te same duchy, które pilnowały jego fortuny, zabiły go, zanim by mógł ją wydać. Nie rozumiem tego. A ty co o tym sądzisz?

Wuj Deonarine nie odpowiadał przez kilka minut. Czekałem z niecierpliwością. Kiedy w końcu przemówił, w jego głosie pojawiła się nuta zakłopotania.

— Nie wiem. Za każdym razem, kiedy przychodzi Divali, myślę o bogactwie mojego ojca, w tajemniczy sposób zdobytym i w tajemniczy sposób ukrytym poza zasięgiem kogokolwiek z nas... i o jego przedwczesnej śmierci. — Zakaszła nerwowo i odwrócił się, by wejść do domu. — Nie lubię rozmawiać o takich rzeczach — dodał cicho.

Pozostałem na werandzie sam jeszcze przez długi czas, obserwując ten wspaniały widok, zachwycając się ilością zapalonych deya i rozważając tajemnicę istnienia wielu bóstw i duchów oraz jednej Rzeczywistości.

— Światła palone są dla Lakszmi i odprawia się dla niej specjalne puja. Jest ona boginią bogactwa i powodzenia — objaśniałem święto Divali pewnemu muzułmańskiemu chłopcu podczas spożywanego wspólnie lunchu. Wyglądał na zainteresowanego, lecz jak zwykle zebrała się wokół mnie niewielka grupka prześmiewców.

— Jeśli Lakszmi jest boginią bogactwa i powodzenia, to dlaczego większość Hindusów jest taka biedna? — domagał się wyjaśnień wysoki czarny chłopiec. — Oddawanie jej czci to strata czasu!

— Nie rozumiesz idei karmy i reinkarnacji! — odciąłem się ostro. — Człowiek może być biedny w jednym wcieleniu, a bogaty w następnym.

— Ale ile to wcieleń trzeba przeżyć? Rozejrzyj się wokół! Większość Hindusów z Indii Wschodnich zajmuje się ścinaniem trzciny cukrowej i mieszka w nędznych chałupach.

— Moja rodzina nie jest biedna!

— On ma na myśli Hindusów w ogóle — upierał się drobny Anglik. — Popatrz na Indie, to najnędzniejszy kraj na świecie!

— Kto tak powiedział?

— Mój ojciec. Mieszkał w Indiach, zanim się urodziłem.

Jest tam więcej szczurów niż ludzi, straszne ubóstwo i choroby!

— Być może kiedy rządili tam Brytyjczycy, ale nie od czasu niepodległości! — Pomruk aprobaty przebiegł przez skupiający się wokół nas tłum. Trynidad walczył o wyzwolenie się spod władzy Brytyjczyków i niepodległość była słowem rozpalającym ogień w sercu każdego patrioty.

— Ludzie w Indiach głodują, podczas gdy szczury obrastają w tłuszcz, a święte krowy zdychają ze starości! — oznajmił inny chłopiec, włączając się w wir walki. — Oto co dla Indii zrobili tamtejsi bogowie i reinkarnacja. Ja jestem ateistą. Nie chciałbym mieć takich bogów!

— To nieprawda! Moja matka tam mieszka i nigdy nie pisała o czymś podobnym!

Wiedziałem, że moi przeciwnicy mają rację, lecz przyznanie im tego zbyt wiele by mnie kosztowało. Nędza panująca w Indiach była tematem starannie pomijanym w listach mojej matki. Opisywała ogrody, barwnie upierzone ptaki i egzotyczne zwierzęta, świątynie i święta. Opowiadała wszystko o swoim guru — nigdy jednak o warunkach życia ludzi. Jednakże niektóre z przeczytanych przeze mnie książek nie pozostawiły w moim umyśle żadnych wątpliwości co do tego, że kraj mojej religii był niezwykle biedny. Jakże mogło się to stać w wyniku tysięcy lat praktykowania Jogi, coraz lepszej karmy i zmierzającej ku górze reinkarnacji dążącej do jedności z Brahmanem? Dlaczego oglądane przeze mnie indyjskie filmy nie ukazywały nigdy rzetelnie tego kraju? I dlaczego uparcie spierałem się z chłopcami w szkole, przynajmniej w niektórych kwestiach, gdzie było oczywiste, że nie mam racji? Czy obawiałem się prawdy? Nie byłem w stanie przyznać się do tego — pociągnęłoby to za sobą zbyt wiele!

— Dlaczego uważasz, że ten świat jest jedynym istniejącym? — zapytał Gosine, kiedy delikatnie poruszyłem problem, dlaczego tak wielu Hindusów żyje w biedzie i cierpieniu. W czasie Divali Gosine palił w swojej chacie deya poświęcone Lakszmi dzień i noc, chociaż powiedział mi kiedyś, że jego karma to pozostać biednym.

— Wedy mówią, że jest wiele światów. Być może w tym świecie są tylko biedni Hindusi. Kiedy zaskarbią sobie lepszą karmę, pójdą do lepszego świata.

— Tak, ale czy nie ma także bogatych Hindusów, tak jak Nana i mędrcy? Gosine przytaknął z powagą.

— To, co mówię, Bhai, być może nie odnosi się do wszystkich... ale w innych — być może — światach są tylko bogaci.

— No tak, bracie, ale w Bhagavad-Gita Kriszna mówi, że kiedy karma skończy się w innym świecie, powraca się tu znowu.

— Pewne rzeczy nie tak łatwo zrozumieć... — Czy oczy Gosine'a zdradzały przelotną wątpliwość? Szybko się opanował.

— Dla Joga bogactwo i bieda nie ma żadnego znaczenia. Jog, tak jak twój ojciec, nie powraca do tego świata nigdy. W Upaniszadach powiedziane jest, że wszelka ignorancja znika, jeśli medytuje się o Brahmanie. Oni odnajdują OM. Tylko Jogowie dostępują tego oświecenia.

Odwołując się do Wedanty Gosine dobrze wyraził mój najwyższy cel. Jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie posiadałem, była książka na temat Jogi przysłana mi przez moją matkę z Indii. Opisowała ona zaawansowane techniki, których byłem w stanie używać, opierając się na podstawach opanowanych w świątyni. Pan Kriszna nauczał Arju-nę, że nie ma nic ważniejszego niż pilne praktykowanie Jogi. Dzięki tej „boskiej tratwie” można było przejść ponad ignorancją i brudem ludzkich uczynków do wiecznego Szczęścia. Jeszcze zanim ukończyłem dziesięć lat, ćwiczyłem oprócz mojej codziennej medytacji Jogę — pozycje, ćwiczenia oddechu i medytowanie — robiłem to na werandzie przed moim pokojem od północy do wpół do drugiej w nocy, kiedy wszyscy inni spali. Ćwiczyłem albo Brudmad-hya Drishti albo Madhyama Drishti. To koncentracja, połączona z ćwiczeniami oddechu, przenosiła mnie w sfery świadomości całkowicie niezależne od otaczającego mnie świata.

Dzięki Jodze doświadczałem w coraz większym stopniu obecności istot duchowych, które były moimi przewodnikami i dodawały mi siłę psychicznych. Bogowie byli realni! Żadne argumenty przytaczane przez chłopców w szkole nie mogły tego zmienić. Czasami przeżycia te podniecały mnie zbyt mocno, bym mógł zasnąć, kiedy w końcu kładłem się do łóżka. Gdybym tylko mógł nakłonić Deonarine'a i innych Hindusów do praktykowania Jogi i Medytacji, poznaliby wtedy prawdę o swojej religii. Nie wolno mi samemu osiągnąć Nirwany. Guru jest nauczycielem, który prowadzi innych do wiecznego Szczęścia.

— Rabi! Rabi!

Byłem sam w pokoju modlitw, siedząc przed niewielką figurką Pana Kriszny, oddychając głęboko i rytmicznie i próbując naśladować jego uśmiech. Tego ranka ponownie pokłóciliśmy się ostro z ciotką Revati, ale nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak to się zaczęło. Miałem nadzieję, że przez medytację odzyskam poczucie spokoju wewnętrznego, które ostatnio wydawało się tak ulotne. Byliśmy jednak z Ma sami w domu i nikt inny nie mógł odpowiedzieć na jej wołanie.

— O co chodzi, Ma? — zawołałem w odpowiedzi.

— Ktoś puka na dole. Idź i zobacz, kto to jest.

Cała rodzina poszła na plażę z okazji dorocznego święta Kartiknahan. Większość Hindusów w Trynidadzie kąpała się wtedy w rzekach, zatokach i na plażach w nadziei duchowego oczyszczenia. Dla mędrców nie było ważniejszego, bardziej pracowitego i przynoszącego większe korzyści dnia. W pośpiechu odprawiali dla kąpiących się jedną puja za drugą, zbierając opłaty i podarunki oraz delektując się jedzeniem, którym wszyscy się z nimi dzielili. Była to wielka okazja na poprawienie własnej karmy przez żywienie braminów. Ja sam zacząłem wątpić w użyteczność takich rytuałów. Nic nie mogło zmienić czyjejs karmy — a już zwłaszcza kąpiel w czasie Kartiknahan. Wielu Hindusów obeschnąwszy po kąpeli, powracało prosto do stołu z mięsem, a niektórzy do bicia własnych żon lub dręczenia ich w inny sposób. Święta takie co prawda były, lecz jak powiedział Kriszna, dla Joga wszystko inne jest bez znaczenia. Ja wybrałem lepszy sposób spędzania mojego cennego czasu.

— Dobrze, Ma — zawołałem. Jakkolwiek niechętnie, zawiąłem pieczołowicie Pana Krisznę w jego święty kawałek materiału i odłożyłem go na bok. Wyszedłszy na werandę, usłyszałem, że ktoś puka w pobliżu frontowych schodów. Przechyliwszy się przez balustradę, ujrzałem starego hinduskiego żebraka, który spoglądał na mnie z dołu.

— Czego chcesz? — zawołałem do niego.

— Roti, Baba, Roti! — odpowiedział, wyciągając błagalnie w moim kierunku rękę. Składał mi wyrazy szacunku, czy też używał tytułu „Baba” tak, jak to czynią biedni Hindusi, chcący wkupić się w łaski bogatych? Odsunąłem to pytanie na bok.

Mimo że prawie nigdy nie zapraszało się żebraka do środka, uczyniłem to tym razem, gdyż ten budził swoim wyglądem moją litość. — Wejdz na górę!

— krzyknąłem, kiwając na niego ręką. — Zobacze, czy coś mam. — Żebra-  
nie było mimo wszystko zaszczytnym sposobem pomagania Hindusowi w  
osiąganiu dobrej karmy.

Potrząsając głową wskazał na swoje bose stopy.

— Ja niezdolny wejść aż tak wysoko!

— No dobrze, idź więc dookoła do drugiego wejścia. — Pokazałem mu je  
i odwróciłem się, by wejść do domu.

Wyglądał jak Chamar — Niedotykalny — z bardzo ciemną skórą, ktoś,  
kogo nie powinienem dopuszczać blisko siebie — mogło mnie to splamić  
jako bramina. Kiedy jednak patrzyłem na niego, jak z trudem się porusza,  
opierając się ciężko na kiju, ślaniając się na nogach i potykając, poczułem dla  
tego starego żebraka narastające współczucie. On również był istotą ludzką.  
Uznając to za rzecz naturalną, poczułem się lepiej. Zbiegłem szybko po  
tylnych schodach i otworzyłem bramę. Powitawszy go ciepłym uśmiechem,  
poprowadziłem go powoli na patio przy kuchni na tyłach domu.

— Usiądź tutaj — powiedziałem, wskazując na krzesło przy stole.  
Spojrzał na mnie chłodno wielkimi, okrągłymi, nieruchomymi oczami. Z  
westchnięciem i głuchym odgłosem opadł na krzesło. Nie zwrócił uwagi na  
wodę, którą mu podałem do obmycia rąk, najwyraźniej nie interesowało go  
to.

— Przyniosę ci trochę jedzenia — powiedziałem uprzejmie.

Przeszukałem kuchnię, znalazłem trochę resztek ze śniadania: cienkie,  
podobne do naleśników roti oraz trochę gotowanego szpinaku z ostrymi  
przyprawami, zwanego bhaji. Postawiłem przed nim jedzenie i usiadłem,  
przyglądając mu się z wielkim zainteresowaniem. Był jednym z tych  
podróżujących świętych mężów, dość często spotykanych w naszej części  
wyspy, którzy wyrzekli się wszelkiego majątku. Większość z nich nie  
musiała wyrzekać się wiele. Jego długie, siwe włosy były nieuczesane i  
pozlepiane brudem, a w brodzie pomiędzy rozczochranymi włosami miał  
zastygnięte resztki różnych wyżebranych ostatnio potraw. Noszone przez  
niego dhoti, najprawdopodobniej niegdyś białe, było teraz szare i śmierdziało  
stęchlizną. nosząc z przodu liczne ślady po curry i sosach. Musiałem odsunąć  
moje krzesło nieco dalej — unoszący się wokół niego smród był nie do  
zniesienia. Mimo to odczuwałem rosnące współczucie dla tego  
odpychającego gościa, co sprawiło, że poczułem się, jakbym wykonał dobry  
uczynek. Z pewnością było to pomocne dla mojej karmy.

— Idziesz z daleka dzisiaj? — zapytałem, mając nadzieję, że nakłonię go  
do rozmowy.

Żarłocznie pochłaniając jedzenie, za jedyną odpowiedź wydobył z siebie tylko niski pomruk. Odrywając kawałki roti, wygarniał nimi wielkie kęsy bhaji, oblizując palce i najwyraźniej rozkoszując się każdym połkniętym kawałeczkiem. Byłem pewien, że przyniosłem mu zbyt dużo — zjadł jednak wszystko, wycierając talerz do czysta. Popiwszy obficie, odchylił się do tyłu na krzesło, spojrzął na mnie i beknął głośno. Wycierając usta przodem swojego dhoti, dodał nowy kolor do wcześniejszych plam.

— Latryna! — warknął nagle, a jego wielkie oczy zaczęły się rozpaczliwie rozglądać dokoła: widocznie musiał szybko ją znaleźć. Skoczyłem, by mu pomóc, a on złapał mnie za ramię i podniósł się z krzesła. Opierając się częściowo na mnie, a częściowo na swoim ciężkim kiju, poczłapał za mną do wychodka, który mieliśmy dodatkowo na tyłach domu. Kiedy udało mu się niezręcznie wejść do środka, kazał mi na siebie poczekać. Usłyszałem go właśnie, jak wołał w miejscowym trynidadzkim dialekcie hindu.

— Ahwah! Ahwah! — Brzmiało to rozpaczliwie.

— Słucham, czego chcesz? — odpowiedziałem niepewnie.

— Chodź tutaj!

Otworzyłem z wahaniem drzwi. Nie mógł wstać z sedesu. Jego zimne oczy wydawały się drwić ze mnie. Pochylając się nad nim i wstrzymując oddech, złapałem go pod pachy i podniosłem, wkładając w to wszystkie siły, podczas gdy on stękał głośno, niewiele mi pomagając. W końcu znów stał na nogach, kołysząc się niepewnie i chwytając się swego kija. Wydawało się, że nie może mówić. Pokazując mi ręką i pomrukując przy tym, dał mi do zrozumienia, że nie może się wystarczająco pochylić. Zakłopotany, schyliłem się i podciągnąłem mu jego dhoti. Nie mogłem już dłużej wstrzymać oddechu i byłem zmuszony wziąć kilka głębokich wdechów pomimo panującego wokół straszliwego smrodu. Musiał nie kąpać się od wielu miesięcy. Był jednak istotą ludzką i mimo jego zimnego spojrzenia i wrogości chciałem mu pomóc. To, co robiłem, poprawiało moje samopoczucie. Nie przeżywałem tego uczucia już od dawna.

Zaprowadziłem go do kranu, myśląc, że będzie chciał się umyć, lecz nie wykazywał żadnego tym zainteresowania. Mruknął z oburzeniem, a jego zimne oczy zapłonęły nienawiścią, którą powinienem był zauważyć wcześniej, gdyż przez cały czas tliła się gdzieś w głębi. Odepchnął mnie i powłókł się w kierunku bramy, opierając się na swym kiju, kulejąc i kołysząc się jak ranne zwierzę.

Dotarłem do bramy pierwszy i pchnąłem, otwierając ją przed nim. Przekuśtykał na drugą stronę, a następnie odwrócił się i splunął pod moje stopy. Przerywając dotychczasowe milczenie, bluznął nagle stekiem niewyobrażalnych przekleństw w języku hindi i po angielsku, wyrażając tym samym odczuwaną w stosunku do mnie nienawiść za to, że posiadałem rzeczy, których on się wyrzekł. Czy naprawdę pragnął tego, co posiadałem? Czy nienawidził mnie dlatego, że według niego ja byłem bogaty, a on biedny? Byłem zmieszany... i zaskoczony. Żadnego nawet „dziękuję” za to, co zrobiłem?

Zamknąłem i zarygnowałem mechanicznie bramę, nie zdając sobie niemal sprawy z tego, co robię i pobiegłem, by się umyć, a następnie w oszołomieniu wspiąłem się na werandę. Osłupiały i wstrząśnięty, nie powróciłem już na medytację do pokoju modlitw. Zapomniałem o błogim uśmiechu Kriszny. Znalazłszy się w moim pokoju, usiadłem zasmucony, z pochyloną głową na krawędzi łóżka. Żebrak miał rację — ubóstwo było bardziej duchowe, ponieważ bogactwa są częścią iluzji wynikającej z ignorancji. Dlaczego jednak Lakszmi była boginią bogactwa i powodzenia, skoro majątek był złem lub należał jedynie do maya? Dlaczego nagrodziła Nanę, dając mu miliony? I gdzie znajdowało się teraz to złoto? Może sami bogowie, podobnie jak wszystkie świątynie wzniesione ku ich czci, byli tylko częścią wielkiej iluzji?

Nadal jeszcze siedziałem na łóżku, z głową opartą na dłoniach, ponownie przeżywając ten koszmar i nie będąc w stanie poradzić sobie z pytaniami o niszczycielskiej sile odnośnie do tego człowieka... kiedy powróciła z oczyszczającej duszę wycieczki na plażę moja rodzina.

# Nieznany Bóg

Kiedy po drugim roku w Queen's Royal College skończył się rok szkolny, udałem się na farmę mojej ciotki Sumintry, by jak zwykle spędzić kilka tygodni moich wakacji w Guara Cara w górzystych rejonach Pasma Centralnego. Zawsze lubiłem odwiedzać jej rodzinę — traktowali mnie jak księcia. Nie było nic, czego nie zrobiłaby dla mnie ciotka Sumintra. Jej mąż, mimo że dużo pił, był poważny i całkiem przedsiębiorczy. Zajmował się nadzorowaniem kamieniołomu oraz należącej do nich dużej plantacji kakao. Ich syn — Sharma, rok starszy ode mnie, mieszkał z nami w czasie roku szkolnego i był jednym z moich najbliższych przyjaciół.

Cieszyłem się, z towarzystwa ośmiorga moich kuzynów, lecz najbardziej uwielbiałem spokój i piękno gór. Dobrze było oderwać się od hałasu grających szaf, motocykli i klaksonów samochodowych, które tak często zakłócały mój spokój w Port of Spain. Jakże uwielbiałem naturę! Moje głębokie poczucie jedności ze wszechświatem sprawiało, że w tajemniczy sposób identyfikowałem się ze wszystkimi formami życia: z przeróżnymi jaskrawymi dzikimi kwiatami, nieskończoną różnorodnością świergoczących ptaków, z liśćmi lśniącymi w dżungli po ulewnym deszczu. Byłem wszystkim tym razem i każdym biegającym po leśnych ścieżkach stworzeniem z osobna. Każde z nich istniało jako jedno z moich licznych ciał, a ja byłem ich wyższą świadomością. Odbywane przeze mnie codziennie długie spacery po tym otaczającym farmę raję napełniały mnie poczuciem niewymownej radości. Ja byłem Brahmanem, a to był mój świat, tworzony moimi myślami.

Jak zwykle, przybywszy na miejsce po długiej, upalnej podróży, wyruszyłem natychmiast na powolny spacer, radując się pięknem otaczającej mnie scenerii, całkowicie pochłonięty obserwacją z bliska niezwykłego bogactwa flory i fauny. Dotarłem na skraj położonego głęboko w dżungli urwiska i zatrzymałem się, spoglądając w dół na gęstwinę łososiowych nieśmiertelników rozpinających swój królewski baldachim nad rosnącymi w dolinie drzewami kakaowymi. W oddali, po drugiej stronie plantacji, kotły się na wietrze kępy wysokich, pierzastych bambusów; jeszcze dalej falujące pola trzciny cukrowej, widoczne jak przez mgłę, rozciągały się jak zielony dywan, by na horyzoncie spotkać się z błękitem morza. Z tyłu za mną

latały różnego gatunku papugi i inne kolorowe ptaki, przysiadając na szczytach drzew, szczebiocząc i klóćąc się ze sobą.

Wydawało mi się, że cały wszechświat śpiewa tę samą pieśń, tętni tym samym życiem, będąc przejawem tej samej Istoty. Każdy atom we wszystkim — od najdrobniejszej bakterii do największego słońca i najdalszej gwiazdy — był emanacją z tego samego źródła. Wszystko było częścią tej samej wielkiej i jedynej Rzeczywistości. Stanowiłem jedność ze wszystkim — wszystko było wyrazem Brahmanu. Natura była moim bogiem i moim przyjacielem. Wpadłem w ekstazę radości z tego powszechnego braterstwa wszystkich rzeczy i istot.

Powtarzając „OM namah Shivaya” — nigdy nie wolno zapominać o swoich obowiązkach względem Niszczyciela — obracałem w palcach podobną do skorpiona orchideę, podziwiając jej błądą, delikatną strukturę i niewiarygodną głębię barw, które wydawały się otwierać jak drzwi do innego świata. Zaskoczony jednak złowieszczym szelestem dobiegającym z poszycia gdzieś za mną, pospiesznie się odwróciłem. Ku mojemu przerażeniu ujrzałem wielkiego węża o grubym ciele pełzającego wprost na mnie, koralikowe oczy wpatrywały się intensywnie w moje. Poczulem się jak sparaliżowany i zahipnotyzowany, panicznie pragnąłem uciekać, lecz nie byłem w stanie się poruszyć. Nie miałem zresztą dokąd uciekać, gdyż za moimi plecami ziała przepaść i wąż znajdował się przede mną. Mimo że ten ohydny gad nie miał charakterystycznego dla kobry kaptura, uderzyło mnie jego podobieństwo do wielkiego węża, którego zawsze nosił na szyi Śiwa — ogarnęło mnie to samo uczucie, którego tak często doznawałem w głębokiej medytacji, kiedy przebywałem w dziwnym świecie, siedząc u stóp Śiwy, a towarzysząca mu kobra syczała złowieszczo, wysuwając na mnie swój język. Sytuacja, w której się teraz znajdowałem, wydawała się być pisanym mi spełnieniem tych wizji. Wiedziałem, że tym razem nie ucieknę Niszczycielowi!

Będąc już wystarczająco blisko, by mnie dotknąć, wąż uniósł z trawy swoją szeroką, klinowatą głowę i cofnął ją, gotując się do ataku. W chwili, kiedy tak stałem zmrożony strachem, z przeszłości wyłonił się głos mojej matki, tak, jakby stała przy mnie, powtarzając dawno zapomniane przeze mnie słowa: „Rabi, jeśli kiedyś będziesz w prawdziwym niebezpieczeństwie i nic innego nie będzie mogło ci pomóc, jest jeszcze jeden bóg, do którego możesz się modlić. Jego imię brzmi Jezus”.

— Jezu! Pomóż mi — próbowałem zawołać, lecz rozpaczliwy krzyk załamał się i ledwie dał się słyszeć.

Ku mojemu bezgranicznemu zdziwieniu wąż opuścił swoją głowę na ziemię, odwrócił się niezgrabnie dokoła i z wielką szybkością odpełził w poszycie. Na trzęsących się i niemal załamujących się pode mną nogach obszedłem dużym kołem miejsce, gdzie zniknął wąż i potykając się, wróciłem przez gęstą dżunglę na ścieżkę prowadzącą do domu. Zdyszany i ciągle jeszcze drżący, przepełniony wdzięcznością do tego zadziwiającego boga, Jezusa, lecz obawiając się wspomnieć jego imię, opowiedziałem mojemu zdumionemu kuzynowi Sharmie o tym, jak o włos uniknąłem nieszczęścia.

W myślach wracałem często do nurtującego mnie pytania, kim naprawdę był ten Jezus. Pamiętałem, że słyszałem o nim w piosenkach nadawanych przez radio w czasie Bożego Narodzenia i wiedziałem, że musi on być jednym z chrześcijańskich bogów. Zastanawiałem się jednak, dlaczego nie słyszałem prawie nic o tym Jezusie, kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, prowadzonej przez jakieś tam chrześcijańskie wyznanie. Przynajmniej nie mogłem sobie nic takiego przypomnieć. Być może nie zwracałem na to uwagi. Nie wiem dlaczego, ale jedyną rzeczą, jaką pamiętałem na temat chrześcijaństwa było to, że pierwsi chrześcijanie nazywali się Adam i Ewa oraz to, że ktoś imieniem Kain zabił swojego brata Abła.

Rozmyślałem o tym wydarzeniu przez wiele dni. Jezus był potężnym i zadziwiającym bogiem. Jak szybko odpowiedział na moje wezwanie! Ale czego był on bogiem? Ochrony? Dlaczego moja matka — albo swami w świątyni — nie nauczyli mnie o nim więcej? Zapytałem Gosine'a o Jezusa, lecz nie wiedział on prawie nic i wydawał się być zakłopotany moim pytaniem.

# „I ty nim jesteś!”

W trzecim roku uczęszczania do szkoły średniej przeżywałem coraz głębszy konflikt wewnętrzny. Moja świadomość Boga jako Stworzyciela, oddzielnego i różnego od stworzonego przez niego świata — świadomość, która była częścią nawet mnie, kiedy byłem jeszcze małym -chłopcem, stała w sprzeczności z koncepcją przekazywaną mi przez hinduizm, twierdzącą, że Bóg jest wszystkim i że Stworzyciel oraz stworzenie to jedno i to samo. Czułem się rozdarty tymi dwoma poglądami, które nie dawały się pogodzić. To, czego doświadczałem w medytacji, zgadzało się z wedyjską nauką 0 Brahmanie, lecz moje przeżycia przy innych okazjach sprzeciwiały się temu. W osiągniętym przez Jogę transie odczuwałem jedność z całym wszechświatem; nie różniłem się niczym od pchły, krowy czy odległej gwiazdy. Wszystko było częścią tej samej Istoty. Wszystko było Brahmanem, a Brahman był wszystkim. „I ty nim jesteś!”, mówiły Wedy, stwierdzając, że Brahman był moim prawdziwym Ja — bogiem we mnie, którego czciłem, siedząc przed lustrem.

Po długich godzinach spędzonych w transie stawienie czoła życiu codziennemu wydawało się trudne. Konflikt

I kontrast między tymi dwoma światami był rzeczą nie do rozwiązania. Wyższe stany świadomości, które osiągałem w czasie medytacji prawdopodobnie zbliżały się do rzeczywistości takiej, jaką była. A jednak to codzienny świat radości i smutków, bólu i przyjemności, narodzin i śmierci, obaw i frustracji; pełnych goryczy konfliktów z ciotką Revati i kłopotliwych pytań zadawanych mi przez kolegów z Queen's Royal College, świętych mężów, którzy cuchnęli i przeklinali oraz Brahmacharyów, którzy się zakochiwali — to był świat, z którym musiałem sobie radzić i którego nie śmiałem oddać jako iluzji, chyba że byłem przygotowany na to, by obłąd nazwać prawdziwym oświeceniem. Moja religia tworzyła piękną teorię, miałem jednak poważne trudności, by zastosować ją w życiu codziennym.

Nie była to tylko kwestia pięciu zmysłów przeciwstawionych moim wizjom wewnętrznym. Była to także kwestia rozumu. Prawdziwy konflikt panował między dwoma przeciwnymi sobie wizjami Boga: Czy Bóg był wszystkim, co istnieje, czy też mógł stworzyć skałę lub człowieka tak, by nie były Jego częścią? Jeśli istniała tylko jedna Rzeczywistość, to Brahman był równocześnie złem i dobrem, śmiercią i życiem, nienawiścią i miłością. W

ten sposób wszystko traciło sens, a życie stawało się absurdem. Niełatwo było pozostać przy zdrowych zmysłach i równocześnie zachować pogląd, że dobro i zło, miłość i nienawiść, życie i śmierć były jedną Rzeczywistością. Poza tym, jeśli dobro i zło były tym samym, to każda karma była jednakowa i nic się nie liczyło; dlaczego więc być religijnym? Wydawało się to sprzeczne z rozsądkiem, choć Gosine przypominał mi, że rozsądkowi nie można ufać — był on częścią iluzji.

Jeśli rozum również był maya — tak jak nauczały Wedy — to jak mogłem ufać jakiegokolwiek koncepcji łącznie z ideą, Że wszystko to maya i tylko Brahman był rzeczywisty? Jak mogłem być pewny, że Szczęście, do którego dążyłem, również nie było iluzją, jeżeli nie można było ufać ani mojej percepcji, ani rozumowaniu? Aby zaakceptować naukę mojej religii, musiałem odrzucić to, co podpowiadał mi rozum. A co z innymi religiami? Jeżeli wszystko było Jednością, to wszystkie one były takie same. Wyglądało to na wielbienie pomieszania jako Ostatecznej Rzeczywistości. Byłem zdezorientowany.

Jedyną moją nadzieją była Joga — która, jak obiecywał w Bhagavad-Gita Kriszna — miała rozproszyć wszelką ignorancję przez zdanie sobie sprawy z tego, że byłem nikim innym, jak tylko samym Bogiem. Zdarzały się takie chwile, gdy ta wewnętrzna wizja oślepiła mnie i podniecała — czułem się tak bliski dostrzeżenia własnego Ja, że widziałem się prawie w roli Brahmana — Pana wszechrzeczy. Prawie, lecz nie całkowicie. Wmawiałem sobie, że to prawda i udawałem, że jestem Bogiem; zawsze jednak istniał ten konflikt wewnętrzny — głos ostrzegający przed błędem. Próbowałem zwalczać to jako oznakę pierwotnej ignorancji i czasami zdawało mi się, że jestem na granicy pokonania tej zwodniczej iluzji, tak jak to uczynił mój ojciec. Nigdy jednak nie byłem w stanie całkowicie zlikwidować przepaści oddzielającej mnie wraz z całym stworzeniem od Stworzyciela.

Zacząłem myśleć o Stworzycielu jako o prawdziwym Bogu, w odróżnieniu od licznych bogów hinduskich, co do których byłem pewien, że spotykałem ich w moich transach. Coraz wyraźniej odczuwałem wielką różnicę między strachem wywoływanym przez nich w moim sercu, a instynktownym odczuciem, że prawdziwy Bóg jest dobry i pełen miłości. Wśród hinduskich bogów nie było już ani jednego, któremu mógłbym naprawdę ufać — żaden z nich mnie nie kochał. Czułem coraz większy głód poznania Stworzyciela, nie wiedziałem jednak, jakie mantry dla niego odmawiać; dręczyło mnie także uczucie, że moja pogoń za uświadomieniem sobie własnego Ja nie przybliżała mnie do niego, lecz raczej oddalała. Dręczyło

mnie również to, że pomimo moich prób uświadomienia sobie, że jestem Brahmanem, uczucie spokoju osiągnęte przeze mnie w medytacji nigdy nie przetrwało w tym zwykłym świecie zbyt długo — szczególnie gdy dochodziło do utarczek z ciotką Revati.

— Rabi Maharaj! Gdzie byłeś? — wołała ciotka Revati wyzywającym, kłótliwym tonem, którego tak często ostatnio używała zwracając się do mnie. — Prosiłam cię, byś zamiótł schody! — stała w drzwiach kuchni, a ja wracałem właśnie z pokoju modlitw, gdzie spędziłem dwie godziny na medytacji. Pełne szczęścia poczucie wewnętrznego spokoju, którym cieszyłem się podczas tej krótkiej chwili samotności, zostało zniweczone jej głosem.

Mimo że tego rodzaju praca była nie do pomyślenia dla bramina, odpowiedziałem:

— Zaraz to zrobię — nie krzycz na mnie!

— A w jaki inny sposób mogę zwrócić twoją uwagę? Ciągłe tylko jesteś zatopiony w marzeniach i przebywasz w innym świecie!

— Lepsze to niż przebywanie w twoim świecie! — mruknąłem na tyle głośno, by mogła usłyszeć.

— Pilnuj swego języka!

— A co z twoim? — odciąłem się, tym razem ledwie słyszalnie.

Zamiatając zewnętrzne schody, mówiłem sobie w myślach: „Panie wszechświata, ty jesteś Brahmanem! Wydaje się to takie realne, kiedy medytuję, ale z miotłą w ręku...”

— Hej, Rabi! Idziemy po lunchu na plażę. Chcesz iść z nami? — Mój kuzyn Kriszna, z którym też zbyt dobrze mi się nie układało, był tak przywiązany do swojej matki, szorował stół i krzesła stojące na patio, gdzie przed kilkoma tygodniami karmiłem żebraka. Z miotłą na ramieniu podszedłem leniwie w jego kierunku.

— Może — odpowiedziałem bez entuzjazmu — jeśli Jej Królewska Mość nie każe mi również zamiatać dachu!

— Hej tam! Pilnuj lepiej swojego języka, dobrze! — ciotka Revati zeszła po schodach, by skontrolować moją pracę i po cichu zbliżyła się do mnie od tyłu. — A poza tym wróć lepiej i zamieć schody — nadal jest na nich wszędzie czarny kurz.

— Nic na to nie poradzę, że wiatr nanosi kurz z powrotem! — odpowiedziałem ze złością. Łagodna bryza niosła ze sobą popiół z pobliskiej cukrowni i ponownie nawiewała go na schody, jak tylko zdążyłem zmieść. To nie była moja wina. Dlaczego nie mogła zostawić mnie w spokoju?

— Ty leniu! — wrzasnęła. — Jesteś leniwy zupełnie tak jak twój ojciec!

Jak mój ojciec? Wydałem z siebie bolesny okrzyk, który zaskoczył mnie samego. Nikt nie mógł mówić o nim w taki sposób! Lata tłącej się nienawiści wybuchły we mnie jak wulkan. Zdałem sobie nagle sprawę, że bardzo blisko leżą sztangi, używane niegdyś przez Nanę do ćwiczeń, w odległości zaledwie jednego kroku, na swoim zwykłym miejscu. Oślepiiony wściekłością, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, pochyliłem się... a kiedy się wyprostowałem, trzymałem w ręku za jeden koniec pełną sztangę tak, jakby była kijem do krykieta. Uniósłem to wszystko ponad moje ramię i wycelowałem w głowę ciotki. W chwili, kiedy sztanga zataczała łuk, znajdujący się za mną Krishna wykonał rozpaczliwy skok i złapał za jej drugi koniec. Zupełnie tak, jakby prysło jakieś zaklęcie, zniknęła moja nadludzka siła i sztanga opadła na ziemię ze strasznym łoskotem, rozwalając gruby beton.

Wiecznością wydała mi się chwila, kiedy stałem tak, wpatrując się w poszarzałą twarz ciotki. Jej usta na w pół otwarte zastygły, ułożone do okrzyku, którego nie wydała. Drżałem jak liść na wietrze. Moje oczy zwróciły się ku sztandze wbitej w beton, następnie powędrowały ku oniemiałemu Krishnie, stojącemu za mną, z ciężkim oddechem i strachem w oczach, a potem na powrót ku przerażonej twarzy ciotki. Następną rzeczą, z jakiej zdałem sobie sprawę, było, że wbiegam na górę po schodach głośno łkając.

Dotarwszy do mojego pokoju, zatrasnąłem za sobą drzwi i zamknąłem je na klucz. Upadłem na łóżko i leżałem tam — jak mi się wydawało — godzinami, płacząc cicho i nie będąc w stanie uwierzyć w to, co się stało. Mój świat nagle się skończył. Wiedziałem, że nigdy już nie będę mógł spojrzeć w twarz mojej ciotce! Ani żadnej innej istocie ludzkiej! Nigdy!

Wyznawałem zasadę nieużywania przemocy i głosiłem ją moim młodym hinduskim przyjaciółom tak, jak to czynił Gandhi. Jak najściślej trzymałem się wegetarianizmu, ponieważ nie chciałem odbierać niczemu życia i skwapliwie unikałem nadeptnięcia na mrówkę czy pluskwę. Jakże więc ja mogłem podnieść tę sztangę jak kij tak jakby zupełnie nic nie ważyła i unieść ją nad głową z zamiarem uderzenia mojej ciotki.

Po północy, kiedy wszyscy już spali, a ja powinienem był znajdować się na werandzie, dążąc do osiągnięcia szczęścia przez Jogę, wymknąłem się po cichu z pokoju, przeszedłem przez kuchnię i zszedłem po schodach na patio. Wyszukując po omacku drogę w ciemnościach, dotarłem wzdłuż ściany do sztangi, która leżała tam, gdzie ją upuściłem. Było coś, o czym musiałem się

upewnić. Pochyliwszy się, złapałem sztangę dwoma rękami — tym razem pośrodku — wygiąłem plecy i pociągnąłem ze wszystkich sił. Nie mogłem ruszyć jej z miejsca — ani o cal! Szlochając spazmatycznie, poszedłem w kierunku schodów.

Znalazłem się ponownie w moim pokoju i rzuciłem się znowu na łóżko, płakałem cicho z twarzą ukrytą w poduszce. Skąd wzięła się ta niewiarygodna siła, która sprawiła, że podniosłem tę ciężką sztangę jak piórko? Sama wściekłość, nawet największa, nie mogła być jej źródłem. Czy zawiadnął mną jeden z tych duchów, które spotykałem w czasie medytacji? Cokolwiek podniosło tę sztangę, było złe — nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Ale ja szukałem jedności z Brahmanem. Czy on nie był zarówno złem, jak i dobrem, śmiercią i życiem, skoro był Wszystkim? Czy w końcu tego dowiodłem? Czy to było moje prawdziwe Ja — „i ty nim jesteś!” — ta zła istota o wielkiej mocy, która na chwilę zrzuciła z siebie zewnętrzną otoczkę religii? Nie! Nie mogłem w to uwierzyć! Byłem przerażony tym, co się stało. Jakże jednak mogłem być pewien, że ta zła siła nagle nie zawiadnie mną ponownie — być może następnym razem z bardziej tragicznymi skutkami?

Pytanie to dręczyło mnie. Kim byli ci bogowie, duchy i moce, których zapraszałem do mego wnętrza za pośrednictwem nyasy, Jogi i medytacji? Czy były złe, czy dobre, a może jedno i drugie? A może wszystko należało do maya i szaleństwa z mojej strony były próby przypisania temu jakiegoś sensu? Przez kilka dni pozostawałem w moim pokoju, odrzucając wszelkie wysiłki zmierzające do nakłonienia mnie, bym zjadł lub nawet wypił cokolwiek. A kiedy w końcu spróbowałem stanąć twarzą w twarz ze światem — tym światem iluzji, który miał być nierzeczywisty, a który przysparzał mi tylu kłopotów — nie mogłem spojrzeć mu prosto w oczy. Niewiele się odzywałem. Ciotka Revati i ja unikaliśmy się wzajemnie. Nie było już dla mnie żadnych poleceń dotyczących domowych obowiązków. Moje poranne wizyty u Ma były krótkie i wymuszone.

W końcu jednak — tak jak miałem nadzieję — czas przysłonił ten straszliwy epizod mojego życia i zatarł go w oddali. Ciotka Revati i ja nadal w miarę możliwości unikaliśmy się, jednakże kiedy zaszła potrzeba, byłem w stanie spojrzeć na nią, powiedzieć stosunkowo miłym tonem to, co było konieczne, a ona nie okazywała żadnej trwałej urazy, przynajmniej na zewnątrz. Najbardziej kłopotliwym, permanentnym efektem tego wydarzenia była nowa trudność przekonania samego siebie, że jestem Brahmanem... oraz głęboka, nie do przewyciężenia niepewność, co tak naprawdę

reprezentowali i kim byli Brahman oraz ci liczni bogowie, których czciłem. I kim byłem ja.

W całym dążeniu do uświadomienia sobie własnego Ja odniosłem poważne niepowodzenie.

# Puja guru

— Jest zbyt wielu hipokrytów! Całe to gadanie o uświadomieniu sobie własnego Ja... a oni po prostu stają się coraz bardziej samolubni!

Zawahałem się przed wejściem do pokoju Ma. Zaszokowały mnie gniewne słowa Wuja Deonarine'a, tak nie podobne do niego. Nigdy nie mówił w ten sposób w mojej obecności. Czy chodziło mu o mnie?

— Jest wielu dobrych mędrców. Co powiesz na temat Baby? — odpowiedziała spokojnie Ma.

— Skąd mam wiedzieć, czy on też nie jest hipokrytą? Dla każdego z nich jest to interes — nie robią nic bez zapłaty. Nic! — Gniew w głosie mojego wuja ranił mnie jak nóż. Nigdy nie podejrzewałem, że chowa w sobie tak głęboką urazę. Dlaczego więc poprosił mnie, bym pobłogosławił jego samochód — i upierał się przy zapłacie?

— Tobie płacą za to, że uczysz w szkole. Dlaczego mędracy mieliby pracować za darmo?

— Ale niektórzy mędracy są straszliwie bogaci! Dostają mnóstwo pieniędzy — i to głównie od biednych. Ileż to setek puja się odprawia za powodzenie w totalizatorze, a ilu ludzi w końcu wygrywa? Mędracy wiedzą, że nie wszyscy mogą wygrać, a jednak biorą pieniądze od wszystkich! Gdyby nie robili tego w imię religii, ci hipokryci znaleźliby się w więzieniu za oszustwo!

— A biedni mędracy. Co oni mają robić? — zapytała Ma. — Ludzie proszą ich o odprawienie puja i oni to robią.

— Oczywiście! To ich interes. A kiedy większość ludzi nie wygrywa — zatroszczy się już o to rachunek prawdopodobieństwa — mędracy mówią, że to ich karma — coś, co zrobili źle w swojej ostatniej janma. Jeśli polegasz na puja odprawianych przez Babę, twoja szansa na dostanie się do nieba jest taka sama jak na wygraną w następnym totalizatorze!

— Ciii. Mówisz zbyt głośno. Ktoś może usłyszeć.

— Może powinien usłyszeć to cały świat! — odrzekł spokojniejszym już głosem.

Zaskoczony atakiem wuja skierowanym w samo serce mojej religii, oddaliłem się na palcach. Myślałem, że wuj Deonarine ponownie skłaniał się ku hinduizmowi. Z pewnością nie dał nigdy po sobie poznać, że żywił takie właśnie uczucia. Próbował być zbyt logiczny, a sam ostrzegał mnie przed

tym. Nie można z religii uczynić nauki. Zdecydowałem, że muszę nakłonić go do rozpoczęcia codziennej medytacji. Było to jedyne wyjście. Pan Kriszna miał oczywiście rację. Jeśli faktycznie praktykowało się Jogę, nic innego się nie liczyło.

Tego ranka w drodze do szkoły wuj Deonarine mówił jednak bez przerwy o utopijnych skutkach cudownych zmian, jakie miały nastąpić w Trynidadzie wraz z wprowadzeniem postępowego systemu edukacyjnego. To właśnie było owym oświeceniem, w które wierzył. Nie byłem w stanie skierować rozmowy na Jogę. Wyraźniej niż kiedykolwiek dostrzegłem, że on i ja staliśmy na przeciwnych sobie biegunach. On pragnął z zapałem mierzyć się z problemami świata, który ja uznawałem za maya; problemy takie mogły być — według Wed — rozwiązywane tylko przez negowanie ich istnienia i traktowanie ich jako czystej iluzji. Deonarine entuzjastycznie opowiadał się za kształceniem mas w zachodnich naukach i technologiach jako jedyną drogą osiągnięcia sukcesu po uzyskaniu niepodległości przez Trynidad. Jak mogłem dyskutować z takim człowiekiem na temat wewnętrznego oświecenia, które guru musi osiągnąć w swym wnętrzu, a następnie przekazywać swoim zwolennikom? Wydawało się, że konflikt między światem doświadczanym przeze mnie w głębokiej medytacji a światem, któremu musiałem stawiać czoło przy wszelkich innych okazjach, osiągnął tego ranka niemalże punkt kulminacyjny. W żaden sposób nie mogłem podzielić się moimi wewnętrznymi rozterkami z wujem Deonarine — przynajmniej nie wtedy. Słuchałem więc w ciszy i rozważałem jego słowa.

W szkole, w czasie lekcji, stykając się z chłopcami wielu ras i religii, potrafiłem czasami zapomnieć na chwilę o moim głębokim konflikcie wewnętrznym. Na zewnątrz byłem w szkole szczęśliwy i miałem tam teraz wielu przyjaciół. Nikt mnie już nie dręczył trudnymi pytaniami na temat religii- Jak każdy mieszkaniec Trynidadu uwielbiałem krykieta i piłkę nożną. Z entuzjazmem przyłączałem się do codziennych rozgrywek, mimo że tego rodzaju współzawodnictwo zmuszało mnie do bezpośredniego kontaktu cielesnego z nie-Hindusami — klasą ludzi, która według Wed nie istniała i dlatego była niższą nawet niż Niedotykalni. Nie obywało się oczywiście bez normalnych w takich sytuacjach siniaków i zadrapań, otrzymanywanych z rąk kolegów — wszystko jednak w sportowym duchu. I oto pewnego popołudnia stała się rzecz nieoczekiwana. W samym środku gry w normalną „nogę”, biegnąc po boisku w intensywnej pogoni za piłką, poczułem nagle, że leżę na murawie; zacząłem skręcać się z potwornego bólu przeszywającego moje podbrzusze. Koledzy z klasy i dyżurny nauczyciel zebrali się szybko dokoła.

— Nikt go nie kopnął, dlaczego się przewrócił? Co się stało? — spytał ktoś. Jediną odpowiedzią były moje jęki.

— Przenieście go w cień — powiedział nauczyciel. Pograżony w głębokim bólu poczułem, jak podnoszą mnie czyjeś ręce, a potem wszystko zapadło w czerń.

Jazda samochodem wuja Deonarine'a była mglistą, senną mieszaniną ruchu i bólu. W gabinecie lekarza zatraciłem poczucie czasu i przestały do mnie docierać głosy. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem, były słowa lekarza, gdy mówił, że „jeszcze kilka minut i pękłby wyrostek”. Przebudziłem się wiele godzin później w czystej, białej pościeli na sali szpitalnej, straciwszy kawałek moich wnętrzności. Czułem nadal ból w boku, lecz już powoli ustępował.

- Miałeś szczęście, Rabi! — zawołał z wyraźną ulgą wuj Deonarine, kiedy odwiedził mnie następnego dnia. — Doktor powiedział, że niewiele brakowało.

Trzeciego dnia, kiedy poczułem się znacznie lepiej, pozwolono mi wstać i pójść samodzielnie do łazienki. Gdy w drodze powrotnej do łóżka otwierałem drzwi łazienki, poczułem przeszywający ból rozdzierający prawy bok. Łazienka zaczęła kręcić się szaleńczo dookoła i pogrążyć w ciemności. Próbując utrzymać się w stanie przytomności, zacząłem rozpaczliwie szukać klamki, lecz nie znalazłem jej. Ponownie pojawiło się zamglone wspomnienie małej polanki w dżungli na skraju urwiska oraz słów mojej matki wypowiedzianych przed wieloma laty.

— Jezu, pomóż mi! — zawołałem.

Poczułem, jak jakaś dłoń chwytła mnie za ramię i podtrzymuje mnie, chociaż wiedziałem, że w łazience nie ma nikogo. Ciemność rozproszyła się. Wszystko ponownie wróciło w stan bezruchu. Odzyskałem ostrość wzroku. Zniknął ból, a jego miejsce zajęło przepełniające mnie niezwykle uczucie błogości i siły.

Wróciwszy do łóżka, przez długi czas leżałem nieruchomo, próbując zrozumieć to, co się stało. Trudno było w to uwierzyć, a jednak była to prawda. W sali zapanował dziwny spokój. Zapadłem w głęboki sen. Kiedy się obudziłem, zauważyłem, że na moim stoliku nocnym ktoś pozostawił niewielką chrześcijańską broszurkę — pierwszą, jaką kiedykolwiek widziałem. Napisał ją ktoś o nazwisku Oswald J. Smith (oczywiście nigdy o nim wcześniej nie słyszałem). Mówiła ona o pewnym młodym człowieku, który stał się wyznawcą Chrystusa. Historia ta poruszyła mnie do głębi, lecz mój umysł był zbyt niemożliwie przepełniony hinduizmem, bym mógł ją naprawdę

zrozumieć. Znów szybko zapomniałem o Jezusie. Miałem już zbyt wielu bogów, których musiałem czcić należycie i dodanie jeszcze jednego do tej listy powiększyłoby tylko moje obowiązki. Właściwie często zmagalem się z pytaniem o to, którego boga powinienem czcić najbardziej. Bałem się ich wszystkich, lecz większość mojej uwagi dzieliłem między Siwę i Krisznę.

Każdego wieczoru po powrocie ze szkoły udawałem się do pokoju modlitw — mojego świętego miejsca. Dokładnie o szóstej wieczorem, z ogromną powagą, tak jakbym niemalże tworzył życie, zapalałem święty płomień deya na drugim stopniu w samym środku ołtarza. Zanim jednak zasiadałem na podłodze w pozycji lotosu, by oddać się medytacji i kontemplacji bogów, odprawiałem moje arti. Dzwoniąc trzymanym w lewej ręce niewielkim dzwoneczkiem, na prawej dłoni balansowałem dużą mosiężną tacą ze stojącym na środku, zapalonym deya, otoczonym świeżymi kwiatami. Powtarzając odpowiednią mantrę, wykonywałem tą tacą trzy okręgi wokół każdego bóstwa w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Pewnego wieczoru stało się coś potwornego. Wykonując arti przed Siwą, przypadkowo potrąciłem łokciem Krisznę, zrzucając tego wielkiego boga z ołtarza na podłogę!

Przeżony, szybko podniosłem małą mosiężną figurkę. Głaszcząc ją łagodnie, odkryłem ku mojemu przerażeniu, że upadek spowodował zgięcie się fletu i ramienia Kriszny. Ogarnął mnie strach. Z całej siły przyciskałem Krisznę do serca, czując ogromny żal i pragnąc powiedzieć, że bardzo mi przykro. Pewien byłem jednak, że żadne przeprosiny nie zostaną przyjęte. Wiedziałem, że nie będzie żadnego przebaczenia. Zakazywało tego niewzruszone prawo karmy. Nie miałem odwagi wyobrazić sobie nawet zapłaty, której zażąda się ode mnie w moim następnym życiu — albo nawet już w tym — za popełnienie tak okropnego przestępstwa. Nie wątpiłem, że kara będzie surowa. Ale jeśli ta mała, mosiężna figurka miała w sobie tak wielką moc, to dlaczego tak łatwo spadła? W obliczu oczywistej bezradności tych małych bożków mój paniczny strach przed nimi wydawał się absurdalny.

Pomimo tych pytań bez odpowiedzi i pogłębiającego się konfliktu wewnętrznego, każdą chwilę mojego czuwania (kiedy nie byłem w szkole i nie odrabiałem lekcji — a poświęcałem im zbyt mało czasu) spędzałem na gorliwym wypełnianiu moich obowiązków religijnych. Mogłem mieć tylko nadzieję, że moja nieustająca wierność zostanie dostrzeżona i nagrodzona, chociaż uświadomienie sobie własnego Ja stało się teraz dla mnie bardziej marzeniem niż nadzieją. Na medytacji spędzałem tyle czasu, co zwykle i

nadal doświadczałem w moich transach niebiańskiej muzyki, psychodelicznych kolorów, podróży astralnych oraz spotkań z duchami. Jednakże uczucie, że jestem Brahmanem, Panem wszechświata, wielkim Rozumem ucieleśnionym w wielu formach, które ekscytowało mnie przez długie lata, umykało mi teraz. Moksza wydawała się celem niemożliwym do osiągnięcia w tym życiu. Obawiałem się, że będzie trzeba na to jeszcze wiele reinkarnacji — nie wiedziałem ile. Dlaczego przyszłość musiała być tak niepewna?

Osiągnięcie mojego ojca wydawało się jeszcze bardziej godne podziwu niż zwykle. Musiał rzeczywiście być awata-rem. Ja najwyraźniej nim nie byłem. Byłem zdecydowany zostać wielkim guru i w oczach wielu ludzi już nim byłem. Wiedziałem jednak, że w tym życiu nie osiągnę Nirwany. Mój drugi, alternatywny cel — żeby ucieleśnić się jako krowa — najświętsze ze stworzeń, również został rozbity w drzazgi. Nic nie było pewne. Nikomu jednak nie chciałem zwierzyć się z moich wątpliwości. Na zewnątrz byłem tak pewien mojej religii jak zawsze i szacunek, jakim darzyli mnie Hindusi, nadal wzrastał.

Na koniec mojego trzeciego roku w szkole średniej Ma wraz z ciotką Revati zaprosiła sporą grupę sąsiadów i krewnych na specjalną puja, która miała odbyć się u nas w domu. Przybywający zbliżali się do mnie, by złożyć mi pełne szacunku ukłony i wspomnieć kilka słów o wielkości mojego ojca. Ich komentarze, podsłuchane tu i tam w miarę jak wypełniał się pokój, potwierdzały podziw, który wyczytywałem w taksujących mnie spojrzeniach. Byłem Jogiem, który miał przysporzyć sławy naszemu miastu — guru, który pewnego dnia miał posiadać wielu zwolenników. Rozkoszując się oddawaną mi czcią, zapomniałem o rozdzierających mnie konfliktach wewnętrznych. Chociaż nie miałem jeszcze 15 lat, wiedziałem, że osiągnąłem już wśród Hindusów pozycję, której zazdrościli mi niektórzy mędracy. Świadomość, że nie należę do grona hipokrytów pogardzanych przez wuja Deonarine'a, napełniała mnie błogim poczuciem uczciwości.

Skomplikowaną ceremonię odprawiał nasz Baba, Mędrzec Jankhi Prasad Sharma Maharaj — mój duchowy doradca i źródło największej inspiracji, uznawany za hinduskiego przywódcę duchowego w całym Trynidadzie. Asystowałem mu z wielką dumą. Było to dla mnie znaczącym wydarzeniem.

Poprawiając palcami wielki, pachnący wieniec z kwiatów, wiszący na szyi, stałem po zakończonej ceremonii w pobliżu ołtarza pozdrawiając gości. Jedna z naszych sąsiadek położyła u moich stóp kilka monet, jedna na drugiej, a następnie skłoniła się, by przyjąć moje błogosławieństwo — Shakti

pat, którego pragnął każdy wyznawca ze względu na jego nadprzyrodzone skutki. Wiedziałem, że kobieta ta jest biedną wdową i że zarabia strasznie mało pomimo długich godzin ciężkiej harówki. Podarunki, otrzymane przeze mnie z okazji tylko jednej ceremonii, dalece przewyższyły jej miesięczne zarobki. System składania ofiar braminom został ustanowiony przez bogów, a Wedy mówiły, że przynosi on wielkie korzyści ofiarodawcom; dlaczego więc czułem się tak winny? Słowa wuja Deonarine'a pojawiły się żywo przede mną w całej swojej ostrości: „Dla każdego z nich to interes; nie robią nic bez zapłaty... głównie od biednych!” W zakłopotaniu popatrzyłem na skromną ofiarę złożoną mi przez tę kobietę.

Oczywiście mogłem jej dać wiele w zamian. Kiedy wyciągałem dłoń, by dotknąć jej czoła na znak mojego błogosławieństwa, usłyszałem niespodziewanie głos należący bez wątpienia do kogoś posiadającego nieograniczoną władzę: „Nie jesteś Bogiem, Rabi!” Moja ręka zawisła w powietrzu. „Nie... jesteś... Bogiem!” Słowa te poraziły mnie jak uderzenie noża ścinającego wysoką, zieloną trzcinę cukrową.

Instynkt mówił mi, że słowa te wypowiedział prawdziwy Bóg, Stwórca wszystkiego i to sprawiło, że zacząłem drżeć. Udzielanie błogosławieństwa tej kobiecie byłoby oszustwem, rażącym oszustwem. Cofnąłem dłoń, zdając sobie wyraźnie sprawę z tego, że wiele osób obserwuje mnie i zastanawia się o co chodzi. Czułem, że muszę upaść u świętych stóp prawdziwego Boga i prosić o Jego przebaczenie — jak jednak miałem wytłumaczyć to wszystkim tym ludziom! Odwróciłem się nagle i przepchnąłem się przez tłum, pozostawiając tę biedną kobietę, patrzącą za mną w osłupieniu. Znalazłem się w pokoju, zamknąłem drzwi na klucz, zerwałem drżącymi palcami girlandę kwiatów wiszącą na mojej szyi, cisnąłem ją na ziemię i łkając rzuciłem się na łóżko.

Ma widziała, jak wychodzę i patrzyła na mnie z takim współczuciem i dobrocią, na jakie nie zasłużyłem. Nie rozmawiałem z nią już prawie od miesiąca. W charakterystyczny dla siebie łagodny sposób zganiła mnie raz za sprowokowaną przeze mnie kłótnię z ciotką. Bez wątpienia była to moja wina — bezwstydną manifestacją fałszywej dumy dokonana na oczach całej rodziny. Odrzuciłem wszystkie prośby Ma nakłaniające mnie do przeprosin. Zamiast tego wybiegłem jak szalony z jej pokoju, wykrzykując, że już nigdy się do niej nie odezwę. Ona przysyłała do mojego pokoju kolejno moich kuzynów z owocami i innymi podarunkami, prosząc o pojednanie. Ja jednak odrzucałem każdą ofiarę. To gorzkie wspomnienie dławiło mnie teraz, kiedy leżałem tak, złamany ciężarem napomnienia pochodzącego od prawdziwego

Boga, opanowany wyrzutami sumienia, że ośmielałem się przyjmować cześć należną tylko Jemu. Mój cały świat oparty na dumie sypał się w gruzy.

Chciałem powiedzieć temu Bogu, że żałuję — żałuję tego, jak potraktowałem moją ciotkę i Ma oraz wielu innych ludzi, a najbardziej ze wszystkiego żałuję sposobu, w jaki go obrabowałem, zagarniając dla siebie cześć, na którą tylko On zasługiwał. Nie wiedziałem jednak, jak się do Niego zwracać, a poza tym i tak na pewno nie uzyskałbym przebaczenia. Prawo karmy z pewnością miało mi za to odpłacić. Popelnione przeze mnie przestępstwo uczyni moje następne wcielenie całkowitą klęską. Mogły minąć tysiące reinkarnacji, zanim mógłbym ponownie osiągnąć kastę braminów — nawet miliony. Któż mógł przepowiedzieć tę bolesną drogę, którą będę musiał przebyć, by znów wspiąć się tak wysoko?

Jakkolwiek straszna wydawałaby się moja przyszłość, stawianie czoła terażniejszości było jeszcze bardziej bolesne. Nigdy nie mogłem już przyjmować wyrazów czci od innych istot ludzkich, a tego właśnie oczekiwano ode mnie. Jak mogłem tego uniknąć? I jak mogłem kiedykolwiek znaleźć w sobie tyle odwagi, by przyznać się przed ludźmi, którzy umieścili mnie na piedestale, że byłem złodziejem, kradnącym chwałę przynależną tylko Temu, który jest ponad nami wszystkimi? Wydawało mi się niemożliwym opuścić kiedykolwiek mój pokój i ponownie stanąć twarzą w twarz ze społecznością hinduską. Nie uwierzyliby mi, gdybym próbował im powiedzieć, że żaden człowiek nie jest Bogiem i nie jest godzien, by oddawać mu cześć. I jak mógłbym wyznać im tę całą pożałowania godną prawdę o sobie? Wstyd byłby zbyt wielki! Nie mogłem jednak nadal żyć w kłamstwie. Wydawało się, że jest tylko jedno wyjście — samobójstwo. Wielokrotnie powracałem do tej straszliwej alternatywy, która teraz zdawała się być jedynym rozwiązaniem. Mogłem tylko zgadywać, w jaki sposób wpłynie to na moje następne życie, jednakże jeszcze bardziej bałem się obecnego życia.

Dzień po dniu tkwiłem w męczarniach w moim pokoju bez jedzenia i picia, przemierzając go tam i z powrotem, załamując ręce, padając w wyczerpaniu na łóżko, by złapać trochę niespokojnego snu po to tylko, by znów przemierzać krokami podłogę lub siedzieć z głową w dłoniach na brzegu łóżka. Czasami płakałem, żałując, że się kiedykolwiek narodziłem, poczynając uważać się nad samym sobą. Tyle rzeczy mi się nie udało. Utraciłem miłość i czułą opiekę rodziców. Mój ojciec nigdy się do mnie nie odezwał i umarł, kiedy byłem mały. Matki nie widziałem już od ośmiu lat. Straciłem moich dziadków — wszystkich za wyjątkiem Nanee. I ja byłem

kiedyś dumny z tego, że moja karma jest taka dobra! Dlaczego jednak musiała być tak zła? Niesprawiedliwym było karanie mnie za wcześniejsze wcielenia, skoro nie pamiętałem z żadnego z nich — nawet jednego, jedyne go wydarzenia, mimo że czasami próbowałem sobie coś przypomnieć, a nieraz nawet udawałem, że przypominam sobie.

W ciągu tych długich, samotnych godzin prześledziłem wszystko, co mogłem sobie przypomnieć odnośnie do mojego życia i dziwiłem się mej ślepotcie. W jaki sposób krowa czy wąż — czy nawet ja — którekolwiek z nas mogło być Bogiem? W jaki sposób stworzenie mogło stworzyć samo siebie? W jaki sposób wszystko mogło należeć do tej samej Boskiej Istoty? Było to zaprzeczeniem istotnej różnicy między osobą a rzeczą — różnicy, co do istnienia której byłem przekonany, niezależnie od tego, co mówił Pan Kriszna i Wedy. Jeśli ja byłem z tej samej istoty co trzcina cukrowa, to nie było żadnej różnicy między mną a trzcinałą cukrową — co było absurdem.

Jedność wszystkich rzeczy, której doświadczałem w medytacji, wydawała się teraz niedorzecznością! Oślepiła mnie wyłącznie duma. Tak bardzo chciałem być Panem wszechświata, że z chęcią uwierzyłem w oczywiste kłamstwo. Cóż mogło być gorszego? Była to najpodlejszego rodzaju hipokryzja.

Z każdym dniem moje samopotępienie stawało się coraz głębsze i byłem to ja — ten sam, który kiedyś uważał, że znajduje się o krok od uświadomienia sobie własnego Ja. Myślałem o wszystkich ukradzionych przeze mnie papierosach, o moich kłamstwach, o moim dumnym i egoistycznym życiu i o mieszkającej w moim sercu nienawiści do mojej ciotki i innych ludzi. Zdarzało się, że pragnąłem nawet jej śmierci, a równocześnie głosiłem zasadę nieużywania przemocy. W żaden sposób moje dobre uczynki nie mogły na rzetelnej wadze przeważać złych. Drżałem na myśl o reinkarnacji, przekonany, że moja karma strąci mnie na sam dół jej drabiny. Jakże pragnąłem w jakiś sposób znaleźć prawdziwego Boga i powiedzieć mu o tym, jak głęboki jest mój żal — chociaż jaki miało to sens, skoro karma i tak nie mogła zostać zmieniona? A może okazałby miłosierdzie?

Byłem teraz podróżą astralnych i spotkań z duchami, którymi kiedyś się zachwycałem. Nie znałem jednak żadnej innej drogi poszukiwania Boga jak tylko przez Jogę. Moja religia, zdobyta wiedza, moje doświadczenie w medytacji — wszystko to nauczyło mnie, że tylko patrząc w głąb siebie mogę znaleźć prawdę; spróbowałem więc jeszcze raz. Poszukiwania we wnętrzu okazały się jednak nadaremne. Zamiast znaleźć tam Boga, poruszyłem tylko

gniazdo zła, co powiększyło jedynie świadomość zepsucia przepelniającego moje serce. Nieszczęście stało się tylko jeszcze większe, moje poczucie winy i wstydu było ciężarem niemożliwym do zniesienia.

Postanowiłem, że jeśli szybko nie znajdę Boga, to muszę popełnić samobójstwo, bez względu na to, jak poważne będą konsekwencje tego tchórzliwego postępu w odniesieniu do mojej przyszłości. Nie mogłem już dłużej walczyć z życiem bez Niego.

Byłem się jednak samobójstwa. Moje następne wcielenie mogło równie dobrze być gorsze od obecnego. Przyszłość była dla mnie jedynie niepewnością i ciemnością. W jakiś sposób musiałem przewyciężyć ogarniające mnie szaleństwo.

Piątego dnia wykapałem się, zjadłem nieco śniadania i powróciłem do mojego pokoju nie odzywając się do nikogo. Zostawiłem jednak po raz pierwszy otwarte drzwi. Miałem nadzieję, że rodzina zrozumie ten gest — krok ku pojednaniu, niepewny i słaby, jednakże najlepszy, jaki bez niczyjej pomocy uczynić mogła bardzo dumna i zadufana w sobie istota.

# Karma i łaska

— Rabi, ktoś chciałby się z tobą zobaczyć. — Shanti stała tuż za progiem mojego pokoju. Nie słyszałem, jak weszła.

— Kto to taki?

— Moja koleżanka ze szkoły. Chce z tobą porozmawiać.

W jadalni czekając na mnie siedziała atrakcyjna, młoda dziewczyna w wieku około 18 lat. Zawahałem się w drzwiach i spojrzałem na nią pytająco. Ujrawszy mnie, zerwała się z miejsca, a jej twarz zajaśniała uśmiechem, który wydawał się wychodzić gdzieś z głębi. „Nie wie zbyt dużo o życiu”, pomyślałem, „w przeciwnym razie nie byłaby taka szczęśliwa”.

— Cześć, Rabi, jestem Molly — powiedziała ciepło. — Słyszałam dużo o tobie i chciałam z tobą porozmawiać.

— Tak? A o czym? — zapytałem. — Usiądź — dodałem niecierpliwie i sam zająłem miejsce po drugiej stronie stołu. Czego mogła ode mnie chcieć? Dlaczego Shanti nie siedziała tu razem z nią? Poszła najwidoczniej do kuchni.

Molly roześmiała się życzliwie, widząc zakłopotanie na mojej twarzy.

— Słyszałam o tym, jaki jesteś religijny i chciałam cię spotkać.

Zadawała mi pytania dotyczące mnie samego oraz tego, czy znajdowałem spełnienie w mojej religii. Próbując ukryć wewnętrzną pustkę za parawanem licznych słów na temat mojej wielkiej wiedzy o hinduizmie, kłamałem, opowiadając jej o tym, że jestem szczęśliwy i że moja religia jest prawdą. Słuchała cierpliwie tych pompatycznych i czasami aroganckich wypowiedzi. Nie sprzeciwiając mi się i nie dyskutując, łagodnie obnażała moją pustkę przy pomocy uprzejmie formułowanych pytań. W końcu spytała: — Czy masz w religii jakiś konkretny cel?

— Tak — odpowiedziałem — chcę się zbliżyć do Boga.

— Czy znasz Go?

— Tak! — skłamałem, próbując ukryć mój brak pewności. Wiedziałem, że On istnieje, nie miałem jednak żadnego wizerunku, nie znałem żadnych mantr, które się Mu recytuje i nie znalazłem Go przez Jogę.

— Czy ty również jesteś religijną Hinduską? — zapytałem, chcąc odwrócić uwagę od ewidentnej, wypełniającej mnie pustki. Byłem pewien, że musi bardzo czcić bogów, skoro osiągnęła taki spokój.

— Nie. Kiedyś byłam, ale teraz jestem chrześcijanką.  
— Jesteś czym? — byłem przerażony.  
— Chrześcijanką. Odkryłam, że można poznać Boga i bardzo się do Niego zbliżyć przez Jezusa Chrystusa.

— Ja wierzę, że mogę zbliżyć się do Boga przez moją własną religię! — wykrzyknąłem gwałtownie, wiedząc w głębi mego serca, że było to kłamstwem. W rzeczywistości odkryłem, że każdy krok ku do hinduskim bogom był krokiem oddalającym mnie od prawdziwego Boga, którego szukałem. Nigdy jednak nie przyznałbym się do tego — zwłaszcza chrześcijance! Odpychało mnie nie tyle imię „Jezus Chrystus”, co samo słowo „chrześcijanin” oraz myśl, że ona została jedną z nich. Zjadali oni mojego boga krowę — poza tym większość znanych mi ludzi, którzy nazywali siebie chrześcijanami, żyła w taki sposób, że nie chciałem mieć nic wspólnego z ich religią.

Wstałem z krzesła, chcąc powiedzieć jej, by sobie poszła. Kontynuowanie naszej rozmowy nie miało żadnego sensu. Ona jednak bardzo spokojnym głosem powiedziała coś, co sprawiło, że usiadłem ponownie: — Biblia naucza, że Bóg jest Bogiem miłości. Chciałabym opowiedzieć ci o tym, jak Go poznałam.

Byłem oszołomiony. Nigdy w ciągu tych wszystkich lat, jakie poświęciłem religii hinduskiej, nie słyszałem o Bogu miłości! Słuchałem w zdumieniu, podczas gdy ona kontynuowała:

— Ponieważ On nas kocha, pragnie zbliżyć nas do siebie — te słowa zdumiały mnie ponownie. Będąc Hindusem, chciałem zbliżyć się do Boga, ona jednak mówiła mi, że Bóg w miłości chciał zbliżyć mnie do siebie!

— Biblia uczy również, że grzech jest przeszkodą nie tylko w zbliżeniu się do Boga — mówiła Molly — lecz w ogóle w poznaniu Go. Posłał więc Chrystusa, by umarł On za nasze grzechy. I jeśli otrzymamy Jego przebaczenie, możemy Go poznać.

— Poczekaj chwileczkę! — przerwałem. Czy ona próbowała mnie nawrócić? Czuję, że muszę się jakoś opierać. — Ja wierzę w karmę. Trzeba zebrać to, co się posieje i nikt nie może tego zmienić. Nie wierzę w żadne przebaczenie. To niemożliwe! Co się stało, to się nie odstanie!

— Ale Bóg może zrobić wszystko — odrzekła Molly z ufnością. — Ma sposób na to, by nam przebaczyć. Jezus powiedział: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem: nikt nie przychodzi do Ojca, jak tylko przeze mnie”. Jezus jest tą możliwością. Bóg może nam przebaczyć, ponieważ On umarł za nasze grzechy!

Był to dogmatyzm, którego nie chciałem zaakceptować. Zawsze obstawałem przy tym, że hinduizm jest jedyną drogą, lecz teraz dowodziłem, że Bhagavad-Gita mówi, iż wszystkie drogi prowadzą do tego samego miejsca i że niezależnie od tego, co czyni człowiek (nawet nie praktykujący żadnej religii), karma i reinkarnacja doprowadzą go w końcu do Kriszny. Jednakże czy mniej dogmatyczne było stwierdzenie, że Kriszna jest jedynym celem, od stwierdzenia, że Chrystus był jedyną drogą? I czy Kriszna był rzeczywiście tym, czego szukałem? Nie. W głębi serca wiedziałem, że nie jest on tym prawdziwym Bogiem, którego chciałem poznać. Byłem jednak zbyt dumny, by to przyznać i nadal wypowiadałem się w obronie licznych sprzecznych ze sobą koncepcji właściwych hinduizmowi, próbując zachować twarz. Pomimo jej cierpliwości — a może właśnie z tego powodu — zdenerwowałem się i zacząłem gestykulować gniewnie, podnosząc głos, zdecydowany na to, by nie dać się zwyciężyć tej dziewczynie. Ona jednak była tak spokojna, wydawała się być tak ufna i pewna swojej więzi z Bogiem, że musiałem przynajmniej odkryć jej tajemnicę.

— Co sprawia, że jesteś taka szczęśliwa? — spytałem ją nagle. — Musiałaś bardzo dużo czasu spędzać na medytacji!

— Kiedyś tak — odpowiedziała Molly — ale teraz już nie. Od kiedy przyjąłem do mego życia Jezusa, On odmienił mnie całkowicie. Dał mi pokój i radość, jakich nigdy przedtem nie znałam. — Spojrzała mi prosto w oczy i rzekła: — Rabi, nie wyglądasz na szczęśliwego. Czy to prawda?

Rozejrzałem się szybko dokoła. W kuchni porbrzękiwały naczynia. Zniżyłem głos.

— Nie jestem szczęśliwy. Chciałbym mieć twoją radość.

Czy to ja mówiłem te słowa? Sądziłem, że nie będę mógł podzielić się tą tajemnicą nawet z Ma — i oto zdradzałem ją obcej osobie. A poza tym jak mogła ona mi pomóc? Pragnąłem czegoś więcej niż radości. Musiałem poznać Boga!

— Radość nie jest czymś, co można wytworzyć — powiedziała Molly — jeśli nie ma prawdziwej przyczyny, to nie jest szczerą i nie może trwać. Moja radość wynika z tego, że zostały mi przebaczone grzechy i to odmieniło całe moje życie. Pokój i radość pochodzą od Chrystusa, dzięki prawdziwemu poznaniu Jego osoby.

— Nie mów ciągle o Jezusie! — przerwałem jej niecierpliwie. — On jest po prostu jednym z bogów są ich miliony — i do tego jest bogiem chrześcijańskim. Ja chcę poznać prawdziwego Boga, Stwórcę wszechświata!

— Jest Nim właśnie Jezus. To właśnie dlatego mógł umrzeć za twoje grzechy — tylko Bóg mógł spłacić ten dług.

Była pełna spokoju i wydawało się, że wierzy w to, co mówi. Moja własna postawa była tak odmienna. Nigdy nie odczuwałem w stosunku do bogów hinduskich tej ufnej wiary, jaką ona odczuwała do tego Boga, Jezusa. Mówiła o Nim tak, jak gdyby był jej osobistym przyjacielem, siedzącym tuż obok.

Rozmawialiśmy prawie pół dnia, nie zauważając upływu czasu. Spierałem się i często traciłem panowanie nad sobą, podnosząc głos. W ciągu ostatnich miesięcy w coraz większym stopniu traciłem moje opanowanie. Bez względu na to wszystko ona pozostawała spokojna, niewzruszona i mówiła ciągle z tą zrównoważoną pewnością. W dalszym ciągu ukazywałem jej licznych hinduskich bogów i przedstawiałem filozofię starożytnych proroków; w żaden sposób nie mogłem jednak spierać się z tym, czym ona była. Pragnąłem posiadać jej pokój i radość, lecz nie miałem zamiaru odstąpić od jakiegokolwiek części mojej religii! Ona nic na ten temat nie mówiła, lecz zdawałem sobie sprawę z tego, że gdybym uwierzył, że Jezus jest Bogiem i że umarł za mnie i mógł przebaczyć mi moje grzechy, wtedy wszystkie rzeczy, dla których żyłem jako Hindus, utraciłyby sens.

— Powinnam już iść — powiedziała w końcu i podniosła się z miejsca.

Skoczyłem na równe nogi, zdecydowany powiedzieć jej jasno, że nie udało jej się zmienić moich poglądów. Jej wizyta była obrazą. Ja, bramin, zniżyłem się do rozmowy z grzesznicą, która porzuciła swoją religię — a ona była na tyle zuchwała, że próbowała namówić mnie, Joga, bym został chrześcijaninem!

— Ach, nienawidzę chrześcijan! — oświadczyłem głośno i gniewnie tak, by było to słychać w kuchni. — Nigdy nie zostanę chrześcijaninem — nawet na łożu śmierci! Urodziłem się Hindusem i umrę jako Hindus!

Popatrzyła na mnie ze współczuciem.

— Zanim położysz się dziś spać, Rabi, padnij na kolana i proś Boga, by ukazał ci prawdę — będę się za ciebie modlić! — powiedziała. Pomachała mi ręką i wyszła.

Przez otwarte drzwi widziałem słońce zachodzące nad wodami Zatoki. Wkrótce miało schować się za Punta Penas, na północnym krańcu Wenezueli, po czym szybko zapadła ciemność. Spojrzawszy na moje dłonie, zobaczyłem, że są zaciśnięte w pięści, a paznokcie wbijają się w skórę.

Znalazłem się znów samotnie w moim pokoju i zacząłem przemierzać go tam i z powrotem, czując, że w moim wnętrzu walczą ze sobą dwie armie.

Nigdy nie przeżywałem tak głębokiego konfliktu. Wydawało mi się, że stoję przed wyborem między życiem a śmiercią i że jestem rozdzierany przez siły, ciągnące mnie w obu tych kierunkach. W ciągu całej mojej rozmowy z Molly rosło we mnie przekonanie, że ten prawdziwy Bóg musi być święty i czysty. W jaki sposób mógł mieć cokolwiek wspólnego ze mną? O, jak dobrze poznałem ciemność panującą w moim sercu. W końcu przyznałem przed samym sobą, aczkolwiek niechętnie, że żadne moje święte kąpiele, puja i Joga nigdy tego nie będą mogły zmienić.

Czy nie byłoby cudowne, pomyślałem, gdyby to, co powiedziała Molly o Jezusie umierającym za moje grzechy, było prawdą — gdybym mógł uzyskać przebaczenie i zostać oczyszczony po to, bym mógł osiągnąć łączność z tym świętym Bogiem! Chciałem w to wierzyć — lecz Jezus był Bogiem chrześcijańskim, a ja nigdy nie zostałem chrześcijaninem. Gdyby tak się stało, nigdy już nie mógłbym spojrzeć w twarz mojej rodziny. Nie mogłem też stanąć twarzą w twarz z życiem, jeśli pozostałbym nie zmieniony. Walczyłem o uświadomienie sobie własnego Ja, patrząc w głąb siebie i usiłując dostrzec, że jestem bogiem. Dostrzegłem tylko, jak beznadziejnie byłem zagubiony.

„Mówią wiele o uświadomieniu sobie własnego Ja... a stają się tylko coraz bardziej samolubni!” Słowa wuja Deonarine'a powróciły, by mnie prześladować. Powiedział on straszną prawdę! Nic dziwnego, że Ajah rozczarował się hinduizmem; doprowadziło go to do zniszczenia samego siebie przy pomocy alkoholu. Nigdy nie chciałem w to uwierzyć, lecz w końcu zrozumiałem. Tylko strach przed tym, co jest po śmierci, powstrzymywał mnie przed samobójstwem.

Molly obstawała przy tym, że Bóg mnie kocha i że ona doświadczyła Jego miłości. Zazdrościłem jej tego — lecz nienawidziłem jej za to, że jest chrześcijanką. Duma domagała się, bym odrzucił wszystko, co mówiła, byłem jednak zbyt zdesperowany, by w dalszym ciągu dbać o zachowanie twarzy. Upadłem na kolana obok łóżka, świadomy tego, że spełniam prośbę Molly. Może właśnie w tej chwili modliła się za mnie?

— Boże, prawdziwy Boże i Stwórco, proszę, ukaż mi prawdę! Proszę Cię, Boże! — Nie było mi łatwo wypowiedzieć te słowa, lecz była to moja ostatnia nadzieja.

W moim wnętrzu coś pękło, tak jak wysoki bambus złamany wichurą. Po raz pierwszy w życiu czułem, że naprawdę się modliłem i że przedostałem się nie do jakiejś bezosobowej Siły, lecz do prawdziwego Boga, który jest pełen miłości i troski.

Za bardzo zmęczony, by jeszcze o czymś myśleć, wczółgałem się do łóżka i prawie natychmiast zasnąłem. Moją ostatnią świadomą myślą było głębokie przekonanie, że Bóg usłyszał moją modlitwę i że odpowie na nią.

# Oświecenie!

— Hej, Rabi! — zawołał Krishna, wchodząc do kuchni, gdzie rozmawiałem właśnie z jedną z moich młodszych ciotek, przygotowującą kolację. Jego zachowanie i wyraz twarzy były tak odmienne od tych, do których się przyzwyczaiłem. Wyglądał na zadowolonego z tego, że mnie odnalazł.

— Czy wiedziałeś, że musisz się narodzić na nowo, aby dostać się do nieba? — zapytał.

Chciałem odpowiedzieć: „Oczywiście. Narodzę się na nowo jako krowa. To jest moje niebo!”, lecz szczerłość na twarzy Krishny sprawiła, że zaniechałem mojego sarkazmu.

— Dlaczego tak mówisz? — spytałem sceptycznie. Zauważyłem, że trzyma w dłoni małą, czarną książkę i przewraca jej strony tak, jakby czegoś szukał.

— Tak jest powiedziane w Biblii. Pokażę ci. — W dalszym ciągu powoli przewracał kartki jak ktoś, kto bada nieznaną teren. — Marek, Łukasz, Jan. O! Tutaj, w rozdziale 3. Posłuchaj tego! „Odpowiadając Jezus rzekł mu: Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie może ujrzyć Królestwa Bożego”. Co o tym myślisz?

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czy to mógł być ten sam Jezus, o którym przed laty mówiła mi matka, ten sam, o którym Molly mówiła, że jest prawdziwym Bogiem, który umarł za moje grzechy? To musiał być On!

— Pokaż mi to! — powiedziałem, czując podniecenie.

Krishna wyciągnął książeczkę w moim kierunku, żebym mógł sam to przeczytać; w miarę jak czytałem, zrozumiałem w końcu to, co usiłowałem pojąć od trzech tygodni, od czasu rozmowy z Molly. Mój świat rozpadał się w gruzy, lecz teraz wszystko wydawało się powracać na swoje miejsce. Narodzić się na nowo! Tak, tego właśnie potrzebowałem. Wiedziałem dokładnie, o co chodziło Jezusowi. Nie mówił On o reinkarnacji, lecz o narodzinach duchowych, które uczyniłyby z Nikodema nowego człowieka w jego wnętrzu, zamiast po prostu dać mu nowe ciało.

Byłem teraz naprawdę podekscytowany. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zrozumiałem? Jaki pożytek mogło przynieść tysiąc fizycznych narodzin? Reinkarnacja mogła dać mi nowe ciało, ale nie tego było mi trzeba. Nie mogłem sobie wyobrazić lepszego fizycznego narodzenia niż moje obecne.

Urodziłem się w najwyższej kaście, w bogatej rodzinie, jako syn Joga, otrzymałem wszelkie korzyści płynące z wykształcenia i praktykowania religii, a jednak nie udało mi się. Głupotą byłoby sądzić, że będę coraz lepszy, przychodząc na ten świat w coraz to innych wcieleniach!

Pod koniec każdego roku, tak jak wszyscy, czyniłem moje noworoczne postanowienia. Za każdym razem na samym szczycie mojej listy było postanowienie o rzuceniu palenia. Mój kaszel był coraz gorszy, mimo to nie mogłem przestać. Każdy styczeń zaczynałem ze świeżym postanowieniem uczynienia nadchodzącego roku lepszym od poprzedniego. Jednakże nie minął jeszcze drugi styczeń, a ja wracałem już do starych nawyków. W niewiele dni później wybuchał na nowo mój nieopanowany temperament — często tuż po spędzeniu godziny czy dwóch na poszukiwaniu pokoju w medytacji. Coś złego działo się ze mną i nie mogła tego odmienić zmiana mego obecnego wcielenia.

Jakkolwiek wspaniale byłoby rzeczywiście uzyskać przebaczenie od Boga, zacząłem tęsknić za czymś więcej niż tylko przebaczenie. Od chwili, gdy poprosiłem Boga o ukazanie mi prawdy, zacząłem stopniowo widzieć siebie w nowym świetle. Cały świat zawsze obracał się wokół mnie. Oczekiwałem, że wszyscy dostosują swój sposób życia do moich pragnień i że będą traktować mnie jak boga. Byłem zepsutym tyranem, ale z pewnością nie byłem Bogiem! I nigdy nie miałem Nim być. Przyznanie się do tego było dla mnie ulgą. Nie chciałem już być Bogiem. Nie chciałem jednak pozostać takim, jakim obecnie się widziałem. Pragnąłem stać się nowym człowiekiem. Jeśli Chrystus nie mógł mnie całkowicie odmienić, to nie zależało mi na Jego przebaczeniu.

W przeszłości szukałem w mistycznych przeżyciach ucieczki od życia codziennego, które w filozofii hinduskiej nazywało się maya — iluzja. Teraz pragnąłem mieć siłę, by stawić czoło życiu, przeżyć to, co Bóg zaplanował dla mnie. Chciałem doświadczyć głębokiej zmiany mojej istoty, a nie osiągnąć powierzchowny tylko spokój, który odczuwałem podczas medytacji, a który opuszczał mnie w chwilach gniewu. Musiałem narodzić się na nowo — duchowo, a nie fizycznie.

Tego wieczoru rozmowa przy stole skupiała się wokół listu, który przyszedł właśnie od wuja Lari z Montrealu w Kanadzie. Lari studiował tam filozofię, otrzymawszy stypendium na Uniwersytecie McGilla. Otrzymał najwyższą na całej wyspie ocenę podczas egzaminów Uniwersytetu Cambridge przeprowadzanych w szkołach średnich. Wszyscy byliśmy z niego dumni i pragnęliśmy usłyszeć o jego postępach. Następnie rozmowa

zeszła na temat przyszłości Krishny, którego wuj Deonarine namawiał, by poszedł w ślady Lariego. Być może mógłby otrzymać stypendium na uniwersytecie w Londynie. Byłem zbyt zajęty moimi własnymi myślami, by uczestniczyć w rodzinnej rozmowie przy stole. Było coś, co musiałem im powiedzieć i próbowałem właśnie znaleźć właściwe słowa. Za niecały tydzień miałem obchodzić moje piętnaste urodziny. Cóż za stosowny dzień, by narodzić się na nowo!

Wszyscy powstali, by odejść od stołu, a ja ciągle jeszcze usilnie szukałem słów. Deonarine i Krishna mieli właśnie przenieść Ma do salonu. Musiałem powiedzieć im teraz, lecz bałem się. Cóż, nie musieli przecież wiedzieć wszystkiego — jeszcze nie.

— Ma!

— Tak, Rabi? — Jej twarz pełna była oczekiwania. Czy miałem zamiar przyjąć jej prośby o pojednanie? Czy ustępowałem? Nie wiedziała, jak bardzo tego chciałem.

— Nie chcę, by w jakikolwiek sposób obchodzono moje urodziny.

— Rabi! — zaprotestowała Shanti. — Chyba nie mówisz poważnie!

— Dlaczego, Rabi? — spytała łagodnie Ma. — Wiesz, że wszyscy co roku niecierpliwie oczekujemy twoich urodzin. — Jej oczy promieniowały miłością i współczuciem. Bez wątpienia sądziła, że moja prośba wynikała z istniejących między nami problemów.

— To nic z tych rzeczy, które masz na myśli — powiedziałem. — Po prostu chcę, aby w tym roku było inaczej. — Był to koniec rozmowy. Moje słowo było prawem w kwestiach religijnych i obrzędowych.

Jakże wolno mijało tych kilka dni, lecz w końcu nadeszły moje urodziny. Nie zbliżyłem się nawet do pokoju modlitw, choć oczekiwano ode mnie, że spędzę tam większość dnia. Rodzina musiała się nad tym zastanawiać, lecz ja bałem się wyjaśnić przyczynę. Miałem zamiar zaprosić Jezusa do mojego życia i narodzić się na nowo. Jakże wspaniała rzecz na moje urodziny!

Jednakże pomimo mojego postanowienia brakowało mi odwagi na jego spełnienie. Co by pomyślała moja matka, gdybym został chrześcijaninem? A co z mędrkami, którzy zachęcali mnie i uczyli, i Hindusami, którzy czcili mnie i składali mi ofiary, wierząc, że poprowadzę ich do wyższego szczebla reinkarnacji? Jak mogłem zdradzić ich wszystkich? Co powiedziałby Gosine — i ci wszyscy sąsiedzi, którzy widzieli we mnie przykład dla swoich dzieci? W momencie, kiedy poproszę Chrystusa, by był moim Panem i Zbawicielem, stracę wszystko: moją bramińską kastę, moją pozycję młodego Joga, błogosławieństwo hinduskich bogów, życzliwość mojej rodziny. Stanę się

automatycznie wyrzutkiem społeczności hinduskiej — niższym od najniższych. A co się stanie, jeśli Jezus nie będzie rzeczywiście mógł przebaczyć mi grzechów i odmienić mego życia? Przypuśćmy, że przez Niego nie będę mógł naprawdę poznać Boga? Jak mogłem ryzykować tak wiele, nie będąc pewnym?

Tak oto nadeszły i minęły moje urodziny — dzień, w którym planowałem narodzić się na nowo — a ja nadal bałem się otworzyć moje serce przed Jezusem. Zapadając tego wieczoru w sen, czułem się gorzej niż kiedykolwiek.

# Śmierć Guru

— Namahste, namahste, Jogu Rabindra Maharaj!

Uniosłem wzrok znad książki, którą czytałem — Bertranda Russela. Dlaczego nie jestem chrześcijaninem — by ujrzeć wysoką, szczupłą sylwetkę Bhaju Radhay'a Govindy, kłaniającego się w moim kierunku i wchodzącego na tylne schody. Cieszyłem się, że ta część werandy, na której siedziałem, była dla niego dostępna tylko po przejściu przez cały dom. Kiedy już wejdzie do środka, zostanie bez wątpienia wciągnięty w rozmowę przez Ma i ciotkę Revati i nigdy do mnie nie dotrze. Będąc starym przyjacielem rodziny mieszkał w pobliskim Kali Bay, był u nas częstym gościem i uwielbiał rozmawiać ze mną na temat hinduizmu; a ja nie miałem teraz na to ochoty. Z długimi, siwymi włosami i brodą, odziany w szafranowe dhoti, starzec ten był wyobrażeniem klasycznego hinduskiego świętego męża. Rolę tę odgrywał doskonale, używając odpowiednich gestów, chociaż poza tym był naprawdę gorliwym Hindusem. Złożywszy dłonie, odkloniłem mu się i pozdrowiłem słowem namahste, obserwując z uśmiechem, jak wspina się na schody, mocno stukając w każdy stopień imponujących rozmiarów laską, którą nosił raczej dla efektu niż z potrzeby. Jak zwykle, Govinda, znikając w drzwiach domu, wysokim głosem wypowiedział pozdrowienia w języku hindi.

Dlaczego nie jestem chrześcijaninem rozczarowało mnie. Wypożyczyłem tę książkę ze szkolnej biblioteki, mając nadzieję, że pomoże mi pozostać Hindusem. Argumenty Russela były jednak słabe i wydumane i im więcej czytałem o tym, dlaczego nie zostałem chrześcijaninem, tym bardziej byłem przekonany, że ja muszę nim zostać — było to oczywiste. Odłożyłem książkę i spojrziałem na niebo, usiane z rzadka białymi chmurami. Dając odpocząć moim oczom, zamyśliłem się głęboko. Jak długo jeszcze mogłem bronić się przed przyjęciem Chrystusa, skoro wiedziałem, że jest On rzeczywiście prawdziwym Bogiem, Zbawicielem, który umarł za moje grzechy? Byłem przygnębiony, powstrzymywał mnie strach przed utraceniem pozycji w hinduskiej społeczności oraz życzliwości mojej rodziny. Czy jednak prawda i mój związek z Bogiem nie były ważniejsze? Tak, ale jednak nadal się bałem.

Na werandę wszedł mój kuzyn Krishna.

— Aa, tu jesteś, Rabi. Szukałem cię. Dziś wieczorem odbywa się w Roueva spotkanie, na które powinieneś pójść. — Wydawał się być bardzo podekscytowany.

— Czego dotyczy?

— To kameralne spotkanie chrześcijańskie. Będą objaśniać Biblię.

Krishna wydawał się ostatnio jakiś inny — taki radosny i łatwy we współżyciu. A teraz zapraszał mnie na spotkanie chrześcijańskie. Czy podejrzewał, co działo się w moim wnętrzu? Jakże pragnąłem pójść! Jeśli jednak zobaczą mnie tam nieodpowiedni ludzie i zaczną się rozchodzić pogłoski?

— Co ty na to, Rabi? Byłoby naprawdę miło, gdybyś mógł przyjść. Wychodzę z domu o wpół do siódmej.

— Czemu nie? — powiedziałem, zaskakując samego siebie. — Tak, czemu nie?

Kiedy szliśmy do Roueva, przyłączył się do nas Ramkair, nowy znajomy Krishny. Widywałem go czasami w mieście, a on najwyraźniej sporo o mnie wiedział.

— Czy wiesz coś na temat tego spotkania? — spytałem go, chcąc uzyskać jakieś dodatkowe informacje.

— Troszkę — odpowiedział. — Zostałem chrześcijaninem dopiero niedawno.

— Chrześcijaninem? — nie wierzyłem własnym uszom. — Powiedz mi — ożywiłem się — czy Jezus naprawdę odmienił twoje życie?

Ramkair uśmiechnął się szeroko.

— Pewnie, że tak! Wszystko jest teraz inne.

— Czy znasz Boga? — spytałem.

— Tak, od kiedy zaprosiłem Jezusa do mego serca.

— To rzeczywiście prawda, Rab! — dodał entuzjastycznie Krishna. — Ja też zostałem chrześcijaninem, właśnie przed kilkoma dniami. — Po raz pierwszy w życiu nazwał mnie Rab, tak jak mówili do mnie moi najbliżsi przyjaciele.

— Tak myślałem! — zawołałem. Ku mojemu zdziwieniu zauważyłem, że cieszę się razem z nim. Nagle moje szczęście zamieniło się w panikę. Cóż to się działo z Hindusami w ostatnich czasach? Molly, Ramkair, a teraz Krishna! Nigdy w życiu nie słyszałem o czymś takim! Czy ja miałem być następny?

Po godzinnym marszu dotarliśmy na skraj Couva i skręciliśmy w krótką, wąską uliczkę w biednej dzielnicy. Asfalt z Trynidadu, ze słynnego jeziora

Pitch Lake, był używany do utwardzania ulic prawie w każdym większym kraju na świecie. Tutaj jednak od wielu lat nie dotarła nawet odrobina asfaltu. Marne resztki nawierzchni pełne były pęknięć i dziur, porośniętych trawą. Przy ulicy stały tylko trzy budynki i uwagę moją przyciągnął natychmiast najędźniejszy z nich wszystkich. Była to zrujnowana hala, wymagająca na gwałt remontu, otoczona wysokimi chwastami. Surowe ściany, zwieńczone dziurawym dachem z falistej blachy, nie wyglądały na to, by kiedykolwiek były malowane. Deski były szare i pociemniałe ze starości. Ledwie widoczny, wyblakły napis głosił: HEART AND HAND HALL, jak echo z lepszych dni. Żadnego znaku, wskazującego na to, że odbywa się tam spotkanie. Nie było to jednak konieczne. Przez otwarte okna dobywał się głośny śpiew, nieco fałszywy lecz pełen energii, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że to był cel naszej wędrówki.

Wchodząc z wahaniem na kilka wyszczerbionych betonowych stopni, z trudem opanowałem moje podniecenie. Po wejściu do środka nie mogłem uwierzyć moim własnym oczom. Było tam nie więcej niż dwanaście osób, a „orkiestra”, którą słyszałem, kiedy się zbliżyliśmy, okazała się małą dziewczynką w wieku około sześciu lat (która — jak się później dowiedziałem — była córką pastora) stojącą na środku i uderzającą w tani tamburyn. Tak niewielu ludzi — lecz jaki entuzjazm! Nigdy nie słyszałem takiego śpiewu. Tuż za drzwiami zawahaliśmy się. W oczy rzuciła mi się zakurzona podłoga, wielkie pajęczyny zwisające z krokwi, nietoperze śpiące tu i ówdzie grupkami pod otwartym dachem, nie malowane ściany z kilkoma starymi i nieczytelnymi ogłoszeniami. O tej niewielkiej grupce chrześcijan można było powiedzieć wszystko z wyjątkiem tego, że była imponująca: kilku starych Hindusów i czarnych oraz kilkoro nastolatków i dzieci.

Mimo że nikogo nie rozpoznałem, byłem pewien, że wszyscy natychmiast rozpoznają mnie. Obawiałem się tego, co się stanie, kiedy opowiedzą swoim hinduskim sąsiadom, że przyszedłem na spotkanie chrześcijańskie. W tak małym towarzystwie nie sposób było nie zwrócić na siebie uwagi. Zdobywszy się na odwagę, ruszyłem do przodu wąskim przejściem między zakurzonymi, pustymi ławkami z drewna. Krishna i Ramkair postępowali tuż za mną. Kątem oka widziałem odwracające się głowy z wyrazem zdziwienia na twarzach. Ludzie tręcali się nawzajem łokciami, lecz ja szedłem dalej aż do pierwszej ławki. Z wielkim entuzjazmem wszyscy śpiewali raz za razem krótki refren:

Aż na Golgotę poszedł dla mnie,  
Poszedł dla mnie, poszedł dla mnie.

Aż na Golgotę poszedł dla mnie,  
Umarł, by uwolnić mnie.  
Chociaż miałem tak wiele grzechów,  
Jezus zmasał je wszystkie i wybaczył mi.  
Aż na Golgotę poszedł dla mnie,  
Umarł, by uwolnić mnie.

Była to pierwsza chrześcijańska piosenka, na jaką kiedykolwiek zwróciłem uwagę. Golgota była najwidoczniej miejscem, gdzie Jezus umarł za grzechy świata i za moje grzechy również. A więc to miejsce istnieje naprawdę! — pomyślałem. I tyle uczucia w ich śpiewie... bardzo muszą kochać Jezusa za to, że za nich umarł!

Dziewczynka uśmiechnęła się do nas nieśmiało, nadal grając na tamburynie. Niewielkie zgromadzenie powtarzało refren raz za razem. Ze zdziwieniem zauważyłem, że nasza trójka przyłączyła się do chóru, porwana ogólnym entuzjazmem. Śpiewanie w czasie hinduskich obrzędów nie było niczym niezwykłym, lecz nigdy nie czyniono tego z taką radością i energią, jaką mieli ci chrześcijanie.

Mała dyrygentka podniosła swój tamburyn. Nastąpiła krótka przerwa; po chwili ponownie uderzyła w instrument ręką i rozpoczął się nowy refren. Słowa powtarzane były wielokrotnie i za chwilę ponownie przyłączyłem się do reszty. Trudno było nie poddawać się ogólnemu entuzjazmowi, jeśli piosenka ta mówiła prawdę!

Wspaniały, wspaniały jest dla mnie Jezus!

Doradca, potężny Bóg, Księżę Pokoju.

Zbawia mnie, zachowuje od grzechu i hańby.

Wspaniały jest mój Odkupiciel — chwała Jego Imieniu!

Nikt nie zaczął jeszcze nic mówić, a już dowiedziałem się tak wiele. Co za kontrast między stosunkiem łączącym tych chrześcijan z Jezusem a rytualnym obłaskawianiem bogów w czasie hinduskich obrzędów! Nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek powiedział, że jakiś hinduski bóg jest „wspaniały” lub że jest jego „doradcą”. Z pewnością nikt nie mógł śpiewać tak o Śiwie, o Kali — jego łaknącej krwi małżonce lub o ich ukochanym synu, Ganeszy, pół-słoniu i pół-człowieku! A oni nazywali Jezusa Księciem Pokoju! Nic dziwnego, że Molly powiedziała, iż nie potrzebuje już Jogi, by osiągnąć pokój. Słowa tego prostego refrenu wypalały swoje piętno na moim sercu. Jezus nie tylko mógł mnie zbawić, lecz również zachować od grzechu i hańby. Cóż za wspaniała nowina! Ci ludzie musieli się przekonać o jej prawdziwości; inaczej nie śpiewaliby z taką werwą i radością.

W czasie, gdy śpiewaliśmy kilka następnych piosenek, przyszło jeszcze parę osób, powiększając grupę do około piętnastu. W końcu dziewczynka usiadła, a na środek wyszedł młody człowiek, którego nie zauważyłem wchodząc.

— Witamy wszystkich zebranych tu tego wieczoru na naszym spotkaniu ewangelicznym — powiedział z uśmiechem. — Odszukajcie proszę na swoich kartkach hymn numer dziesięć.— Był to ostatni hymn na tej kartce.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Pamiętałem tego człowieka jako jednego z najgorszych chuliganów z czasów szkoły podstawowej — w dodatku był muzułmaninem — darzyłem go wtedy wielką antypatią. Jakże inny wydawał się teraz! A hymn, który kazał nam śpiewać, zdumiał mnie, zwłaszcza refren:

Słońce, słońce, dzisiaj w mojej duszy;

Słońce, słońce, cały czas.

Od kiedy znalazł mnie Zbawiciel, zmaszał moje grzechy,

Mam w sobie słońce Jego miłości.

Jakże ogromne wrażenie wywarły na mnie te proste słowa! Codziennie przez godzinę czcząc słońce na niebie, zachowywałem wewnątrz pełne ciemności i chłodu. Ci ludzie śpiewali jednak o słońcu w ich duszach. I było to słońce miłości! Z trudnością mogłem opanować moje wzruszenie i podniecenie. Słońce Jego miłości w sobie. Cóż, ja nie miałem żadnej miłości, o której mógłbym śpiewać. Nienawidziłem wielu ludzi, nawet pomimo mojej gorliwości religijnej. Wiedziałem, że wielu hinduskich świętych mężów żywi w swoim sercu niemało wzajemnej nienawiści i złości. Wiele było zazdrości wśród mędrców, którzy często nie znosili się ogromnie. Bez wątpienia Hindusi nienawidzili muzułmanów i zabili ich w Indiach setki tysięcy przed i po uzyskaniu niepodległości. Ci chrześcijanie śpiewali jednak o tym, że miłość Jezusa jest w nich — miłość tak czysta, jasna i prawdziwa — nie żadna idea — że opisywali ją jako słońce w swoich duszach. Ja również chciałem mieć w duszy tę miłość!

Po odśpiewaniu kilku jeszcze hymnów wyszedł na środek kaznodzieja, Abdul Hamid, a wśród zgromadzonych przewędrowała taca na ofiary. Położyłem na nią pensa i słyszałem, jak jeszcze kilka monet spada na podawaną sobie przez obecnych tacę. Jakie to żałosne — pomyślałem — w porównaniu z wielkimi ofiarami otrzymywanymi przeze mnie w czasie puja. Kaznodzieja będzie oburzony!

Jakże się myliłem! Kiedy tych kilka monet zostało zaniesionych do przodu, Abdul Hamid zamknął oczy i zaczął się modlić: „Dziękujemy Ci,

Ojcze Niebieski, z całego serca za to dobrodziejstwo, które z wdzięcznością od Ciebie przyjmujemy. Pomóż nam wykorzystać je pobożnie i roztropnie w Twojej służbie i ku Twej chwale, przez Jezusa Chrystusa. Amen".

Prawie się roześmiałem na myśl o wykorzystaniu tych paru monet „pobożnie i roztropnie”. Który z mędrców pomyślałby kiedykolwiek o wykorzystaniu ofiar zebranych w czasie puja lub jakichkolwiek innych dochodów ku chwale Hanumana lub innego boga? Zrobiliby z nimi, co by mu się żywnie podobało. Z jaką chciwością i egoizmem ja sam wykorzystywałem ofiary składane u moich stóp! Ramkair powiedział szeptem do mnie i do Krishny, że ten kaznodzieja, mający żonę i troje dzieci, porzucił dobrze płatną posadę nauczyciela, by zostać nie opłacanym pastorem. Nie mieściło mi się to w głowie.

Kazanie, oparte na Psalmie 23, było bardzo proste, lecz równocześnie bardzo głębokie. Zostało wygłoszone z wielkim przekonaniem i mocą duchową, z jakimi nigdy przedtem się nie spotkałem. Każde słowo zdawało się odnosić szczególnie do mnie. Zastanawiałem się, skąd ten człowiek zna moje wewnętrzne rozterki, dręczące mnie pytania, moje myśli i przeżywane przeze mnie głębokie konflikty. Na pewno nie wiedział wcześniej, że przyjdę!

„Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie”. Na te słowa poruszyło się coś we mnie. Miałem wewnętrzną pewność, że woła mnie prawdziwy Bóg i Pasterz, pragnąc uczynić mnie jedną ze swych owiec. Jednakże inny głos walczył i sprzeciwiał się temu, co mówił kaznodzieja. Ostrzegał mnie, że utracę wszystko i przypominał mi o pozycji i honorach, które mogłem zdobyć jako wielki mędrzec, tak jak Jankhi Prasad Sharma Maharaj. Serce mojej matki pękłoby z rozpacz! Jakże mogłem plamić dobre imię mojego ojca? Kłóciły się we mnie te dwa głosy, lecz głos przyciągający mnie do Dobrego Pasterza przemawiał z miłością, podczas gdy ten drugi był szorstki, pełen przebiegłości i gróźb. Bez wątpienia Pasterz opisany przez psalmistę był tym Bogiem, którego szukałem! Nawet gdybym stracił wszystko inne, jakie to miało znaczenie? Jeśli pozwolę, by Stwórca został moim Pasterzem, to czego mogę jeszcze chcieć? Jeśli był dość potężny, by stworzyć cały wszechświat, to z pewnością mógł zatroszczyć się i o mnie.

„Wiedzie mnie ścieżkami sprawiedliwości ze względu na imię swoje”. Jakże winny się czułem i jakże czcze były wszelkie moje wysiłki zmierzające do moralnego oczyszczenia! Po tysiącach świętych kąpeli ciągle jeszcze byłem we wnętrzu grzesznikiem. Ten Bóg obiecywał jednak poprowadzić mnie ku sprawiedliwości nie po to, bym mógł szczycić się moją czystością

albo żeby polepszyć moją karmę w celu umożliwienia mi lepszej reinkarnacji; On chciał przebaczyć wszystko, abym mógł do niego należeć, chociaż na to nie zasługiwałem, a potem chciał pomóc mi przeżyć to życie, które dla mnie zaplanował. Miała to być Jego sprawiedliwość, dana mi w podarunku, jeśli zechcę ją przyjąć. Powoli zaczynałem wierzyć w cud łaski Bożej, tak niepodobnej do wszystkiego, o czym wcześniej słyszałem.

„Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, boś Ty ze mną”. Pomimo archaicznego języka słowa te były wystarczająco jasne. Miałem być uwolniony od obaw towarzyszących mi przez całe moje życie — obawy przed duchami nawiedzającymi moją rodzinę, przed złymi siłami wywierającymi wpływ na moje życie, obawy przed tym, co uczyni Śiwa i inni bogowie, jeśli nie będę ciągle ich obłaskawiał. Jeśli ten Bóg miał być moim Pasterzem, nie musiałem obawiać się niczego, ponieważ On będzie ze mną, chroniąc mnie i dając mi swój pokój.

„Dobroć i łaska towarzyszyć mi będą przez wszystkie dni życia mego. I zamieszkać w domu Pana przez długie dni”. Kaznodzieja powiedział, że chodziło tu o przebywanie w niebie w obecności Boga. Cóż, było to daleko lepsze niż uświadomienie sobie własnego Ja!

Na koniec rzekł: Pan Jezus Chrystus chce być twoim Pasterzem. Czy słyszysz Jego głos, przemawiający do twego serca? Po swoim zmartwychwstaniu Jezus powiedział: „Oto stoję u drzwi i kołaczę” — to drzwi twojego serca — „jeśli kto usłyszy mój głos i otworzy drzwi, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał...” Dlaczego nie otworzysz przed nim swojego serca teraz? Nie czekaj do jutra — może być już za późno! — Wydawało się, że kaznodzieja zwraca się bezpośrednio do mnie. Nie mogłem już dłużej zwlekać!

Rozstrzygając toczącą się we mnie walkę, podniosłem się z ławki i wyszedłem szybko do przodu, by uklęknąć na środku. Pastor uśmiechnął się do mnie i zapytał, czy jeszcze ktoś pragnie przyjąć Jezusa. Nikt się nie poruszył. Wtedy poprosił zebranych chrześcijan, by podeszli i modlili się ze mną. Niektórzy z nich uczynili to, klękawszy obok mnie. Od wielu lat kłaniali mi się Hindusi — lecz teraz ja kłaniałem się przed Chrystusem!

— Nie przychodzisz do mnie — powiedział pastor — lecz do Jezusa. Tylko on może ci przebaczyć, oczyścić cię, odmienić twoje życie i doprowadzić cię do szczerzej społeczności z żywym Bogiem. — Rozumiałem to bez jakichkolwiek wyjaśnień. Klęczałem tam po to, by pokazać mi, w jaki sposób przyjąć tego Jezusa, o którym mówił.

Powtórzyłem za nim głośno modlitwę zapraszającą Jezusa do mojego serca — z wyjątkiem słów „i uczyni mnie chrześcijaninem”. Pragnąłem Jezusa, ale nie tego. Nie rozumiałem jeszcze, że zaproszenie Jezusa do mojego serca uczyniło mnie chrześcijaninem i że nikt nie może zostać prawdziwym chrześcijaninem w jakikolwiek inny sposób.

Kiedy pan Hamid wypowiedział słowo „Amen”, zaproponował, że mogę pomodlić się moimi własnymi słowami. Powoli, jękając się z emocji, zacząłem: „Panie Jezu, nigdy nie studiowałem Biblii i nie wiem, o czym ona mówi; słyszałem jednak, że umarłeś za moje grzechy na Kalwarii, abym mógł uzyskać przebaczenie i pojednać się z Bogiem. Dziękuję Ci za to, że umarłeś za moje grzechy, że przyszedłeś do mojego serca i że mi przebaczyłeś! Pragnę być nowym i odmienionym człowiekiem!”

Ze łzami wyrażałem skruchę za moje wcześniejsze życie: za gniew, nienawiść, egoizm i dumę, za bożków, którym służyłem, za przyjmowanie czci, która się należała tylko prawdziwemu Bogu i za wyobrażanie sobie, że mógł być krową, gwiazdą lub człowiekiem. Modliłem się przez kilka minut — i zanim skończyłem, wiedziałem, że Jezus nie jest po prostu jednym z wielu milionów bogów. Był On w rzeczywistości Bogiem, którego pragnąłem. Spotkałem Jezusa przez wiarę i odkryłem, że to właśnie On jest Stwórcą. Mimo to kochał mnie na tyle, że stał się dla mnie człowiekiem i umarł za moje grzechy. Kiedy to sobie uświadomiłem, wydało mi się, że spadają ze mnie okowy ciemności i jasne światło zalewa moją duszę. „Słońce Jego miłości” zaświeciło również i w moim sercu!

Podróże astralne ku innym planetom, nieziemskie muzyka i psychodeliczne kolory, wizje przeżywane przez Jogę i wyższe stany świadomości osiągnięte w głębokiej medytacji — wszystkie te rzeczy, kiedyś tak podniecające i stymulujące, obróciły się w proch. To, co przeżywałem teraz, nie było po prostu kolejną podróżą mojego umysłu. Byłem tego pewien. Molly powiedziała, że Jezus da o sobie znać. Nareszcie wiedziałem, co miała na myśli. Przybył on, by żyć we mnie i wiedziałem, że zmasał moje grzechy. Wiedziałem, że uczynił ze mnie nowego wewnątrz człowieka. Nigdy przedtem nie byłem tak autentycznie szczęśliwy. Łzy skruchy stały się łzami radości. Po raz pierwszy w życiu przekonałem się, czym jest prawdziwy pokój. Opuściło mnie dręczące uczucie nieszczęścia i niedoli. Byłem w łączności z Bogiem i zdawałem sobie z tego sprawę. Byłem teraz jednym z dzieci Bożych. Narodziłem się na nowo.

Nasze małe zgromadzenie zaczęło śpiewać: „Tak, jakim jest — nic nie mam, nic prócz tego, że mnie głos Twój zwie. Że krew Twa łała się za mnie;

— Baranku Boży, idę już!". Pozostałem w pozycji klęczącej, słuchając każdego słowa, przepełniony wdzięcznością do Boga za Jego przebaczenie, zdumiony tym, że piosenka wyrażała dokładnie moje uczucia. Jej autor musiał przeżyć identyczne uwolnienie od winy. Dzięki słowu „Baranek” zrozumiałem natychmiast, że Jezus jest łagodny, dobry i pełen miłości. Przypomniałem sobie, co na temat miłości Jezusa mówiła Molly. Ta właśnie miłość przepełniała teraz moją duszę.

Zniknęła gdzieś cała duma z faktu, że jestem braminem. Ukłonienie na zakurzonej podłodze w obecności tych wszystkich chrześcijan wymagało od wysoko urodzonego Hindusa pokory. Był to jednak zaledwie początek mojej drogi ku zrozumieniu, że naprawdę nic nie znaczą wobec wielkości mojego Boga. Odkryłem, że pokora nie jest poniżająca i że nie wywołuje we mnie nienawiści czy pogardy dla samego siebie. Było to po prostu uznanie prawdy o tym, że jestem całkowicie zależny od mojego Stwórcy we wszystkim. Wyznanie to otworzyło przede mną drzwi do całkowicie nowego życia w Jezusie.

Ze łzami radości w oczach i szczęśliwymi uśmiechami na twarzach skupili się wokół mnie wszyscy zgromadzeni, by serdecznie uścisnąć moją dłoń i powitać mnie w rodzinie Bożej. Nigdy wcześniej nie przeżyłem takiej radości i miłości innych ludzi ani takiego poczucia wspólnoty — nawet w stosunku do mojej własnej rodziny. A jakaż była moja radość, kiedy podeszła do mnie promieniejąca szczęściem Shanti, by również mnie powitać! Przyszła ona w jakiś czas po naszym wejściu i nie wiedziałem, że tam jest.

— Rab! — powiedziała ciepło. — Jestem taka szczęśliwa, że przyjąłeś Jezusa do swego życia! Jest to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś! — Zawsze byliśmy bliskimi przyjaciółmi, lecz teraz wyczuwałem pomiędzy nami jakąś nową relację. Ona również należała do rodziny Bożej!

Kiedy wracaliśmy do domu, wydawało mi się, że wysoka trzcina rosnąca ciasno po obu stronach drogi, z liśćmi lśniącymi w bladym świetle księżyca niemalże tańczy w wiejącej od morza bryzie. I gwiazdy! Nie pamiętałem, by kiedykolwiek były tak jasne! Zawsze kochałem przyrodę, lecz teraz wydawała mi się dziesięć razy piękniejsza niż kiedyś. Wówczas czciłem ciała niebieskie, lecz teraz widziałem je w innym świetle. Zostały one stworzone przez tego Boga, którego właśnie poznałem i upajałem się tym, podziwiając moc, artyzm i mądrość Stwórcy. Chciałem po prostu czcić Go nieustannie i mówić Mu, jak wdzięczny jestem za samo życie. Nie żałowałem już teraz, że przyszedłem na świat. Byłem szczęśliwy, że żyję — żyję na zawsze! Cała nasza trójka była bardzo rozradowana. Maszerowaliśmy, śpiewając piosenki,

których nauczyliśmy się tego wieczoru i dyskutując na temat chrześcijańskiej terminologii i wersetów biblijnych, które były dla mnie taką nowością.

Kiedy wraz z Krishna dotarliśmy w końcu do domu, zastaliśmy całą rodzinę — z wyjątkiem Deonarine'a i jego żony — zgromadzoną w salonie w oczekiwaniu na nas. Najwidoczniej dowiedzieli się już o tym, co się stało od Shanti, która przyjechała wcześniej samochodem. Jeszcze niedawno bałem się, że ktoś mnie zobaczy na tym spotkaniu, lecz teraz, kiedy Jezus przyszedł do mego serca, opuścił mnie cały strach. Nie mogłem zatrzymywać tak dobrej nowiny tylko dla siebie. Chciałem, żeby wszyscy poznali mojego Pana.

— Poprosiłem dziś wieczorem Jezusa, by zagościł w moim życiu! — zawołałem radośnie, patrząc kolejno w zdziwione twarze zebranych. — To jest wspaniałe. Nie potrafię wam powiedzieć, jak wiele On już dla mnie znaczy. Wiem, że uczynił mnie nowym człowiekiem.

— Nie mogłam w to uwierzyć, Rabi, lecz teraz usłyszałam to od ciebie — powiedziała ciotka Revati zdławionym głosem. — Co powie na to twoja matka? Przeżyje szok.— Wyszła nagle z pokoju, nie okazując jednak gniewu, którego się spodziewałem. Wydawała się natomiast zraniona i oszołomiona.

Żałowałem bardzo, że ciotka Revati nie dała mi szansy, bym jej wszystko wyjaśnił. Kochałem ją nową miłością i chciałem, by wiedziała, jaki pokój odnalazłem. A Ma — jak ona zareaguje? Spojrzałem na nią i ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem, że jest rozpromieniona.

— Zrobiłeś najlepszą możliwą rzecz, Rabi! — zawołała radośnie. — Ja również chcę pójść za Jezusem!

Podbiegłem do Ma i objąłem ją ramionami.

— Przepraszam za moje zachowanie — proszę, wybac mi! — Skinęła głową, nie mogąc wymówić ani słowa.

Shanti nie mogła już dłużej zachować swojej tajemnicy.

— Ja też oddałam moje serce Jezusowi, przed kilkoma dniami! — oznajmiła nam, ocierając łzy radości.

Siedzieliśmy jeszcze długo razem, rozmawiając w podnieceniu i dzieląc się ze sobą tą nową miłością, którą żywiliśmy wzajemnie do siebie w Chrystusie. Ma opowiedziała mi o tym, jak Shanti przed kilkoma dniami wymknęła się na tamto spotkanie w Roueva i o tym, jak po powrocie przy wchodzeniu do domu przez okno złapała ją ciotka Revati. Wuj Deonarine nieźle jej wtedy wytrząpał skórę. Ja z kolei opowiedziałem Ma o kazaniu, a ona stwierdziła, że Psalm 23 był jej ulubionym Psalmem i że przeczytała ich

wiele jeszcze zanim Nana zniszczył jej Biblię. W końcu, aczkolwiek niechętnie, powiedzieliśmy sobie dobranoc.

Zanim położyłem się spać, zniszczyłem moje ukryte zapasy papierosów. Nie miałem już na nie żadnej ochoty. Następnego dnia, wykorzystując pierwszą nadarzającą się okazję, przeprosiłem ciotkę Revati za sposób, w jaki ją często traktowałem. Nie wiedziała, jak na to zareagować. To nie był ten Rabi, którego znała od tylu lat. Widziałem niepewność w jej oczach i było mi jej żal. Wyglądała na nieszczęśliwą. Jakże dobrze rozumiałem walkę toczącą się w jej sercu.

Wuj Deonarine był właśnie na podwórzu i polerował swój samochód — ten sam, który kiedyś błogosławiłem — i tam go spotkałem. Niełatwo było stanąć przed nim i powiedzieć otwarcie, że jestem chrześcijaninem. Podszedłem do niego z wahaniem i powiedziałem:

— Wuju Deonarine, przyjąłem do mojego życia Ducha Świętego.

Wyprostował się i spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowało się zdziwienie pomieszane ze zdecydowaną dezaprobatą.

— Twój ojciec był wielkim Hindusem, a twoja matka jest wielką Hinduską — powiedział surowo. — Byłaby bardzo niezadowolona z tego, że zostałeś chrześcijaninem. Lepiej przemyśl dwa razy swoje postępowanie! Być może popełniasz bardzo poważny błąd!

— Rozumiem o co ci chodzi — odrzekłem — lecz rozważyłem już dokładnie wszystkie konsekwencje.

Krishna mógł rozmawiać ze swoją matką tak szczerze jak nikt z nas i udało mu się odkryć, że od lat była rozczarowana odprawianiem religijnych obrzędów, lecz bała się pokazać to po sobie. Dał jej więc adres pewnego zboru w dużym mieście, na tyle odległym, że mogła się tam udać bez obawy przed rozpoznaniem. W następną niedzielę ciotka Revati pojechała tam sama, aczkolwiek wahała się przed podjęciem tej decyzji. Kiedy powróciła późnym wieczorem, czekali na nią ci z nas, którzy byli już chrześcijanami, wierząc, że nasze modlitwy zostaną wysłuchane. Nikt nie musiał pytać, co się stało — jej wyraz twarzy mówił sam za siebie.

Ciotka i Ma objęły się, po czym długo płakały. Potem ciotka Revati wyprostowała się, otarła oczy i spojrzała na mnie.

— Rabi! — Objęliśmy się w długim uścisku. Po policzkach spływały nam łzy, a panująca dotychczas między nami nienawiść i gorycz zniknęły raz na zawsze.

Następnego dnia wraz z Krishna wszedłem zdecydowanie do pokoju modlitw. Zaczęliśmy razem wynosić wszystko na podwórze: falliczny

symbol Śiwy oraz pozostałych bożków z drewna, gliny i mosiądzu, których nazywaliśmy bogami, hinduskie pisma — całe tomy, owinięte w swoje święte kawałki materiału, wszelkiego rodzaju przedmioty religijne używane w czasie obrzędów. Dopóki ciotka Revati jeszcze nie była chrześcijanką, nie czułem się w prawie, by to uczynić. Obecnie wszystkich nas jednocześnie wspólne pragnienie zerwania wszelkich więzów z przeszłością oraz z siłami ciemności, które przez tak długi czas zaślepiły nas i zniewalały. Przyłączyli się do nas inni i razem wynieśliśmy wielki ołtarz. Kiedy pokój modlitw był całkowicie opróżniony, wymietliśmy go do czysta. Sprawdzając uważnie cały dom, wyszukaliśmy wszystkie pisane zaklęcia, amulety, fetysze, religijne obrazki i inne przedmioty kultu i wyrzuciliśmy to wszystko na śmietnik znajdujący się na tyłach ogrodu. Wuj Deonarine, poinformowany przez swoją żonę, stał z boku zaszokowany tym, co robimy, zachowując jednak dumę bramina. Wszyscy inni zgadzali się co do słuszności naszego postępowania. W sumie trzynaścioro z nas otworzyło swoje serca przed Chrystusem wiedząc, że nasze grzechy zostały przebaczone — dziesięścioro mieszkających w naszym domu oraz troje innych kuzynów.

Radując się naszym wyzwoleniem od krępującego nas niegdyś strachu, Krishna i ja rozbiliśmy posążki i obrazki bożków, łącznie z tym, które przedstawiały Śiwę. Kilka dni wcześniej nie śmiałybym nawet pomyśleć o tym, bojąc się, że Niszczyciel natychmiast pozbawi mnie życia. Żelazny ścisk strachu krępujący mnie od tak dawna został jednak złamany mocą Jezusa. Nikt nie mówił nam, co mamy robić. Nasze oczy otworzyły się za sprawą Pana. Wiedzieliśmy, że nie ma żadnego kompromisu, żadnej możliwości łączenia hinduizmu z prawdziwym chrześcijaństwem. Te dwie rzeczy były diametralnie różne i przeciwne sobie. Jedna była ciemnością, druga światłem. Jedna reprezentowała wiele różnych dróg wiodących do tego samego zniszczenia; druga była, tak jak powiedział Jezus, wąską drogą do życia wiecznego.

Kiedy wszystko znalazło się już na śmietniku, podpaliliśmy ułożony stos i przyglądaliśmy się, jak płomienie pożerają naszą przeszłość. Małe figurki, których kiedyś obawialiśmy się, widząc w nich bogów, szybko zamieniły się w popiół. Złe moce nie mogły nas już dłużej terroryzować. Radowaliśmy się tym wszyscy i składaliśmy dzięki Synowi Bożemu, który umarł, by nas uwolnić. Kiedy tak wspólnie śpiewaliśmy, modliliśmy się i chwaliliśmy Boga, widzieliśmy na swoich twarzach odbicie nowej wolności i radości. Co za niezapomniany dzień!

Zgarniając dogasający żar i pragnąc ujrzeć prochy mojej przeszłości, zdałem sobie nagle sprawę, że moje myśli cofają się do kremacji ojca, która miała miejsce prawie osiem lat wcześniej. W przeciwieństwie do naszej, dopiero odkrytej, radości, tamta scena przywoływała wspomnienie płaczu i przepełniającego mnie nie ukojonego żalu, kiedy ciało mojego ojca było ofiarowywane tym samym fałszywym bogom, którzy teraz leżeli przede mną pod postacią tłących się popiołów. Pomyślałem o tych wszystkich latach, które dzieliły mnie od tamtego dnia i o moim postanowieniu, że będę taki sam jak mój ojciec. Niewiarygodną rzeczą było, że z wielką radością uczestniczę w całkowitym zniszczeniu tego, co reprezentowało wszystko, w co kiedyś tak fanatycznie wierzyłem. Dotychczasowy sens mojego życia pożerany był teraz przez płomień — a ja chwaliłem za to Boga!

W pewnym sensie ceremonia ta była spaleniem mnie samego — końcem tego człowieka, którym niegdyś byłem... śmiercią guru. W ciągu tych paru dni, które minęły od mojego duchowego odrodzenia, zacząłem rozumieć, co naprawdę oznaczało dla mnie „narodzenie się na nowo” — przez śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa — była to śmierć mojego starego ja i zmartwychwstanie nowego człowieka.

Dawny Rabi Maharaj umarł w Chrystusie. A z jego grobu powstał nowy Rabi, w którym żył obecnie Chrystus.

W jakże cudowny sposób odmienne od reinkarnacji było to zmartwychwstanie! Tabliczka została wytarta do czysta i z niecierpliwością oczekiwałem na dalszy ciąg nowego życia, które rozpocząłem w Jezusie, moim Panu.

# Nowy początek

Cóż za przeobrażenia zaszły w naszej rodzinie! Zamiast kłótni i goryczy panowała teraz harmonia i radość. Zmiany, jakie nastąpiły za sprawą Chrystusa, były tak wielkie, że codziennie wprawiały w zdumienie każdego z nas. Nienawiść, istniejąca od lat między mną a moją ciotką, wydawała się teraz koszmarem, z którego oboje się przebudziliśmy. Religia, którą kiedyś tak gorliwie praktykowaliśmy, w rzeczywistości zwiększała tylko nasz antagonizm — pewnego razu w czasie rodzinnej puja ciotka Revati rzuciła we mnie mosiężną czarą napełnioną święconą wodą. Chrystus jednak odmienił nas oboje i teraz darzyliśmy się wzajemnie ogromną miłością. Znowu stała się dla mnie jak matka, jednak w inny, nowy sposób, a jej syn Krishna, którego też kiedyś nienawidziłem, był mi bliższy niż brat. Bo też byliśmy w rzeczywistości braćmi w Chrystusie. Przeszłość minęła bezpowrotnie, zniszczona tak totalnie, jak bożki spalone w śmietniku na popiół.

Zmiany te były wynikiem łaski Bożej. Nam jako Hindusom obca była koncepcja przebaczenia, ponieważ w karmie ono nie istnieje i dlatego nie mogliśmy wybaczać sobie nawzajem. Skoro jednak Bóg przebaczył nam przez Chrystusa, my mogliśmy teraz wybaczyć sobie. Dowiedzieliśmy się, że Chrystus nauczał, iż ci, którzy z serca nie wybaczą innym ludziom, nie otrzymają przebaczenia od Ojca. On jednak umieścił w naszych sercach ducha przebaczącej miłości i czułem, że nigdy nie będę w stanie żywić do kogokolwiek urazy. Słowa, których kiedyś nie potrafiliśmy szczerze wypowiadać: „przepraszam” i „wybaczam ci” można było teraz usłyszeć w naszym domu zawsze wtedy, gdy były potrzebne i dlatego radość w naszych sercach mogła stawać się coraz większa.

Największym cudem było to, że zaczęło sprawiać mi radość pomaganie w domu! Cała młodzież zabierała się ochoczo do pracy — wrywaliśmy chwasty, podlewaliśmy rośliny, uprawialiśmy kwietniki i grabiliśmy liście. Obserwowane zdziwionym wzrokiem sąsiadów nasze podwórze nabrało nowego wyglądu. Zachodzące przemiany nie mogły ujść niczyjej uwadze.

Zaszła jeszcze jedna zmiana, która nie była widoczna z zewnątrz, a która znaczyła dla nas więcej niż cokolwiek. Dręczące nas kroki, które przypisywaliśmy duchowi Nany, nie rozlegały się już nocami na strychu i pod drzwiami naszych sypialni, a ten szczególnie odrażający zapach, który

często towarzyszył takim zjawiskom i którego źródła nigdy nie mogliśmy zlokalizować, zniknął bezpowrotnie. Żadne niewidzialne siły nie poruszały już przedmiotów, by zrzucić je ze zlewu, stołu czy szafki rozbijając o podłogę. Zrozumieliśmy w końcu, że przyczyną tych wszystkich rzeczy nie był, — tak jak sądziliśmy wcześniej — duch Nany, lecz niedostrzegalne istoty nazywane w Biblii „demonami” — anioły, które zbuntowały się wraz z Szatanem przeciwko Bogu i usiłowały zwieść ludzi, by przyłączyli się do ich buntu. To one właśnie były mocą kryjącą się za bożkami i każdą filozofią, która odmawiała prawdziwemu Bogu należnego mu jako Stwórcy i Panu miejsca. Rozumiałem teraz, że to właśnie te istoty spotykałem w transach osiąganym przez praktykowanie Jogi i głęboką medytację. Maskowały się one pod postacią Śiwy lub jakiegoś innego hinduskiego bóstwa.

Kiedy czytałem Nowy Testament, kawałki łamigłówek — kim jestem, dlaczego istnieję i jakie jest moje przeznaczenie ukształtowane przez Boga — zaczęły układać się w jedną całość i wyłoniła się z nich logiczna odpowiedź na wiele pytań. Klęcząc, prosiłem Boga, by odkrył przede mną znaczenie Pisma; potem czytałem powoli każdy wers, trawiąc go i ufając, że Duch Święty da mi zrozumienie jego znaczenia. Każdego dnia spędzałem długie godziny na modlitwie i czytaniu Słowa Bożego — godziny, które kiedyś poświęcałem na czczenie słońca, krowy i bezradnych bożków na ołtarzu, na praktykowanie Jogi i medytacji. W taki właśnie uważny sposób wielokrotnie przeczytałem Nowy Testament. Czytałem również Stary Testament, odkrywając, że Biblia nie jest zbiorem mistycznych, niejasnych i wewnętrznie sprzecznych „antycznych mądrości” czy mitów o zmyślonych bogach, takich jak Rama czy Kriszna, którzy —jeśli kiedykolwiek istnieli — byli zwykłymi ludźmi, którym boskość została przypisana. Natomiast wręcz przeciwnie, Biblia jest dziełem historycznym — potwierdzały to dosłownie tony niezbitych dowodów zgromadzonych w wielkich muzeach na całym świecie. Opowiadała ona o prawdziwych ludziach, takich jak Abraham, Daniel, Piotr i Paweł, którym dane było poznać Boga oraz o prawdziwych narodach zamieszkujących Palestynę, Egipt, Grecję i Rzym. Dostrzegłem, że Bóg, Stwórca, ma swoje plany w stosunku do wszystkich ludzi. Jest On Bogiem historii i w dalszym ciągu zaznacza swoje działanie w życiu poszczególnych ludzi i w dziejach narodów. Biblia objawiała także to, co Bóg miał jeszcze uczynić doprowadzając historię do jej punktu szczytowego — zacząłem więc odbierać współczesne wydarzenia w nowym świetle, szczególnie spełnienie proctwa uwidaczniające się na Bliskim Wschodzie.

Nasza rodzina przeżywała wspaniałe chwile, dzieląc się ze sobą tym wszystkim, czego dowiadywaliśmy się ze Słowa Bożego.

Ma czytała Biblię z prostą, dziecięcą wiarą. Jeśli ta Święta Księga, natchniona przez Boga, czyniła jej jakąś obietnicę, Ma wierzyła w jej spełnienie i postępowała zgodnie z jej nakazami. Było to dla niej takie proste i oczywiste. Jezus uzdrawiał chorych, Ma nie widziała więc żadnego powodu, dla którego nie miałby uzdrowić i jej. „Jesteś dla mnie tak prawdziwy, Panie!”, mawiała do Niego. „Dawno temu czyniłeś te wspaniałe cuda, i żyjesz w dalszym ciągu. Chciałabym znów chodzić. Dziękuję Ci, Panie”. Była przekonana, że Jezus ją uzdrowi.

Stopniowo cud zaczął się spełniać. Codziennie widzieliśmy u niej pewną poprawę. Nabierała sił, zaczynała trochę wstawać, a potem stawiać niepewne kroki, trzymając się mebli. Po kilku tygodniach chodziła już po kuchni, pomagając w przygotowywaniu posiłków, a wkrótce potem mogła już wchodzić i schodzić po schodach oraz spacerować po podwórzu, by bliżej przyrzeć się ptakom i kwiatom, które kiedyś podziwiała ze swojego okna.

— Chwalmy Pana! — wykrzykiwała od czasu do czasu. — To, czego nie mogli uczynić najlepsi lekarze i najlepiej opłacani hinduscy uzdrowiacze, uczynił Jezus, który żyje w dalszym ciągu!

Przed uzdrowieniem Ma nie mogła w ogóle klęczeć. Wydawało się, że w ciągu długich lat zaniknęły jej rzepki kolanowe, lecz obecnie w cudowny sposób zostały jej przywrócone. Zaczęła więc spędzać przynajmniej pięć godzin dziennie na modlitwie, odmawianej na klęczkach. Widocznie miała do spełnienia specjalną posługę wstawiennictwa — modliła się za pozostałych członków rodziny, za naszych sąsiadów i krewnych, aby mogli poznać Chrystusa i doświadczyć łączności z żywym Bogiem. Mimo że miała już ponad 70 lat, wstawała około 6 rano, a o 11 nadal jeszcze klęczała modląc się nieprzerwanie, nie jedząc nawet śniadania. Kiedy w końcu wychodziła ze swego pokoju, jej twarz promieniała i wszyscy wiedzieli, że spędziła ten czas z Jezusem.

Szybko rozprzestrzeniły się pogłoski po całym mieście i poza nim. Początkowo niewielu ludzi dawało wiarę temu, że rzeczywiście zostaliśmy chrześcijanami. Łatwiej było wyobrazić sobie, że wszyscy zwariowaliśmy. Ludzie zdążali do nas nieprzerwanym strumieniem, chcąc osobiście sprawdzić krążące plotki. Niektórzy gorąco usiłowali przekonać nas o błędzie. Inni wydawali się zbyt zaszokowani, by o błędzie cokolwiek mówić, po tym, jak z naszych własnych ust usłyszeli tę samą historię, więc odchodzili w stanie osłupienia. Jednakże zdziwienie i szok szybko przemieniły się w czynną

nienawiść i wrogość. Ludzie, którzy kiedyś mi się kłaniali i zwracali się do mnie z czcią, teraz na mój widok obrzucali mnie szyderstwami i najgorszymi wyzwiskami. Byli oburzeni tym, że zniszczyliśmy naszych bożków. Próbowaliśmy łagodnie tłumaczyć im, że ci fałszywi bogowie nie są w stanie nam pomóc; opowiadaliśmy o prawdziwym Bogu, który przyszedł jako człowiek, by umrzeć za nasze grzechy. Początkowo sąsiedzi i krewni zdecydowanie odmawiali zaakceptowania przebaczenia, które Bóg daje przez Chrystusa. Dobrze rozumiałem ich uczucia. Nic nie mogło ich przekonać, dopóki tradycja znaczyła dla nich więcej niż prawda.

Dzięki dochodzeniom Molly dowiedzieliśmy się, że i w naszym mieście spotyka się niewielka grupa chrześcijan. W następną niedzielę, przepełniony radością, spacerem przebyłem krótki dystans dzielący mnie od miejsca ich spotkań. Mała ta grupka zbierała się pod wzniesionym na palach budynkiem. Powstałe w ten sposób niewysokie schronienie zabezpieczało przed palącym słońcem i nagłymi opadami deszczu.

— Hej, chodźcie wszyscy i zobaczcie Jezusa Chrystusa we własnej osobie! Spójrzcie, właśnie przechodzi — zawołała kobieta z sąsiedztwa, kiedy przechodziłem obok.

— Nie jestem Jezusem Chrystusem — odpowiedziałem z uśmiechem — jestem jednak szczęśliwy, że mogę być jednym z Jego wyznawców.

Niewielka społeczność spotykająca się pod wspomnianym budynkiem składała się z garstki chrześcijan: kilku hinduskich rodzin wywodzących się z niższych kast oraz paru czarnych, z którymi nigdy bym się nie zadawał, będąc wyznawcą hinduizmu. Zgotowali nam oni jednak niezwykle gorące przyjęcie! Jakże dziwne się to wydawało — a zarazem jakże wspaniałe — kiedy obejmowałem i ściskałem się z tymi, którymi kiedyś pogardzałem, a nawet nienawidziłem. Teraz natomiast kochałem ich miłością Chrystusa, mojego Pana i ściskałem jak braci i siostry. Zostałem wyzwolony z przesądów i podziałów kastowych tkwiących w samym centrum religii, którą kiedyś tak gorliwie praktykowałem. Wymazanie tych podziałów z hinduskiej mentalności jest niemożliwe. Wynikają one w prosty, logiczny sposób z karmy i reinkarnacji, tworząc wiele poziomów, na które trzeba się wspinać w swojej ewolucyjnej drodze ku Bogu. Wyższe stany świadomości, do których dąży się przez medytację, są subtelnym przedłużeniem systemu kastowego. Kiedyś wydawały mi się one rzeczą boską, lecz teraz widziałem w systemie kastowym wielkie zło, które wznosi między ludźmi okrutne bariery — dając jednym mistyczną wyższość i równocześnie skazując innych na pogardę i izolację.

W czasie wakacji na Boże Narodzenie zaprosił mnie do siebie brat mojego ojca, Ramchand, u którego spędziłem wiele szczęśliwych dni w poprzednich latach. Jak tylko dotarłem na miejsce, nie tracąc czasu, zaczął ze mną szczerze rozmawiać.

— Cóż, Rabi, słyszałem o tobie wiele dziwnych rzeczy. Wiesz dobrze, jakie życie prowadził twój ojciec. Stanowił on najdoskonalszy wzorzec dla każdego Hindusa. Twoja matka również jest kobietą niezwyklej świętości, ogromnie oddaną naszej wielkiej religii. — W jego mniemaniu nadal byłem Hindusem.

Skinąłem poważnie głową, doceniając jego troskę. Czy pamiętał, jak bardzo byłem zdegustowany, kiedy dowiedziałem się, że nie stroni od mięsa? Od chwili, kiedy zostałem chrześcijaninem, stwierdziłem, że moja nowa dieta, zawierająca teraz jajka oraz niewielką ilość mięsa, wpływa na mnie korzystnie. Wcześniej byłem chorowity i cierpiałem na niedobór białka. Jednakże dla mojego wuja jedzenie mięsa było odrzuceniem jednej z najważniejszych zasad jego religii — zasady, że jedność wszystkich rzeczy uświęca nawet najniższe formy życia. Jedzenie zwierząt nie różniło się od jedzenia ludzi. Strofował mnie za to, że odwróciłem się od religii, której on sam do końca nie przestrzegał.

— Wiesz o tym — kontynuował — że Hindusi w promieniu wielu mil uznają naszą rodzinę za wzór. Wszyscy wiedzą, jak ściśle przestrzegaliście naszych zasad dotyczących jedzenia. Nie możesz sobie pozwolić na popełnienie takiego błędu i utratę wszystkiego, na co tak ciężko pracowałeś!

— Ale ja wierzę, że Jezus jest jedynym prawdziwym Bogiem, Zbawicielem, który umarł za nasze grzechy — odpowiedziałem spokojnie i z szacunkiem, starając się z całych sił, by go nie obrazić. Tak bardzo go przecież kochałem.

Z nabożną czcią wuj Ramchand zdjął z półki Bhagavad-Gita i odwinął ją ostrożnie ze spowijającego ją szafranowożółtego materiału.

— Posłuchaj, co mówi Kriszna w rozdziale 4: „Zawsze, kiedy tylko następuje upadek sprawiedliwości... pojawia się ja; dla obrony dobra, dla zniszczenia grzeszników, rodzę się raz na jakiś czas”. — Przeczytał te słowa powoli, uważnie obserwując moją reakcję.

— To jasne, że Kriszna powróci pewnego razu jako Jezus — mówił dalej. — Każdy Hindus, który o nim wie, wierzy, że Jezus jest jednym z bogów. Nie trzeba zostawać chrześcijaninem tylko z powodu wiary w to, że

Jezus jest bogiem. Zostawmy to ludziom, którzy urodzili się chrześcijanami — ty urodziłeś się jako Hindus. W cokolwiek wierzysz, nie zmieniaj swojej religii. Musisz zawsze pozostawać hindusem.

— Cóż, nie mogę się z tym zgodzić — odpowiedziałem stanowczo, lecz uprzejmie. — Jezus powiedział, że jest On Drogą, a nie jedną z dróg; wyklucza to Krisznę i wszystkich innych. Nie przyszedł On, by zniszczyć grzeszników — tak jak powiedział o sobie Kriszna — lecz, by ich zbawić. Nikt inny nie mógł tego uczynić. Jezus nie jest po prostu jednym z wielu bogów. On jest jedynym prawdziwym Bogiem i przyszedł na ziemię nie tylko po to, by nam pokazać, jak żyć, lecz także by umrzeć za nasze grzechy. Kriszna nigdy tego nie uczynił. Poza tym Jezus zmartwychwstał, co nigdy nie przydarzyło się Krisznie, Ramie czy Śiwie — w rzeczywistości oni nigdy nie istnieli. Co więcej, nie wierzę w reinkarnację, ponieważ Biblia mówi, że „dane jest ludziom raz umrzeć, a potem Sąd”.

Ciotka słuchała moich słów ze smutkiem, z trudem powstrzymując się od płaczu. Wuj Ramchand wyglądał na bardzo zawiedzionego. Był on bardzo uczciwym i dobrym człowiekiem i żywiłem do niego wielki szacunek. W żaden sposób nie mogłem jednak nakłonić go do rozważenia dowodów i spojrzenia na hinduizm w sposób logiczny, stwierdzający jego brak konsekwencji. Dla niego największą troską było to, bym nie łamał tradycji, w której się urodziłem. Nie miałby nic przeciwko temu, gdybym dodał Jezusa do listy moich bogów lub nawet gdybym był ateistą, nie wierząc w żadnych bogów — jeśli bym tylko w dalszym ciągu nazywał siebie Hindusem. Dla mnie jednak była to kwestia prawdy, a nie tradycji. Po upływie około godziny stało się jasne, że dalsza dyskusja jest bezużyteczna. Za obopólną zgodą wróciłem do domu jeszcze tego samego dnia.

Również Gosine nie mógł zaakceptować faktu, że zostałem chrześcijaninem. Podobnie jak Ramchand, wierzył on, że Jezus jest tylko jednym pośród miliona bogów, jedną z dróg, które w końcowym rozrachunku wiodą do Brahmanu.

— Coś ci powiem, Bhai! — mówił mi wielokrotnie. — Wszystkie drogi wiodą do tego samego miejsca! — Próbowałem z nim dyskutować, wyjaśniać, że nie zmierzam do „tego samego miejsca”, co on. Jezus powiedział Żydom, by w Niego wierzyli; w przeciwnym razie „umrzecie w swoich grzechach: gdzie ja idę, wy nie możecie przyjść”. Nie miało to jednak żadnego sensu. Gosine nie miał zamiaru zmieniać swojej wiary, niezależnie od tego, jakie dowody przedstawiałem. Nie było już między nami porozumienia i fakt ten bardzo mnie smucił.

Rzecz ą nienuniknion ą było oczywi ęście, ęe odwiedzi nas nasz drogi przyjaciel, Mędrzec Jankhi Prasad Sharma Maharaj, by sprawdzić docierając ę do niego pogłoski i przekonać nas, aby ęmy porzucili to szaleństwo zwane chrześci ąj ąstwem. Jak tylko przybył, rozejrzał się dokoła i ze smutkiem zauważył, ęe cały panteon hinduskich bóstw, wiszących przez długie lata na ścianach, znikł bez śladu. Usiadł na podanym mu krześle, wziął głęboki oddech i wydał z siebie długie westchnienie.

— Nie mogę tego zrozumieć — zaczął Baba ze smutkiem. — Dlaczego ludzie opowiadają o was takie kłamstwa? Mówili mi, ęe wszyscy jeste ęcie teraz chrześci ąjanami. — Oczy Baby napełniły się łzami. — Nie wierzę w to! — orzekł zdecydowanie. — Powiedzcie mi, dlaczego ludzie opowiadają takie rzeczy? — Na twarzy tego wspaniałego starca, którego wszyscy darzyliśmy ogromną miłości ą, malowała się głęboka troska.

— Ale to prawda, Babo — powiedziała ciotka Revati w języku hindi.

Z żalem w oczach zwrócił się w moją stronę.

— Twój ojciec — co on by pomyślał? I ty, Rabindranath Ji... Nie wierzę w to! Kto was obraził? Wiem, ęe czasami nie wszyscy mędracy są uczciwi. Powiedzcie mi, o co chodzi?

— Nikt nas nie obraził, Babo — odpowiedziałem pospiesznie. — Odkryliśmy, ęe Jezus jest prawd ą, a On dał nam przebaczenie i prawdziwy pokój. On kocha również ciebie i umarł za twoje grzechy. I ty możesz znaleźć w nim zbawienie.

Wyglądał na niezwykle oszołomionego, tak, jakby przebaczenie było pojęciem, którego nie mógł zrozumieć, podobnie jak i ja kiedyś. Wyglądał na zakłopotanego i nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzawszy na Kumara, spytał zdziwiony:

— I ty również?

Kumar wrócił ostatnio niespodziewanie z Anglii, zaskakując nas najbardziej tym, ęe powiedział nam, iż został chrześci ąjaninem.

— Babo — powiedział Kumar z szacunkiem — wiesz bardzo dobrze, ęe byłem alkoholikiem w beznadziejnym stanie, kiedy przed trzema laty opuszczałem Trynidad. Hinduscy bogowie nie mogli nic dla mnie zrobić. Karma mogła tylko przyczynić się do mojego upadku w następnym wcieleniu. Wiesz również, ęe wielu mędrców znajduje się w tej samej sytuacji i ęe praktykowanie hinduizmu w niczym im nie pomaga. Miałem nadzieję, ęe w Londynie zacznę nowe życie i wyobraź sobie moje przerażenie, kiedy odwiedził mnie tam jeden z moich kompanów, którego znałem jeszcze z libacji na Trynidadzie. Jednakże w chwili, kiedy go

ujrzałem, dostrzegłem, że jest innym człowiekiem. Powiedział mi, że stał się chrześcijaninem. „Chrystus uwolnił mnie od alkoholu”, oznajmił. Brzmiało to zbyt pięknie, by mogło być prawdą, a poza tym nie chciałem mieć nic wspólnego z jego religią. „Zawsze byłeś chrześcijaninem”, przypomniałem mu. Wyjaśnił mi jednak, że jest wielu ludzi, którzy zważają się na chrześcijanami, ponieważ należą do jakiegoś Kościoła, lecz nigdy nie spotkali Chrystusa i nie są w rzeczywistości Jego wyznawcami.

— Cóż — opowiadał wuj Kumar — teraz obawiałem się bardziej jego chrześcijaństwa niż tego, że był pijakiem. Postanowiłem jednak być dla niego uprzejmy i oprowadzić go po Londynie. Ponieważ był jednym z najlepszych mówców na Trynidadzie, zabrałem go najpierw na Róg Mówców w Hyde Parku. Chodziliśmy od grupy do grupy, przysłuchując się przemówieniom, aż wreszcie dotarliśmy do młodego człowieka, który mówił o Chrystusie. Coś powiedziało mi, że mówi prawdę. Wiedziałem to, lecz nie chciałem słuchać. Poszedłem z powrotem do mojego mieszkania, lecz nie mogłem zapomnieć rzeczy, o których mówili mój przyjaciel i ten młodzieniec. Gdy znalazłem się w mojej sypialni, padłem na kolana i zacząłem prosić Chrystusa o przebaczenie grzechów oraz o to, by wszedł do mojego serca jako mój Pan i Zbawiciel. Mówię ci z wielką radością, Babo, że Jezus dał mi niezmałony pokój i uczynił mnie nowym człowiekiem. Czy pamiętasz, jak Ma skarżyła ci się na moje pijaństwo i na to, że trwoniłem tysiące dolarów na whisky? Teraz wcale nie czuję potrzeby picia alkoholu.

Z wyrazem niedowierzania na twarzy i szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami Baba wpatrywał się w swego odmienionego przyjaciela. Widząc, że nie może wydobyć z siebie ani słowa, ciotka Revati pochyliła się ku niemu i wpatrując się w twarz starca przemówiła z wielką szczerością.

— Babo, pozwól, że ci opowiem, co przydarzyło się mnie. Przebywałam właśnie w pokoju modlitw, odprawiając moją puja, kiedy nagle jakiś głos powiedział mi, że wszyscy czczeni przeze mnie bogowie są fałszywi. Potem głos powiedział: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem: nikt nie przychodzi do Ojca, jak tylko przeze mnie”. Wiedziałam, że przemawia do mnie Jezus. Kilka dni później oddałam Mu swoje życie, a On uczynił ze mnie nowego człowieka. Przeszłość odeszła, moje grzechy zostały mi odpuszczone i wiem, że będę w niebie na wieki! Posłuchaj, co powiedział Jezus: „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”. To zbawienie jest dla wszystkich kast i dla ludzi ze wszystkich narodów. Jest ono także dla ciebie.

Bóg przebaczy ci i da ci życie wieczne, jeśli tylko przyjmiesz Chrystusa do swego serca i będziesz wierzyć tylko w Niego.

Baba w dalszym ciągu wydawał się zbyt oszołomiony, by mówić. Spoglądał po kolei na każde z nas, wiedząc, że stracił swoich najwierniejszych uczniów. Powoli wstał z wyrazem gorzkiego rozczarowania na twarzy. Był bardzo uprzejmy i życzliwy, chcąc pozostać naszym przyjacielem, widzieliśmy jednak, że usiłuje stłumić w sobie ogarniające go wzburzenie. Kiedy żegnaliśmy się, nasze serca przepełnione były wielkim smutkiem. Nigdy potem nie spotkałem już Baby.

Najbardziej zagorzali w piętnowaniu nas jako wyznawców Chrystusa byli ci sami ludzie, którzy wychwalali otwartość umysłu cechującą Hindusów i twierdzili, że hinduizm akceptuje wszystkie religie. Im więcej słuchaliśmy tych, którzy próbowali przekonać nas, byśmy powrócili do religii naszych ojców, tym wyraźniej widzieliśmy, że lojalność wobec własnej religii rzadko oparta jest na pragnieniu poznania prawdy, jest natomiast zazwyczaj emocjonalnym przywiązaniem do tradycji kulturowych. Wielu Hindusów przez całe życie recytuje sanskryckie mantry, nie wiedząc w ogóle, co one znaczą. Większość Hindusów przychodzących do nas na rozmowy nie wiedziała dlaczego są Hindusami, poza tym, że się nimi urodzili. Nie rozumieli też oni prawie wcale najbardziej podstawowych elementów swojej religii. Nasza zbrodnia polegała na tym, że porzuciliśmy religię naszych przodków — już samo to pozbawiało sensu wszelką dyskusję na temat prawdy.

Rzecz dziwna, że wielu muzułmanów było równie mocno oburzonych, chociaż to nie ich religię porzuciliśmy. Jeden z moich muzułmańskich przyjaciół zawołał kiedyś do mnie ze złością: „Słyszałem, że stałeś się wyznawcą tego oszusta Jezusa!”, chociaż Koran głosi przecież, że Jezus prowadził czyste i pozbawione grzechu życie.

Początkowo trudno było nam zrozumieć złość i nienawiść, jaką wzbudzało przeciwko nam słowo Jezus w sercach tych, którzy jeszcze niedawno byli naszymi bliskimi przyjaciółmi. Później przeczytaliśmy w Ewangeliach słowa Jezusa mówiące o tym, że Jego wyznawcy będą z Jego powodu znienawidzeni przez wszystkich. Mimo to, nadal trudno było pojąć, dlaczego ktokolwiek miałby nienawidzić Jezusa, a tym bardziej ukrzyżować Go. Czynił On przecież wyłącznie dobro. Twierdził jednak, że jest jedyną drogą do Boga i wkrótce zorientowaliśmy się, że właśnie to złościło ludzi, gdyż oznaczało konieczność porzucenia ich religijnych rytuałów i ofiar oraz

zaakceptowania jedynie Jego śmierci na odpuszczenie ich grzechów. Ta nienawiść do Jezusa zwracała się przeciwko nam, Jego uczniom.

\* \* \*

— Jesteście wstydem i kamieniem obrazy dla społeczności hinduskiej! Hipokryci! Zdrajcy! — Rozlegający się głośny krzyk zdziwił mnie, wybiegłem więc na werandę z przodu domu, by zobaczyć, co się dzieje. Krishna i Shanti już tam byli. Na drodze, niedaleko naszego domu stał zaparkowany duży amerykański samochód z zamontowanym głośnikiem, a na tylnym siedzeniu, za szoferem, siedział mężczyzna mówiący do mikrofonu. Rozpoznaliśmy go — był to jeden z najbogatszych ludzi na Trynidadzie — bramin i hinduski przywódca.

— Odwróciliście się plecami do religii i bogów waszych przodków. Jest to najgorsza rzecz, jaką może uczynić Hindus! Porzuciliście najwspanialszą dharmę na świecie — dharmę Sanatan! Będziecie musieli za to zapłacić! — Najwidoczniej wcześniej starannie przygotował swoją mowę. Odczytywał ją pełnym gniewu głosem jeszcze przez kilka minut, niewątpliwie zachwycony widokiem naszych sąsiadów, gromadzących się na ulicy i przysłuchujących się mu. Następnie samochód z wielkim rykiem odjechał w kierunku północnym.

W końcu wuj Deonarine i jego żona zaczęli mieć już tego dość. Żona wuja nigdy nie żyła najlepiej z większością domowników, nawet jeszcze przed wielką zmianą. Teraz, kiedy wszyscy staliśmy się chrześcijanami, życie z nami pod jednym dachem stało się dla nich nie do zniesienia, więc wprowadzili się.

\* \* \*

Codzienny dojazd autobusem do szkoły był dla mnie bardzo uciążliwy. Z pomocą Kumara udało mi się znaleźć stancję u pewnej rodziny mieszkającej niedaleko Queen's Royal College. Byli oni Hindusami. Samo położenie domu było bardzo dogodne, lecz mieszkanie bardzo zatłoczone. Były tam tylko dwie małe sypialnie na dziesięciu mieszkańców. Najstarszy syn rodziny, który również chodził do szkoły średniej, spał wraz ze mną na podłodze w salonie. Bardzo przygnębiające było dla mnie to, że znów znalazłem się w otoczeniu bożków i obrazów bóstw hinduskich. Rodzina ta, od dawna z nami zaprzyjaźniona, nie wiedziała jeszcze o tym, że stałem się chrześcijaninem. Kiedy jednak w ciągu kilku kolejnych dni nie wziąłem udziału w ich rodzinnej puja, stwierdziłem, że muszę im to wyjaśnić.

— Jestem chrześcijaninem — oznajmiłem pewnego wieczoru. Cała rodzina popatrzyła na mnie z niedowierzaniem w oczach. Ojciec zaczął się śmiać, myśląc, że żartuję. Kiedy jednak spostrzegł, że mówię poważnie, w jego głosie pojawił się gniew:

— Chcesz powiedzieć, że porzuciłeś najwspanialszą religię świata, żeby stać się właśnie chrześcijaninem? — powiedział z drwiną w głosie. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Szukałem prawdy i odkryłem, że jest nią Jezus — jedyny prawdziwy Bóg, który umarł za nasze grzechy.

Starali się bardzo, by mnie odciągnąć od tego, lecz ich stosunek do mnie zmienił się, kiedy stało się jasne, że obstaję przy moim wyborze. Oskarżali mnie o to, że nie jestem wierny religii moich przodków, a sami w sklepie, mieszczącym się we frontowej części domu, sprzedawali curry z wołowiną — co było oczywistym pogwałceniem zasad hinduizmu. Ja jednak nie wytykałem im tego. Ojciec rodziny wracał z pracy pijany prawie każdego wieczoru. Obecnie jego przekleństwa, ubliżające imieniu Jezusa, były skierowane przeciwko mnie, lecz nie pozwalano mi na nie odpowiadać. Kiedy trzeźwiał, był jednak dość przyzwoitym człowiekiem i pomimo że cała rodzina żywiła nienawiść do chrześcijan, wszyscy starali się być gościnni i grzeczni na wiele sposobów.

Rzeczą gorszą od ludzkiej wrogości było to, że w coraz większym stopniu nękały mnie demony, które wcale nie zamierzały być uprzejme. Otaczały mnie w tym domu bożki o strasznym wyglądzie. Znałem prawdziwą moc ukrywającą się za tymi patrzącymi złym wzrokiem maskami i zastanawiałem się, czy powinienem był zgadzać się na pobyt w takim domu. Wyglądało jednak na to, że w tej chwili nie ma żadnego innego wyjścia.

Życie w szkole ponownie stało się dla mnie bardzo trudne. Zastąpiwszy sobie w końcu na szacunek moich kolegów z klasy jako hinduski przywódca, teraz stałem się obiektem dowcipów na temat Jezusa. Atakowali mnie nawet chłopcy, co do których sądziłem, że są chrześcijanami. Wszystko to stało się w końcu dla mnie nie do zniesienia. Pewnej nocy nie mogłem zasnąć, leżałem tylko na podłodze w salonie i czułem dręczącą obecność demonicznych mocy.

— Panie — łkałem cicho — dlaczego jest tak trudno być Twoim wyznawcą? Kocham Cię i w moim sercu gości Twój pokój, lecz to, co muszę znieść w szkole i w tym domu, jest prawie ponad moje siły. Czy zawsze będzie to moim udziałem? — W końcu, przepełniony smutkiem, zasnąłem.

Około drugiej w nocy poczułem, że ktoś mną potrząsa. Otworzywszy oczy, ze zdziwieniem ujrzałem, że stoi obok mnie jakaś postać skąpana w jaskrawym białym świetle. Przebudziwszy się całkowicie, usiadłem prosto i spojrzałem na Niego. Wiedziałem, że to Jezus, chociaż nie wyglądał wcale tak, jak na oglądanych przeze mnie wcześniej rysunkach. Wyciągnął w moim kierunku rękę i powiedział łagodnie: „Pokój! Pokój mój daję ci!” Wypowiedziawszy te słowa, zniknął, a pokój ponownie pograżył się w ciemnościach. Siedziałem tak przez długi czas, upewniając się, czy rzeczywiście nie śpię. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Chciało mi się wołać: „Alleluja!” Długo jeszcze leżałem potem na podłodze z rękami pod głową, widząc oczami duszy niebo i radując się w Panu.

Przeżycie to dodało mi odwagi. Miałem nową pewność, że Chrystus jest ze mną, że mnie prowadzi i troszczy się o mnie. Wierzyłem w to oczywiście i wcześniej i ufałem Mu, lecz teraz moja ufność była jeszcze głębsza i nie mogły jej zachwiać nawet najtrudniejsze do zniesienia chwile. Przekonanie to nigdy mnie nie opuściło i nigdy nie opuści.

Trudno wyobrazić sobie moje podniecenie, kiedy pewnego razu na tablicy ogłoszeń w szkole ujrzałem zawiadomienie o spotkaniu Młodzieży Chrystusowej, mającym odbyć się w auli. Był to największy klub w szkole, a ja nigdy o nim nie słyszałem i sądziłem, że jestem jedynym prawdziwym chrześcijaninem w Queen's Royal College. Na pierwszym spotkaniu, na które się udałem, zostałem bardzo gorąco powitany i już wkrótce miałem wielu chrześcijańskich przyjaciół. Moim najbliższym przyjacielem został Brendan Bain, syn znanego sędziego meczów krykieta. Również i on całkiem niedawno stał się chrześcijaninem. Wspólnie modląc się i studiując Biblię, zachęcaliśmy się wzajemnie do poświęcania życia Chrystusowi oraz do dzielenia się poznaniem Boga z innymi. Byłem teraz regularnie świadkiem pozyskiwania dla Chrystusa nowych przyjaciół. Działo się to za sprawą mojego własnego świadectwa oraz dzięki cotygodniowym spotkaniom Młodzieży Chrystusowej, gdzie zaproszono mnie do udziału w pracach organizacyjnych. Niełatwo było jednak przekonać tych „urodzonych” chrześcijan, że muszą się narodzić na nowo.

Aby uniknąć konfrontacji z hinduską rodziną, u której mieszkałem, otrzymałem od dyrektora szkoły pozwolenie na wykorzystywanie do nauki jednej z sal szkolnych do późnych godzin wieczornych. Większość tego czasu poświęcałem studiom biblijnym i modlitwie, a do domu wracałem często już wtedy, gdy wszyscy szykowali się do snu. Kiedy mniej więcej rok później dom, w którym mieszkałem, został zburzony pod nową budowę,

musiałem się przeprowadzić. Moja nowa kwatery była o wiele bardziej odpowiednia, chociaż położona dalej od szkoły. Mogłem jednak dojeżdżać na rowerze pożyczonym mi przez Brendana, a nowa gospodyni była wspaniałą chrześcijanką, wspierającą mnie w wierze.

Jeszcze jako mały chłopiec wielokrotnie rozbierałem na części i składałem z ciekawości mój zegarek. Obecnie zacząłem wykorzystywać tę umiejętność, naprawiając zegarki moich przyjaciół. W skład posiadanych przeze mnie narzędzi wchodziła żyłka, mały szczyrtek oraz szpilka. W każdy piątek wieczorem jeździłem na rowerze Brendana do centrum Port of Spain i kupowałem części do zegarków. Wkrótce moja sława jako zegarmistrza rozprzestrzeniła się i zacząłem naprawiać zegarki uczniów i nauczycieli ze szkoły. Zarabiałem tyle, że starczało mi na drobne wydatki oraz na pokrywanie części kosztów związanych z wynajmowaniem pokoju i wyżywieniem.

W czasie weekendów mogłem jeździć do domu przy Skrzyżowaniu Lutchmana Singha. W dalszym ciągu nauczałem tam w Szkółce Niedzielnej w niewielkim Zborze spotykającym się jednym z domów. Krishna był teraz, nauczycielem w państwowej szkole podstawowej w San Fernando. On i Shanti również mogli przyjeżdżać do domu na weekendy, spędzaliśmy więc pożytecznie czas na wspólnym studiowaniu Słowa Bożego i dzieleniu się z sobą tym, czego Pan dokonywał w naszym życiu. Ma była dla mnie wielkim źródłem inspiracji, szczególnie poprzez swoje życie modlitewne. Darzyliśmy się wzajemnie ogromną miłością. Każdego weekendu spędzała ze mną czas na modlitwie, prosząc Pana, by ukazał mi, co chce, abym robił po ukończeniu szkoły.

Rozbudziło się we mnie pragnienie, by zostać lekarzem. Widziałem w tym sposób niesienia pomocy ludziom znajdującym się w potrzebie. Równocześnie mógłbym dzielić się z moimi pacjentami Dobrą Nowiną o Chrystusie. Być może mógłbym nawet pojechać do szkoły do Anglii.

# Powitanie i pożegnanie

— Rabi! Twoja mama przyjeżdża do domu!

Ciotka Revati stała w drzwiach wiodących na werandę, przeglądając codzienną pocztę. Ma stała obok, wpatrując się w nią, podniecona niespodziewanymi wieściami, którym trudno było dać wiarę. Czy mogła to być prawda — po 11 latach?

— Napisała z Londynu — powiedziała ciotka, przekazując nam wiadomości wyczytane w liście. — Miała wsiąść na statek do Trynidadu. Och! Przypływa właśnie dzisiaj!

Krótką wizytę składał właśnie wtedy w domu Lari, robiący doktorat w Stanach Zjednoczonych. Usłyszawszy nasze podniecone głosy, wbiegł pospiesznie do pokoju.

— O której statek przybija do brzegu? — zapytał.

— Powinien już być! — zawołała ciotka. — Lepiej się pospieszmy!

Cóż to była za szaleńcza jazda! Kiedy dotarliśmy na miejsce, statek stał już przy brzegu, a wszyscy pasażerowie już wysiedli. Nigdzie nie było widać mojej matki.

— Musiała wziąć taksówkę! — zasugerował w końcu Lari. — Chodźcie, wracajmy szybko do domu! — Ruszyliśmy więc w drogę powrotną, tym razem jadąc jeszcze szybciej.

Kiedy wbiegliśmy na schody i wpadliśmy wszyscy do salonu, ujrzeliśmy ją. Była to moja matka, której nie widziałem od czasu, gdy miałem siedem lat. Stała przy stole, rozmawiając z Ma; wyglądała na nieco zdziwioną. Musiała być zaskoczona widokiem swojej matki; Ma ciągle jeszcze wyglądała tak młodo i była w stanie chodzić — chociaż opowiadaliśmy jej w naszych listach o tym, jak Pan ją uzdrowił.

Matka spostrzegła Larięgo, rozpoznała go i oboje padli sobie w ramiona. Potem przyszła kolej na ciotkę Revati. Stałem tuż za progiem obserwując tę wzruszającą scenę. Było mi żal matki. Wiedziałem, że z pewnością przeszła się po domu. Pokój modlitw był pusty. Ze ścian zniknęły wszystkie obrazy przedstawiające bóstwa, nigdzie nie było już bożków. Musiało to być dla niej ciężkim przeżyciem. Być może bała się stanąć z nami twarzą w twarz — my wszyscy byliśmy chrześcijanami, a ona nadal gorliwą Hinduską. Był to jej dom, jej rodzina, a jednak zapewne byliśmy teraz dla niej obcy.

Patrzyła na mnie, lecz w jej oczach nie pojawił się błysk rozpoznania. W końcu powiedziała:

— A gdzie jest Rabi?

Nikt nie powiedział ani słowa, więc ja również zachowałem milczenie.

— Kto to jest?! — spytała, wskazując na mnie. Nadal nikt nie odpowiadał; wszyscy chcieli się przekonać, czy mnie rozpozna.

Napięcie stawało się nie do zniesienia. W końcu ciotka Revati odpowiedziała:

— To jest właśnie Rabi!

Wszyscy odwrócili się, patrząc w moim kierunku. Nie mogłem już dłużej się powstrzymać. Podbiegłem do niej i pocałowałem ją. Objęła mnie ramieniem, lecz nie było w tym ciepła i uczucia, jakich spodziewałem się po 11 latach. Wydawało się, że spotykamy się po raz pierwszy.

— Jak ty wyrosłeś, Rab! Nie poznałam ciebie. — Pomimo miłości, jaką do niej czułem, zdawałem sobie sprawę z dzielącego nas dystansu.

— Minęliśmy się z tobą — powiedziała ciotka Revati, usprawiedliwiając się. — Jak długo już tu jesteś?

— Nie dłużej niż 15 minut. Nie przejmuj się.

— Tak mi przykro! — odrzekła ciotka. — Przybyłaś z tak daleka, po tylu latach i nikt nie powitał cię w porcie!

— Och, wiedziałam, że na poczcie nie można zbyt polegać — odpowiedziała matka, próbując dzielnie ukryć swoje rozczarowanie. Wiedzieliśmy jednak wszyscy, że widoczny w jej oczach smutek spowodowany jest czymś innym, ważniejszym niż to, że nikt nie przybył jej na spotkanie.

W końcu, po 11 latach, nastąpiło powitanie, co do którego obawiałem się, że może nigdy nie nastąpić. Mieliśmy sobie tak wiele do powiedzenia. Jednakże między nią a nami wszystkimi powstała teraz bariera, której istnienia nie można było zaprzeczyć. Bardzo chwaliła Baba Muktanandę, guru, w którego świątyni mieszkała przez ten długi czas. Będąc obecnie wykwalifikowanym nauczycielem Jogi, chciała rozmawiać na temat dobrodziejstw wypływających ze sprawowania kontroli nad ciałem i wschodniej medytacji — my wiedzieliśmy już teraz, że otwierała ona umysł człowieka na dominację złych duchów, jednakże jak mogliśmy jej to powiedzieć? Wydawało się, że ma tyle tematów dotyczących hinduizmu, które chciała ze mną przedyskutować — wiedziała jednak, że nie zgadzam się już z nią, a oboje chcieliśmy uniknąć sporu.

Pod względem filozoficznym wielu ludziom wydaje się słusznym twierdzenie, że hinduizm akceptuje wszystkie religie i że każdy zmierza ku temu samemu miejscu, tyle że innymi drogami. Ludzie przemawiający za wzajemną tolerancją i synkretyzmem wszystkich religii nie dostrzegają faktu istnienia pewnych poważnych różnic, mających wpływ na życie człowieka. Takie podstawowe różnice nie mogą być zlikwidowane na drodze ekumenicznych porozumień. Matka była zwolenniczką filozofii hinduskiej, twierdzącej, że istnieje tylko jedna Rzeczywistość — Brahman — oraz że prawo karmy wymaga, by za dawne grzechy płacić w przyszłości. My wszyscy byliśmy przekonani, że dobro i zło różnią się od siebie, a Stwórca nie jest tożsamy ze swoim stworzeniem. Dane nam było poznać przebaczenie niesione przez Jezusa i nie wierzyliśmy już w reinkarnację. Pomędzy tymi przeciwnymi sobie systemami nie było żadnego miejsca na spotkanie, nie był możliwy żaden kompromis, który nie pociągałby za sobą konieczności odmówienia wszelkiego znaczenia językowi i ideom.

Wiedziałem, że matce bardzo trudno jest pogodzić się z faktem, że nie jesteśmy już Hindusami. W naszej obecności czuła się pusto i niepewnie. Wszystko oprócz niej zmieniło się; ona nadal była wierna starym tradycjom opartym na mitologii, którą my odrzuciliśmy. Po trzech dniach udała się do Port of Spain, by objąć najwyższe stanowisko w największej na Trynidadzie świątyni. Godność ta została jej zaproponowana, zanim jeszcze opuściła Indie. Wszystkim nam sprawiał ból fakt, że nas opuszcza, a szczególnie, że stało się to tak szybko, jednakże dzieląca nas bariera istniała niezaprzeczalnie.

— Musisz zamieszkać razem ze mną w świątyni! — przekonywała mnie przed odjazdem. — Odwiedź mnie, jak tylko wrócisz do szkoły! Jest tam wspaniałe mieszkanie, które moglibyśmy dzielić — i leży ono niedaleko Queen's Royal College!

W żaden sposób nie można było mnie nakłonić, bym mieszkał w takim miejscu, nawet gdybym miał być blisko mojej ukochanej matki, lecz nie mogłem znaleźć słów, by jej to powiedzieć. Obawiałem się nawet odwiedzić ją w świątyni. Wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że znajdujące się tam bożki były tylko maskami dla istot diabelskich, które trzymały gromadzących się tam wyznawców w okowach duchowych ciemności. Jakże dokładnie pamiętam pierwszą moją wizytę u matki! Ktoś wskazał mi drogę do jej mieszkania. Kiedy wszedłem do środka, Matka ze złożonymi dłońmi siedziała w pozycji lotosu przed wysokim lustrem, oddając cześć Jaźni. Na widok ten poczułem ból w sercu. Nad ołtarzem wisiał wielki portret jej guru,

Muktanandy, którego czciła i o którym medytowała prawie przez cały dzień. Powitała mnie entuzjastycznie.

— Tak się cieszę, że przyszedłeś, Rabi! Pozwól, że cię oprowadzę. — Pokazując mi pokój przylegający do jej pokoju, powiedziała:

— Spójrz! Kazałam to urządzać dla ciebie. Kiedy możesz się wprowadzić?

— Cóż — zawahałem się — jest stąd spory kawałek dalej do szkoły...

— Zabierze ci to pięć minut więcej, to wszystko. — W jej oczach odmalowało się ogromne rozczarowanie.

— Pozwól mi to przemyśleć. — W rzeczywistości nie wchodziło to w ogóle w grę, ale nie mogłem zdobyć się na to, by jej o tym powiedzieć.

Za każdym razem, kiedy ją odwiedzałem, ponawiała swoje namowy. Nie wiedziałem, jak mam jej odpowiadać, udzielałem więc odpowiedzi niejasnych i grałem na zwłokę. Otwarta odmowa wydawała mi się okrucieństwem. Jakże strasznie trudne musiało być dla niej to wszystko! Miała w stosunku do mnie tak ogromne ambicje i chciała, żebym został wielkim hinduskim przywódcą. Zamiast tego wprawiałem ją tylko w zakłopotanie. Zyskiwała szacunek coraz większej ilości Hindusów na całym Trynidadzie; wiedziałem, że w czasie jej podróży z wykładami wypytują ją o mnie inni hinduscy przywódcy. Niewątpliwie przynosiłem jej wstyd i hańbę. Mój prawdziwy smutek miał jednak o wiele głębsze źródła niż tylko jej terazniejsze cierpienia. Bałem się o jej wiekuiste przeznaczenie. Była tak bardzo oddana fałszywym bogom — lecz Bóg w swoim miłosierdziu dotarł do mnie i z pewnością mógł również objawić się mojej matce. Codziennie modliłem się o jej zbawienie. O ileż trudniejsze byłoby to dla niej niż dla innych! Sama tylko duma mogła ją zaślepić. Niezwykle trudna mogła okazać się rezygnacja z osiągniętego prestiżu i narażenie się na nienawiść oraz pogardę hinduskiej społeczności. Tylko jeden raz podjąłem próbę przekonania jej, odwołując się do słów Jezusa: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem”.

— Oczywiście, że w to wierzę! — odpowiedziała Matka. — Jezus mówił, że każdy z nas jest drogą. Wedy uczą tego samego: dharma każdego człowieka jest inna i każdy musi w sobie odnaleźć swoją własną prawdę.

— Ależ Mamo! Jezusowi chodziło o to, że On jest jedyną drogą!

Po krótkiej dyskusji oboje doszliśmy do wniosku, że spory dotyczące religii nie przynoszą nam żadnego pożytku i zmieniliśmy temat. Na podstawie wypowiedzianych przez nią uwag doszedłem do wniosku, że nie jest

szczęśliwa i zadowolona z siebie, modliłem się więc nadal, aby posłuchała tego wewnętrznego głodu i zaczęła szukać Pana.

— Wychodzę właśnie za kilka minut do studia telewizyjnego — powitała mnie pewnego popołudnia, kiedy do niej wstąpiłem. — Cieszę się, że przyszedłeś. Proszę, chodź ze mną!

Nie chciałem iść, wiedząc, że będę musiał wysłuchać jednego z jej wykładów o hinduizmie i że później będzie ode mnie oczekiwała komentarza — co mogło jedynie stać się przyczyną sporu. Nie miałem jednak wyboru.

W centrum telewizyjnym miałem możliwość przyjrzeć się mojej matce, kiedy siedziała przed kamerą i elokwentnie opowiadała o znaczeniu Jogi i medytacji dla osiągnięcia pokoju duchowego. Byłem pewien, że w rzeczywistości nie osiągnęła tego pokoju, o którym mówiła. Wiedziałem z mojego własnego doświadczenia, że próbowałem kiedyś stymulować pokój, sprawiać, bym odczuł pokój, lecz na dobrą sprawę nie wychodziło mi to. Pokój płynie tylko z właściwej społeczności ze swym Stwórcą — ona tej łączności jeszcze nie miała.

Po zakończeniu programu zapytała mnie entuzjastycznie:

— Jak ci się podobało, Rabi?

Jakże dumny byłbym z mojej matki, gdybym w dalszym ciągu był Hindusem! Teraz jednak jej religijna gorliwość i osiągnięcia potęgowały tylko mój smutek.

— Jesteś znakomitym mówcą, Mamo — odpowiedziałem po chwili wahania, szukając odpowiednich słów. — Masz dobry głos i dobrze wypadasz w telewizji.

Rozczarowanie, jakie wyczytałem w jej oczach, powiedziało mi, że miała nadzieję na coś więcej. Samo unikanie sporu nie było wystarczające. Czy kiedyś w końcu porzuci nadzieję, że powróć do hinduizmu?

Kiedy ukończyłem szkołę, zaczęto mnie zapraszać do różnych kościołów na terenie całego kraju, bym tam przemawiał. Krishna i ja często śpiewaliśmy, dawaliśmy świadectwo Bogu i nauczaliśmy. Radowaliśmy się każdym takim momentem, lecz wkrótce poczułem, że Bóg miał zamiar zabrać mnie daleko od Trynidadu. Spędzałem dużo czasu na modlitwie w poszukiwaniu woli Bożej i umacniało się we mnie przekonanie, podzielane przez Ma i ciotkę Revati, że Pan wskazuje mi drogę do Anglii. Bardzo poważnie rozważałem możliwość pójścia na uczelnię medyczną. Jako lekarz mógłbym służyć ludziom, a równocześnie opowiadać moim pacjentom o Chrystusie.

— Przyszedł list do ciebie od wuja Kumara — powiedziała pewnego dnia ciotka Revati, przeglądając pocztę. Kumar powrócił do Londynu kilka miesięcy przed przyjazdem mojej matki na Trynidad.

— Namawia mnie, bym przyjechał do Londynu i pisze, że mogę u niego zamieszkać! — zawołałem, czytając list z coraz większym podnieceniem. Spędziłem właśnie cztery poprzednie dni na modlitwie i poście, poszukując woli Bożej. List ten wydawał się być potwierdzeniem tego, że Bóg prowadził mnie do Londynu, chociaż nie miałem dość pieniędzy na bilet. Jeśli taka była wola Boża, to na pewno za Jego sprawą znajdą się i fundusze.

Na początku lutego 1967 r. dowiedziałem się, że czternastego tego miesiąca wypływa do Londynu duży francuski liniowiec S.S. Antilles. W głębi serca czułem pewność, że znajdę się na tym statku, lecz dni mijały bez jakiegokolwiek dalszego potwierdzenia, że pieniądze będą. Niemniej jednak rankiem dwunastego, nie mogąc już dłużej zwlekać, udałem się do Port of Spain i wystarałem się o paszport. Następnie poszedłem prosto do przedstawicielstwa brytyjskiego, by otrzymać wizę.

— Nie możemy wystawić wizy — usłyszałem — dopóki nie przedstawi nam pan dowodu, że zabiera pan z sobą przynajmniej 1500 dolarów. — A ja nie miałem jeszcze nawet pieniędzy na mój bilet!

Opuściłem biuro, mając w kieszeni pieniądze wystarczające za ledwie na powrót do domu. Kiedy dotarłem tam wieczorem, dowiedziałem się, że na moje konto wpłynęły trzy oddzielne dary dające w sumie dokładnie 1500 dolarów. Co zaskakujące, jednym z ofiarodawców była moja matka, poza tym Lari i Krishna. Fakt, że była to dokładnie taka suma, jakiej potrzebowałem — a nie mówiłem o tym nikomu — był kolejnym potwierdzeniem przewodnictwa Bożego.

Tego samego wieczoru jeden z moich bliskich przyjaciół zaoferował mi pożyczkę pieniędzy na bilet. Było to jeszcze jedno potwierdzenie. Wyglądało na to, że wszystkie drzwi ostatecznie się otworzyły. Miałem gdzie się zatrzymać w Londynie i zgromadziłem całe potrzebne mi pieniądze.

— Wyjeżdżam czternastego do Londynu — oznajmiłem późnym wieczorem rodzinie.

— Czternastego? To pojutrze! W jaki sposób tak szybko chcesz to załatwić?

— Dostałem dzisiaj paszport, a jutro zamierzam wykupić bilet i wyrobić sobie wizę, jeśli taka będzie wola Boża.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że otrzymanie wizy do Anglii może być problemem.

— Przykro mi, ale nie możemy wystawić panu wizy — odpowiedziano mi stanowczo następnego dnia w przedstawicielstwie brytyjskim.

— Ależ sir, posiadam tych 1500 dolarów, które muszę z sobą zabrać!

— Nie oznacza to, że otrzyma pan wizę automatycznie.

— Ale dlaczego? Przypomniałem sobie o pogłoskach, że rząd brytyjski wprowadził większe ograniczenia we wpuszczaniu cudzoziemców do kraju.

Nie mógł mi tego wyjaśnić.

— Przykro mi, ale nie mogę jej panu wystawić.

Przez cały czas przeglądał mój paszport, lecz teraz odłożył go na dzielący nas kontuar. Nie wziąłem go, a zamiast tego spojrzałem obok urzędnika w okno i zacząłem się w duchu modlić: „Panie, proszę Cię! Uczynź to!”

Wziąwszy ponownie mój paszport, urzędnik wstemplował do niego wizę.

— Dzięki Ci, Panie! — zawołałem szeptem.

Powróciwszy wieczorem do domu, z wizą i biletem w rękę, odkryłem, że Ma wraz z ciotką Revati zaprosiły na moje pożegnanie naszych sąsiadów, krewnych i znajomych. Specjalnie na tę okazję przybyła również z Port of Spain moja matka. Ostatni okres był pełen wzruszeń dla nas wszystkich. Moja matka dopiero co wróciła, a teraz ja wyjeżdżam. Ma była coraz starsza i wstrętą mi była myśl o rozstaniu z nią. A ciotka Revati — jakże bardzo zbliżyliśmy się do siebie w Chrystusie, jakże prawdziwą wzajemną miłością obdarzył nas Bóg! A Shanti i Krishna — jakże wspaniałe chwile spędziliśmy razem! I inni moi kuzyni, którzy stali się chrześcijanami, i ciotki, wujowie oraz kuzyni, którzy tego nie uczynili... i mój wuj Deonarine, który był dla mnie kiedyś jak ojciec, a który tego wieczoru nie przybył... Nie chciałem opuścić żadnego z nich wszystkich. Wierzyłem jednak naprawdę, że Bóg ma w stosunku do mnie swoje plany i że mnie prowadzi.

Słuchałem wszystkich przemówień — życzliwych, pełnych miłości i w większości szczerych. Ze łzami w oczach ciotka Revati powiedziała, że bardzo mnie kocha. Opowiedziała o tym, jak dobrze się wzajemnie rozumieliśmy i zgodziliśmy i oznajmiła, że bardzo jej będzie brakować mojej pomocy. Przypomniało mi to o dniach, kiedy wszystko było inaczej i chwaliłem Boga za to cudowne przekształcenie, jakie dokonał w każdym z nas. Także i Ma miała do powiedzenia same miłe rzeczy. Nawet niektórzy z naszych hinduskich sąsiadów mówili o tym, że darzą mnie teraz dużym szacunkiem, obserwując uważnie moje nowe życie. Potem powstała moja matka.

— Rabi jest moim jedynym dzieckiem — zaczęła — i muszę powiedzieć, że jestem wdzięczna, iż mam takiego syna! — Słuchając jej słów nie wierzyłem własnym uszom. W oczach zbierały mi się łzy. — Od mojego

powrotu na Trynidad uważnie przyglądałam się jego życiu. Mogę tylko powiedzieć, że jestem zadowolona ze wszystkiego, co widziałam. Właściwie podziwiałam go w ukryciu! Kiedy przyglądałam się Rabiemu, dostrzegłam w nim coś szczególnego, jakieś światło, które rozświetla jego życie.

Niełatwo było powstrzymać napływające mi do oczu łzy. Wiedząc, że moja matka lubi wypowiadać się zwięźle, jeszcze bardziej doceniłem to wszystko, co powiedziała. Nigdy nie podejrzewałem, że myśli o mnie w ten sposób i byłem głęboko poruszony. Było to dla mnie zachętą, by w dalszym ciągu modlić się za nią.

To, co widziała we mnie, nie było moją zasługą ani moim światłem, lecz wypełniającymi mnie życiem i miłością Chrystusa, które otrzymałem przez nowe narodzenie. To nie moje przymioty chwaliła matka. Zmiana ta była dziełem Jezusa, to On mnie odmienił. Jak bardzo pragnąłem, aby i moja matka rozpoczęła nowe życie w Chrystusie!

# Tam, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem

W Londynie miał nastąpić dramatyczny zwrot w moim życiu, zwrot w kierunku, którego nigdy bym nie podejrzewał. Kiedy już nastąpił, dostrzegłem, w jaki sposób Bóg wszystko to dla mnie zaplanował i przygotował. Przedtem jednak w naszej rodzinie na Trynidadzie wydarzyła się tragedia i bardzo żałowałem, że nie mogę tam być, by móc pocieszyć Ma.

Na krótko po moim przybyciu do Londynu przyszedł telegram zawiadamiający nas o wstrząsającej i niespodziewanej śmierci wuja Deonarine'a, z którym niegdyś łączyły mnie bardzo bliskie stosunki. Podobnie jak wcześniej Nana, zmarł on nagle na skutek rozległego ataku serca. Deonarine'a dosięgnęło to jednak o wiele wcześniej niż Nanę, bo w wieku 37 lat. Dla Ma był to bardzo ciężki cios.

Nieco później otrzymaliśmy wieści, które nas trochę pocieszyły. W tajemnicy przed wszystkimi wuj Deonarine prowadził długie i poważne rozmowy o Chrystusie z pewnym młodym Hindusem, który nawrócił się na chrześcijaństwo. Prosił go niejednokrotnie, by się za niego modlił. Dowiedzieliśmy się także, że podczas jednej z odprawianych dla niego puja wuj nagle wstał i wyszedł, wywołując zdumienie u mędrca i wszystkich innych — po tym wydarzeniu nigdy nie chciał już brać udziału w innych puja. Miałem szczerą nadzieję, że wuj Deonarine przyjął Zbawiciela, jeszcze zanim nie było za późno. Jego nagłe odejście przypomniało mi o tym, jak krótkie i niepewne jest w rzeczywistości życie. Cieszyłem się, że ja oddałem swoje Bogu i ufałem Mu, pozwalając uczynić ze sobą wszystko, czego zapragnie.

Czas, jaki mi pozostał do rozpoczęcia semestru zimowego, przepracowałem w fabryce, a następnie wstąpiłem do szkoły, którą polecił mi wuj Kumar jako wstępne studia medyczne. Przerazała mnie panująca tam niemoralność. Moje stanowisko wobec Chrystusa zostało ujawnione w prosty i nieoczekiwany sposób. Drugiego lub trzeciego dnia w szkole usiadłem na zajęciach z chemii w pierwszym rzędzie. Na mojej spince przy krawacie widoczny napis głosił: Jezus nigdy nie zawodzi. W samym środku wykładu wykładowca zatrzymał się nagle przede mną i pochylił się, by spojrzeć z bliska na moją spinkę.

— Jezus nigdy nie zawodzi? — przeczytał głośno kpiącym tonem, będącym mieszaniną sarkazmu i zdziwienia.

— Czy pan naprawdę w to wierzy? Odpowiedziałem zdecydowanym głosem:

— Tak, wierzę w to całym sercem. Jezus nigdy mnie jeszcze nie zawiódł.

— Proszę, proszę — zawołał wykładowca. Szok malujący się na twarzach studentów wyrażał jasno: „Czy to naprawdę możliwe, że jest w tej grupie ktoś, kto wierzy w Biblię? I to do tego Hindus z Indii Wschodnich!” Ta zadziwiająca wiadomość rozeszła się szybko po szkole i stałem się człowiekiem w jakiś sposób wyróżnionym.

Jak tylko siadałem przy stole w porze lunchu, przyłączało się do mnie 15 czy 20 studentów, często z wielu różnych krajów, rozsiadając się wokół. Natychmiast pojawiały się pytania: Czy rzeczywiście wierzysz w Boga? Dlaczego? A co z ewolucją? Dlaczego jeszcze potrzebujemy Boga; czyż nauka wszystkiego nie wyjaśniła? Jak możesz wierzyć w zmartwychwstanie? Dlaczego nie wierzysz w reinkarnację? Niektórzy chcieli się tylko ze mną drażnić lub spierać, wielu jednak rzeczywiście szukało prawdy. Opierając moje odpowiedzi na Słowie Bożym, byłem przygotowany do dyskusji na jakikolwiek temat od nauki po religię, politykę czy psychologię — moim celem było jednak zawsze pozyskanie ich dla Chrystusa. I niektórzy faktycznie Go przyjęli.

Mimo że byłem bardzo zajęty studiami oraz nauczaniem w rozrastającej się klasie szkoły niedzielnej, znajdowałem czas, by regularnie odwiedzać miejsca takie jak Hyde Park, Piccadilly Circus, Trafalgar Square i Portobello Road i rozmawiać o Chrystusie z każdym, kto chciał mnie słuchać. W ten sposób zacząłem stykać się z coraz większą liczbą narkomanów i dokonałem zadziwiającego odkrycia: niektórzy z nich doświadczali pod wpływem narkotyków tych samych przeżyć, które ja miałem dzięki Jodze i medytacji. W zdumieniu słuchałem, jak opisywali ten „piękny i pełen pokoju świat”, do którego wkraczali za sprawą LSD — świat, którego psychodeliczny obraz i dźwięk były mi aż za dobrze znane. Oczywiście większości z nich narkotyki nie służyły, lecz niewielu narkomanów wydawało się zważać na te poważne ostrzeżenia, zupełnie tak samo, jak ja kiedyś w czasie praktykowania Jogi.

— Nie potrzebowałem narkotyków, by mieć wizje innych światów i nieziemskich istot, by widzieć w podświadomości kolory i czuć jedność ze wszechświatem oraz to, że jestem Bogiem — opowiadałem im. — Osiągałem to wszystko przez medytację transcendentalną. Było to jednak

kłamstwem, podstępem ze strony złych duchów, które opanowywały mój umysł, kiedy traćitem nad nim kontrolę. Jesteście oszukiwani. Jedyna droga odnalezienia pokoju i spełnienia, do którego dążycie, wiedzie przez Chrystusa. — Fakt, że rozumiałem, o czym mówią oraz to, że doświadczyłem tego wszystkiego bez użycia narkotyków, sprawiał, iż wielu tych narkomanów traktowało moje słowa poważnie.

Czasami odwiedzałem pewnego zaprzyjaźnionego narkomana w jego mieszkaniu i rozmawiałem z nim o Chrystusie. Kiedy przyszedłem do niego pewnego dnia, zastałem drzwi uchylone. Gdy nikt nie odpowiedział na moje uporczywe pukanie, wszedłem do środka. Z głośnika rozlegała się hałaśliwa muzyka rockowa, a w pokoju migotały różnobarwne światła. Mój przyjaciel znajdował się na środku podłogi, wijąc się dokoła i wykonując dziwaczne (lecz dobrze mi znane) ruchy ramionami i ciałem.

— Pat! — zawołałem. On jednak wydawał się nie dostrzegać mojej obecności, zupełnie tak, jak to było prawie przez osiem lat w przypadku mojego ojca.

— Pat! — wołałem głośno od czasu do czasu, lecz nie mogłem zwrócić na siebie jego uwagi. Odbywał narkotyczną podróż do innego świata, zupełnie tak jak niegdyś ja przy pomocy Jogi.

Gdy wróciłem do mego pokoju, upadłem na kolana i zacząłem wołać do Boga o pomoc dla mojego przyjaciela. Wielkie wzburzenie wywołał u mnie fakt, że wykonywane przez niego ruchy były identyczne jak te, które wykonywały dziewczęta, tańcząc w hinduskich świątyniach. Właściwie Pat zainteresował się hinduizmem właśnie przez swoje narkotyczne doświadczenia. Bardzo smuciło mnie to, że sprzedawał swoją duszę i rujnował ciało przezyciami, o których wiedziałem, że pochodzą od demonów.

Inny młody narkoman często odwiedzał niektórych mieszkańców w kamienicy wuja Kumara, gdzie i ja mieszkiałem. Uwielbiałem słuchać tego błyskotliwego absolwenta uniwersytetu w Cambridge, muzycznego geniusza, jak grał utwory klasyczne na pianinie stojącym u wuja na korytarzu. Przeprowadziliśmy ze sobą kilka długich i poważnych dyskusji. Mimo że Michael nigdy nie zajmował się studiami nad hinduizmem i nie miał żadnego kontaktu z Hindusami — specjalnie go o to zapytałem — jego poglądy na Boga, wszechświat i ludzką egzystencję były identyczne jak te, które ja wyznawałem będąc Jogiem. Byłem zaskoczony, kiedy stwierdziłem, że to dzięki swoim doświadczeniom z narkotykami został przeciągnięty na stronę filozofii hinduskiej!

Powodowany głęboką troską o narkomanów zacząłem spędzać z nimi coraz więcej czasu. Poważnie zastanawiałem się nad faktem, że tak wielu narkomanów — chociaż jednak nie wszyscy — miało te same przeżycia, co Jogowie: to, co jedni osiągnęli przez narkotyki, drudzy osiągnęli przez wschodnią medytację. Dowiedziałem się, że narkotyki wywołują odmienne stany świadomości podobne do tych, których doświadczą się w medytacji. Umożliwia to demonom manipulowanie neuronami w mózgu i wywoływanie wszelkiego rodzaju prawdziwych na pozór przeżyć, które w rzeczywistości są zwodniczymi sztuczkami oszukującymi umysł. Te same złe duchy, które w celu zdobycia nade mną kontroli wprowadzały mnie w coraz głębsze poziomy medytacji, stały bez wątpienia za tymi ruchami, wykorzystując je dla tych samych diabelskich celów. Zacząłem dostrzegać, że identyczna szatańska strategia kryje się za narkotykami, medytacją, wolną miłością oraz buntem młodych, znajdującym swój wyraz w ruchu hippisów i ruchu, który w tych czasach właśnie się rodził i manifestował w pewnych rodzajach muzyki zespołów takich jak The Beatles czy The Rolling Stones. Pamiętam jeden koncert Rolling Stones'ów w Hyde Parku, który odbył się po śmierci Bryana Jonesa na skutek przedawkowania narkotyków i zgromadził około 250 tysięcy ludzi. Muzyka narkotyzowała ich tak samo jak haszysz czy LSD. Najbardziej ze wszystkiego zaskoczyło mnie odkrycie, że filozofią kryjącą się za tą całą kontrkulturą narkotyków, buntu i muzyki rockowej był w zasadzie hinduizm: te same kłamstwa o jedności wszelkiego życia, o wegetarianizmie, ewolucji zmierzającej w kierunku jedności ze wszechświatem oraz o postępowaniu według własnego uznania.\* Odkryłem, że młodzi ludzie zwracający się tysiącami ku narkotynom, oddają się przy tym również medytacji transcendentalnej oraz różnym innym formom Jogi. Cały ich sposób myślenia przyćmiony był przez wschodni mistycyzm. Prawie wszyscy akceptowali reinkarnację, co siłą rzeczy kładło kres wierze w zmartwychwstanie Chrystusa; te dwie rzeczy były sobie absolutnie przeciwne. Stopniowo i z rosnącym poczuciem zagrożenia zdobywałem przekonanie, że Szatan opracowuje plan inwazji Zachodu przez wschodni mistycyzm. Widziałem, że niewielu chrześcijan zdaje sobie sprawę z jego zakusów i jest gotowych, by z nim walczyć. Czy to możliwe, by Bóg

---

\*Hinduizm naucza, że dharma — czy też zasady postępowania, różnią się w przypadku każdego człowieka i muszą być odkryte indywidualnie; nie ma żadnego kodu moralnego obowiązującego wszystkich. Kriszna uczył, że można obrać dowolną drogę — to znaczy postępować według własnego uznania — i jednak dotrzeć do niego.

przygotowywał mnie, byłego Hindusa, bym przekazał ostrzeżenie milionom mieszkańców Zachodu skłaniającym się ku wschodniej filozofii, o której wiedziałem, że jest fałszywa? Zacząłem żarliwie modlić się w tej sprawie.

Nietrudno było dostrzec, że Bóg ma jakieś plany w stosunku do mnie, nawet jeśli nie rozumiałem jeszcze tego nowego kierunku, w którym wkrótce miał mnie poprowadzić. Cudownie było przekonywać się wielokrotnie, że Bóg dba o zaspokojenie moich potrzeb, że chroni mnie i nieomylnie prowadzi. Pierwsze chrześcijańskie kazanie, jakie usłyszałem w swoim życiu, mówiło o Dobrym Pasterzu z Psalmu 23; wydawało mi się teraz, że Bóg zdecydował się pokazać mi, iż jestem jedną z Jego owiec znajdujących się pod Jego opieką.

Pewnego ranka musiałem pojechać do szkoły na egzaminy, lecz nie miałem pieniędzy na autobus i na metro. Pomodliwszy się w tej intencji (tak jak modliłem się o wszystko), poszedłem jak zwykle na przystanek i stanąłem w kolejce. Tuż przed przyjazdem autobusu podeszła do mnie jakaś kobieta i wcisnęła mi do ręki banknot pięćofun-towy, nalegając, bym go przyjął. Okazało się, że kilka tygodni wcześniej zdobyłem dla Chrystusa jej męża i była mi za to bardzo wdzięczna. Nie dałem jej jednak żadnych podstaw, by mogła sądzić, że potrzebuję pieniędzy. Tylko Pan mógł jej o tym powiedzieć i sprowadzić ją tam właśnie w tym czasie.

Innego dnia, kiedy wychodziłem rano do szkoły, poczułem, że muszę wrócić do mojego pokoju i pomodlić się o bezpieczeństwo, co też uczyniłem. Nieco później, w kolejce na przystanku autobusowym poczułem nagle, że powinienem wsiąść do autobusu numer 6, do którego właśnie wsiadano, chociaż mój autobus — numer 52, był tylko kilka metrów za nim. Nie rozumiejąc dlaczego, wskoczyłem do środka. Zaledwie autobus odjechał od krawężnika, usłyszałem z tyłu przejmujący pisk opon. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, jak jakiś samochód uderza w kolejkę oczekujących, którą właśnie opuściłem. Chcąc pomóc tym ludziom, wyskoczyłem z autobusu. To było straszne. Mogłem przecież być jednym z tych zabitych lub umierających! Przeżywając straszliwie ich śmierć, byłem jednocześnie wdzięczny Panu za ocalenie mojego życia. Niewątpliwie miał dla mnie jakieś zadanie. Następnego dnia wszystkie gazety pisały o tej tragedii — było siedmiu zabitych i sześć osób ciężko rannych.

Przy każdej nadarzającej się okazji słuchałem w radiu Billy'ego Grahama, stwierdzając, że jego posłannictwo jest dla mnie wyzwaniem i pomocą. Na początku roku 1970 zaczął on mówić o planowanej krucjacie do Dortmundu w Niemczech. Miała ona być transmitowana przez telewizję z ogromnych

stadionów w 39 miastach jedenastu krajów — „od Amsterdamu do Zagrzebia”. Doktor Graham apelował do chrześcijan całej Europy, by zjednoczyli się w tym wielkim wysiłku. Kiedy modliłem się, by Bóg udzielił pomocy tysiącom organizatorów, zacząłem odczuwać coraz głębsze przekonanie, że sama modlitwa nie wystarczy. Czy powinienem rzucić szkołę i udać się do Dortmundu? Wydawało się to niezbyt rozsądne. Byłem właśnie na trzecim roku i z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy zostanę lekarzem.

Opadły mnie wspomnienia z tych pierwszych, niezwykłych dni, kiedy dopiero co stałem się chrześcijaninem. Od samego początku chciałem mówić światu o Chrystusie. Będąc jeszcze w szkole średniej, padłem pewnego razu na kolana i wołałem: „Panie, pozwól mi przekazać ewangelię milionowi ludzi!” Wydawało się to prośbą niemożliwą do spełnienia, ponieważ wtedy nie było tylu ludzi na całym Trynidadzie, a jednak naprawdę wierzyłem, że Bóg mnie wysłucha. Brałem udział w odbywających się w Port of Spain spotkaniach z Oswaldem J. Smithem, pamiętając jego nazwisko z broszurki pozostawionej przy moim łóżku w szpitalu. Ostatniego wieczoru wezwał on wszystkich tych, którzy chcieli poświęcić się całkowicie posłudze chrześcijańskiej i poprosił, by przeszli do kaplicy. Na wezwanie odpowiedziało niewiele osób — zbyt zaawansowanych wiekiem, jak mi się wydawało; nie zostało im wiele lat do ofiarowania Panu.

— Wierzę, że jest tutaj młody człowiek, którego wzywa Bóg — powiedział z przekonaniem doktor Smith. — Bóg chce go użyć, by pozyskać dla Chrystusa tysiące. Poczekamy na niego jeszcze minutę.

Nikt się nie poruszył. „Panie — modliłem się gorąco — nie wiem, czy to ja jestem tym młodym człowiekiem..., lecz chciałbym nim być!” Wstałem z miejsca i przeszedłem do kapliczki. Kiedy doktor Smith modlił się wraz ze mną, czułem rzeczywiście, że zostanę ewangelistą. Byłem jednak wtedy taki młody, a obecnie miałem 22 lata.

Usłyszawszy wezwanie Billy'ego Grahama, przyłączyłem się do modlitw w intencji ogromnej liczby organizatorów, którzy byli potrzebni w przygotowaniu krucjaty do Dortmundu. Podczas gdy byłem zaangażowany w to usilne wstawiennictwo, Pan wydawał się mówić do mnie: „Rabi, twój czas nadszedł!”, a ja odpowiedziałem mu w sercu: „Tak, Panie!”

Decyzja ta miała całkowicie odmienić bieg mojego życia, a mimo to przysłała mi tak szybko i tak łatwo. Nauczyłem się ufać Panu i moje serce było przepelnione pokojem, chociaż nie wiedziałem właściwie, co mnie czeka. Wiedziałem tylko to, że sprawa została rozstrzygnięta raz na zawsze.

Nie było mi dane zostać lekarzem — lecz ból, jaki odczuwałem rezygnując z tego, został zrekompensowany z nawiązką w świadomości, że Dobry Pasterz będzie kierował każdym moim krokiem, chociaż za każdym razem będzie to tylko jeden krok.

Tej samej nocy ponownie miałem identyczny sen jak ten zesłany przez Pana na krótko po nawróceniu. Znajdowałem się na porośniętej bujną trawą łące, a obok mnie stał Jezus. Wziął mnie za rękę i poprowadził mnie na trawiaste wzgórze. Kiedy dotarliśmy na sam szczyt, po drugiej stronie stały tysiące ludzi, wpatrzonych w nas oczekująco. Wskazując na nich, Jezus powiedział do mnie: „Nauczaj!” Budząc się z tego snu, który teraz znów żywo utkwiał w mojej świadomości, poczułem, że otrzymałem potwierdzenie, jakiego potrzebowałem, by podjąć tak ważną decyzję.

— Wierzę, że Bóg chce, abym udał się do Niemiec i pomógł w przygotowaniu spotkań Billy'ego Grahama w Dortmundzie — powiedziałem wujowi Kumarowi trochę później tego samego ranka. — Wyjeżdżam za kilka dni.

— A co z twoją szkołą, Rabi? — zawołał. — Czy zdążysz na czas, by rozpocząć następny semestr?

Jakże mogłem mu powiedzieć, że rezygnuję z zamiaru zostania lekarzem, kiedy on tak entuzjastycznie odnosił się do tego pomysłu?

— Nie jestem pewien — odpowiedziałem, żywiąc nadzieję, że nie będzie zadawał dalszych pytań. Wydawał się usatysfakcjonowany. Wiedziałem, że później łatwiej mi będzie o wszystkim mu powiedzieć. Moje prawdziwe troski wiązały się z duchowym stanem tych, których doprowadziłem w Londynie do Chrystusa. Dla początkujących chrześcijan było to trudne miasto, z licznymi duchowymi pułapkami i pokusami. Nie było mi łatwo opuścić tych nowo nawróconych, którzy wiele dla mnie znaczyli. Wiedziałem jednak, że mogę ufać, iż Pan poprowadzi ich życie drogą wiodącą ku Niemu.

Miał to być wielki krok uczyniony dzięki wierze. Nie byłem w stanie poczynić jakichkolwiek oszczędności z moich skromnych zarobków, które pochodziły z pracy na pół etatu w sklepie obuwniczym przy słynnej Oxford Street, wiedziałem więc, że wszystko jest w rękach Boga. Rozdawszy mój skromny majątek ruchomy, spaliłem za sobą i tak nieliczne mosty. Pożegnałem się z moim wujem, Londynem i karierą, którą miałem tam rozpocząć. Z małą walizką, zawierającą cały mój obecny majątek i pieniędzmi, które mogły mi wystarczyć najwyżej na tydzień, wsiadłem do pociągu do Dortmundu, nie znając ani jednego słowa po niemiecku. Nie

znałem też ani jednej osoby w całych Niemczech. Byłem jak małe dziecko wyruszające w długą podróż i pozostawiające wszystkie przygotowania swojemu ojcu.

Pierwszego ranka w Dortmundzie czułem się oszołomiony, widząc tysiące ludzi mówiących obcym językiem i spieszących gdzieś ulicami miasta. Bóg w swojej łasce zaprowadził mnie prosto do biura Krucjaty Grahama, chociaż wcale nie znałem jego adresu. Przy drzwiach wejściowych zostałem powitany doskonałą angielszczyzną przez uśmiechniętego Niemca, który wyciągnął do mnie rękę, sprawiając wrażenie, jakby właśnie na mnie czekał.

- Dzień dobry! Czy przybywasz aż z Indii?
- W tej chwili właśnie z Londynu — odpowiedziałem uszczęśliwiony
- chociaż faktycznie pochodzę z Indii Wschodnich — z Trynidadu.
- Gdzie się zatrzymałeś?
- Ostatnią noc spędziłem w hotelu...
- Och, nie możesz na to pozwolić! Znajdziemy ci jakąś kwatere. A tymczasem za chwilę zjemy dobry, gorący lunch.

„Kwata” okazała się pięknym domem, położonym blisko dużego kościoła, Marienkirche. Moi gospodarze — państwo Klitschke — byli niesłychanie gościnni. Wkrótce zapomniałem, że jestem cudzoziemcem w obcym kraju.

Powitanie Billy'ego Grahama, na którym obecni byli działacze chrześcijańscy z całej Europy, odbyło się w hali obok domu państwa Klitschke. Byłem wdzięczny za to, że i ja mogłem w nim wziąć udział. Pośród tych wszystkich dobrze ubranych i przystojnych Niemców czułem się nieco obco i nie na miejscu w moim jedynym garniturze — tanim, wyblakłym ubraniu koloru brązowego, nadającym się na warunki tropikalne, a kupionym przed laty w Trynidadzie. Jednakże pomimo mojego wyglądu już sam fakt, że byłem pierwszym eks-Hindusem, jakiego większość z nich spotkała, uczynił ze mnie w jednej chwili znakomitość. Otrzymałem wiele zaproszeń do kościołów w całej Europie, gdzie miałem głosić Słowo Boże i opowiadać o tym, jak doszedłem do Chrystusa. Wszystko to było niezwykłym przeżyciem dla wiejskiego chłopca z niewielkiego Trynidadu, szczególnie kiedy dr von Stieglitz — jeden z organizatorów spotkań dortmundzkich, przedstawił mnie Billy'emu Grahamowi.

Wiedząc o tym, że Graham zwiastował na wszystkich kontynentach i przemawiał do wielu tysięcy ludzi więcej niż jakikolwiek ewangelista w historii, że głosił ewangelię w Białym Domu i był przyjacielem prezydentów

oraz głów państwa, mogłem niemalże spodziewać się, że okaże się napuszony, dumny i nieprzystępny. Zobaczyłem jednak, że jest wręcz przeciwnie. Był pełen ciepła oraz niezwyklej pokory. Okazał mi prawdziwe zainteresowanie, pytając kim jestem, skąd pochodzę i czym się zajmuję. Był człowiekiem wysokim i przystojnym. W pewnej chwili pochylił się, by spojrzeć mi w twarz swymi czystymi niebieskimi oczyma.

— Rabi, głosiłem ewangelię w twoim kraju, kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem — rzekł do mnie wielki ewangelista.

Słowa te rozbrzmiewały w moim umyśle przez wiele dni. Ten człowiek głosił ewangelię w moim kraju i pośrednio dzięki temu byłem teraz chrześcijaninem. Jedna z nawróconych przez niego osób przyprowadziła Molly do Chrystusa, a z kolei Molly była tą, która zapoznała mnie z ewangelią i rzuciła mi jej wyzwanie. Billy Graham zwiastował również w Indiach, doprowadzając wielu moich rodaków do Chrystusa i nadal głosił Dobrą Nowinę na całym świecie. Czy to możliwe, że i ja w łasce Bożej będę mógł pewnego dnia głosić Dobrą Nowinę o miłości Chrystusa w wielu krajach, a szczególnie w Indiach? Wydawało mi się, że to zbyt wiele, bym mógł na to liczyć.

Podobnie jak w Londynie, tak i w Dortmundzie przekonałem się, że w szczególny sposób udaje mi się zbliżyć do hippisów zażywających narkotyki, natomiast oni lgnęli do mnie. Wielu z nich przychodziło z pytaniami dotyczącymi sensu życia i istnienia Boga, sądząc najwidoczniej, że dzięki moim doświadczeniom z hinduizmem będę w stanie im pomóc. Z ich ust słyszałem nowe dowody na to, że LSD było często biletem na podróż po rejonach wschodniego mistycyzmu. Podobnie jak narkomani spotykani przeze mnie w Anglii, młodzi ludzie, których spotykałem w Niemczech, również przyjmowali hinduistyczną filozofię życia. Mimo to zdawali sobie sprawę, że nie odpowiada ona na ich najszybsze pytania i dlatego prosili mnie o pomoc w odnalezieniu prawdy.

Dzięki moim własnym doświadczeniom z medytacją mogłem kompetentnie przemawiać do narkomanów.

Zacząłem jednak odczuwać potrzebę dobrego przygotowania teologicznego. Zawsze byłem przeciwnikiem seminariów, gdyż uważałem, że traktują one Biblię jak podręcznik. Ja natomiast wiedziałem, że jest ona Słowem Bożym, które może być objawione tylko przez Ducha Świętego. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że potrzebuję jakiegoś systematycznego kursu — studiów biblijnych i zacząłem prosić Boga o przewodnictwo w tej sprawie.

Nauki Billy'ego Grahama były wyzywające, inspirujące i dynamiczne. Były proste i na temat — każdy mógł zrozumieć wszystko, co mówił. Jego nauki były również pełne mocy. W środku swego pierwszego kazania wygłoszonego pierwszego wieczoru spotkań Billy Graham powiedział nagle:

— Chciałbym namówić wielu z was młodzi ludzie, abyście poszli do dobrej szkoły biblijnej. Zdobądźcie solidne podstawy, które przygotowują was do dzieła, do którego powołuje was Bóg.

Słowa te, tak jakby skierowane wprost do mnie, przeszły moje serce jak strzała. Siedząc tam powtórnie oddałem moje życie Panu. Później klęcząc w moim pokoju, modliłem się: „Panie, weź mnie i użyj mnie. Nie mogę odwdziżyć Ci się za moje zbawienie, lecz chcę Ci służyć. Przygotuj mnie, bym dokonał czegoś wartościowego, co mogłoby doprowadzić tysiące ludzi do wieczności. Wykorzystaj mnie w największym możliwym stopniu”. W czasie modlitwy została mi wyraźnie objawiona nazwa „London Bible College” i byłem przekonany, że Bóg chce, bym wstąpił do tej szkoły. Następnego dnia napisałem tam, prosząc o przysłanie mi formularza zgłoszenia.

W czasie mojego pobytu w Dortmundzie wielokrotnie słyszałem o pewnym młodym studencie z Brake Bible School w północnych Niemczech. Wszyscy mówili mi, że muszę go poznać. „Obaj macie tę samą wizję działania i energię”, powtarzano. Heinz Strupler słyszał te same rzeczy o mnie. W końcu spotkaliśmy się, lecz żaden z nas nie znał języka drugiego, tak więc spędziliśmy tym razem wspólnie tylko kilka krótkich minut. Nie wiedzieliśmy o tym, że w nadchodzących latach Bóg zamierzał połączyć nas ściśle ze sobą w służbie Panu. Bylibyśmy zdziwieni, gdybyśmy dowiedzieli się, gdzie i jak nasze ścieżki wkrótce znów się skrzyżują.

# Umierając żyjemy

Podróżując przez Szwajcarię i Austrię i odwiedzając spotkanych w Dortmundzie przyjaciół odkryłem, że otacza mnie piękno dalece przewyższające wszelkie moje dotychczasowe wyobrażenia. Była wiosna. Na niższych wysokościach drzewa wypuszczały świeże pąki, a trawa robiła się zielona. Przeróżne kwiaty o soczystych barwach, jakich nigdy jeszcze nie widziałem, prezentowały swoje kolory wokół jezior i w parkach. A ponad tym kiełkującym, kwitnącym i rozśpiewanym rajem górowały w swoim spokojnym majestacie wszechobecne Alpy, ciągle jeszcze spowite lodowym całunem zimy, co sprawiało, że wiosna wydawała się jeszcze słodsza. Przepelniony wdzięcznością do Boga, Stwórcy i Największego Artysty, odczuwałem czasami potrzebę głośnego zmanifestowania mojej niewysłowionej radości, jaka ogarniała mnie wobec niektórych podziwianych widoków.

Znalazłem się w Zurychu, dokąd sprowadziły mnie opowieści o wielu narkomanach, którzy uczynili z tego miasta swoją Mekkę. Tam odszukałem pewien adres, otrzymany jeszcze w Dortmundzie. Okazało się, że jest to dom starców, gdzie w piwnicy spotykali się hippisi. Kiedy się tam znalazłem, pewien starszy, lecz bardzo energiczny mężczyzna prowadził właśnie w języku niemieckim dyskusję na temat Biblii. Po zakończonym spotkaniu powitał mnie po angielsku jakiś młody człowiek.

— Jestem Martin Heddinger — powiedział z przyjaznym uśmiechem na twarzy, patrząc na moją walizkę. — Mam nadzieję, że nie znalazłeś sobie jeszcze miejsca pobytu, ponieważ chciałbym, abys zatrzymał się w moim domu rodzinnym.

— A co powiedzą na to twoi rodzice? — spytałem.

— Zadzwońię do nich i powiem, że przyjdiesz. Będą zachwyceni i z pewnością będziesz mógł u nas zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

Heddingerowie okazali się równie mili i gościnni jak państwo Klitschke. Powitali mnie w sposób niezwykle entuzjastyczny — mnie, zupełnie obcego człowieka z dalekiego kraju! Odczuwałem emanującą z ich serc prawdziwą miłość Chrystusa i wkrótce, podobnie jak Martin, nazywałem ich Mamą i Tatą. Oni z kolei traktowali mnie jak syna.

Około dwa tygodnie po moim przybyciu do Zurychu zjechał do miasta Heinz Strupler wraz z czterema innymi studentami Brake Bibie School oraz

ze swoją narzeczoną, Annalies. Również i oni przyjechali do Zurychu, by pracować wśród hippisów. Jakże uradowało mnie odkrycie, że Heinz dzielił moją troskę o tych młodych ludzi, wciąganych przez narkotyki we wschodni mistycyzm. Pragnął on również zajmować się rekrutowaniem młodych chrześcijan do pracy ewangelizacyjnej w świecie — co także było jedną z moich trosk.

— Kiedy byłem w szkole biblijnej, zawsze latem pracowałem w ramach Operacji Mobilizacja — powiedział mi Heinz za pośrednictwem tłumacza, żywo gestykulując. — Skupiają oni młodych ludzi na całym świecie. Ich zadanie polega na zwiastowaniu na ulicach, sprzedawaniu Biblii i książek chrześcijańskich po domach oraz pomaganiu lokalnym Kościołom w ewangelizacji własnego kraju. Teraz, kiedy już ukończyłem szkołę, chcę temu poświęcić moje życie.

— Jest to zadanie dla wszystkich! — dodał grzmiącym głosem, którego używał, kiedy był podniecony, czyli — jak się wkrótce przekonałem prawie przez cały czas. Mimo że miał spore poczucie humoru i zdarzało się, że nagle wybuchał śmiechem, jego twarz zawsze powracała szybko do swego zwykłego poważnego wyrazu, który w jakiś sposób wydawał się pasować do jego rozwichrzonych jasnych włosów i krótko przystrzyżonej brody. Nieczęsto zdarzało mi się spotkać kogoś tak bardzo tryskającego entuzjazmem i płomienną miłością do Chrystusa.

— Nie zawsze byłem taki — powiedział Heinz. — Wiesz, jacy są Szwajcarzy. Dość trudno jest nas rozruszać. Kiedy jednak kilka lat temu stałem się chrześcijaninem, Chrystus odmienił mnie całkowicie i chcę, by cały świat dowiedział się, czego On może dokonać. Tu uderzył pięścią w otwartą dłoń. — Tak, właśnie o to mi chodzi! Musimy przebudzić Kościół właśnie tutaj, w Szwajcarii. Większość ludzi, którzy nazywają siebie chrześcijanami, nigdy nie narodziła się na nowo. Coś ci powiem; to właśnie Europa jest tak naprawdę obszarem misyjnym. W Afryce Kościół jest silniejszy — mają tam o wiele większy odsetek prawdziwych chrześcijan niż w Niemczech, Francji czy Austrii.

Hienz był wspaniałym organizatorem, człowiekiem czynu, który chciał, by zadania były wykonywane na wczoraj, a nie na jutro. Nie był jednak tym, który opiera się na ludzkiej sile i gorliwości, nie wiedząc, jaka jest wola Boża i nie zdając się na moc Ducha Świętego. Cała nasza siódemka spędziła tydzień na modlitwach i poście, szukając Bożego przewodnictwa. Pod koniec tego okresu byliśmy przekonani, że Pan pragnie, abyśmy rozpoczęli energiczną i ofensywną działalność w tych kręgach społeczeństwa, które na

ogół były ignorowane przez Kościół w Zurychu. Wszyscy zgadzaliśmy się co do tego, że musimy podporządkować się Operacji Mobilizacja i działać jako jeden z jej zespołów. Jedynymi środkami, jakimi dysponowaliśmy na początku (oprócz miłości, którą Chrystus wlał w nasze serca) była niewielka suma pieniędzy, pochodząca z naszego kieszonkowego oraz rozpadająca się Simca, należąca do Annalies. Dziewczyna ta była oddana Chrystusowi zupełnie jak Heinz.

Wkrótce przekonaliśmy się, że niełatwo jest rekrutować chrześcijan, starych czy młodych, do pracy w ramach Operacji Mobilizacja. Niewielu ludzi miało zamiar opuszczać swoje wygodne, komfortowe domy i porzucać dobrze płatne stanowiska. O wiele łatwiej było przekonać byłego narkomana lub nawróconą prostytutkę, by stali się prawdziwymi uczniami Chrystusa niż rozbudzić kogoś wychowanego w tradycji kościelnej. Właściwie na samym początku mieliśmy nawet kłopoty z dostaniem się do Zborów. Niektórzy z pastorów sądzili nawet, że-chcemy ukraść im młodzież, ponieważ wielu z tych, którzy mieli z nami kontakty, wstąpiło do szkół biblijnych lub podjęło działalność. Niemniej jednak większość pastorów chciała, abym krótko opowiadał na ich zgromadzeniach o tym, jak zwróciłem się od hinduizmu ku Chrystusowi — niewielu chrześcijan chciało jednak dawać posłuch czemukolwiek, co byłoby wyzwaniem dla ich łatwego życia. A moja opowieść zawsze działała w taki właśnie sposób.

Od samego początku mojego pobytu w Zurychu pracowałem dzień i noc. W ciągu dnia dwoje lub troje z nas chodziło do barów i melin, gdzie zbierali się hippisi, próbując przekonać tych młodych ludzi, by porzucili alkohol, narkotyki i niemoralność. Dzieliłiśmy się z nimi dobrą nowiną o tym, że Chrystus da im potrzebne do tego siły, o ile tylko Go przyjmą. W niedługim czasie mieliśmy kontakty w środowiskach prostytutek, homoseksualistów i przestępców, ponieważ narkomani często oddawali się tego rodzaju działalności, by zdobyć środki na podtrzymanie swojego nałogu. Ogromną radością był dla nas widok zrujnowanych ludzi przekształconych mocą Bożego Ducha Świętego!

Każdego wieczoru, kiedy część młodych ludzi spotkanych przez nas na ulicach zgromadziła się w naszej piwnicy, opowiadałem im, w jaki sposób i dlaczego stałem się chrześcijaninem. Dzieliłem się z nimi także prostym przesłaniem ewangelii. Moim tłumaczem był Martin Hedding. Po skończonym spotkaniu odsuwaliśmy czasami stoły pod ściany i pozwalaliśmy, by hippisi ułożyli się na podłodze, gdyż wielu z nich nie miało gdzie spać. Często spędzałem tam noce, czasami w towarzystwie więcej niż

30 takich osób. Było to straszne przeżycie — mieszanina potwornego smrodu (niektórzy nie kapali się od miesięcy) i szaleństwa, gdy ktoś nagle dostawał nawrotu ataku spowodowanego przez LSD i tracił nad sobą wszelką kontrolę.

Dla wielu tych młodych ludzi Zurych był tylko krótkim przystankiem na narkotykowym szlaku, wiodącym przez Turcję, Iran, Afganistan, Pakistan ku przepięknym plażom Goa na zachodnim wybrzeżu Indii. Niektórzy mieli nadzieję zatrzymać się w jakiejś hinduskiej świątyni i pobierać nauki pod przewodnictwem guru; inni skłaniali się ku Zen lub innym formom buddyizmu. Jednakże końcowy efekt był ten sam: wiara w reinkarnację i zdominowanie ich umysłów przez złe duchy. Wielu miało już nigdy nie powrócić ze swej Odysei i umrzeć z przedawkowania i różnorodnych chorób już po drodze. Raj, który chcieli znaleźć w Indiach, miał okazać się bramą do samego piekła!

Czułem ciężącą na mnie ogromną odpowiedzialność, kiedy tak co wieczór opowiadałem im o tym, jak Bóg wyzwolił mnie ze szponów tego samego szatańskiego oszustwa, któremu oni się teraz poddawali. Jak bardzo starałem się przekonać ich, by otworzyli swoje serca przed Chrystusem! Niektórzy odpowiadali na moje wezwania, inni nie. Wszyscy jednak wydawali się zafascynowani, słuchając o tym, jak i dlaczego religijny Hindus stał się wyznawcą Jezusa — Mesjasza. Spędzałem całe dni i noce na rozmowach z różnymi ludźmi, przytaczając argumenty oparte na Biblii i na naszych wspólnych doświadczeniach, próbując wyjaśnić im, że narkotyki i medytacja otwierają tylko złym duchom dostęp do ich umysłów; najpiękniejsze przeżycia osiągnane przez nich dzięki LSD lub medytacji były tylko sztuczkami demonów, wabiących ich jeszcze głębiej. Niełatwo jednak było przekonać tych, którzy byli już w szponach tego sprytnego oszustwa.

Wiele było sytuacji, które rozdzierały wprost serce. Nigdy nie zapomnę Petera, inteligentnego chłopca z bogatej rodziny, który nienawidził swojego ojca i chciał go zabić, ponieważ ten troszczył się tylko o swoje przedsiębiorstwo, sukces, domy, samochody i przyjemności. Peter wiedział, że życie to coś więcej, lecz nie chciał porzucić narkotyków i niemoralnego trybu życia, podobnie jak jego ojciec nie chciał zrezygnować z materializmu. Początkowo twierdził, że jest ateistą, lecz w końcu niepodważalne dowody przekonały go, że Bóg istnieje i że Jezus jest Zbawicielem. Nadal jednak zawsze wycofywał się, kiedy dochodził do prawdziwego związania się z Chrystusem. Rozmawiałem z Peterem przez wiele długich godzin, próbując przekonać go, by przyjął Chrystusa.

Pewnego wieczoru błagałem go, by nie zwlekał już ani chwili dłużej.

— Peter, te wszystkie twoje intelektualne argumenty to tylko wymówka — powiedziałem. — Twój problem nie jest natury intelektualnej, lecz moralnej. Znasz prawdę i musisz podjąć decyzję, czy żyć według tej prawdy czy też nie. Ja nie mogę za ciebie zdecydować. W tej chwili, bez Chrystusa, twoje życie nie ma żadnego celu czy sensu. Musisz się zdecydować, czy pójść do szkoły czy nie, czy podjąć jakąś pracę, czy brać narkotyki, czy kochać, czy też nienawidzić... musisz także zdecydować, czy przyjąć Chrystusa, czy też Go odrzucić. Wybór jest następujący: Chrystus albo Szatan, życie wieczne lub wieczna śmierć. Jest to decyzja, której nie da się uniknąć. Nie istnieje żadna strefa neutralna, ale to ty musisz zdecydować.

Następnego dnia Peter przyłożył sobie do głowy pistolet i popełnił samobójstwo. Wiadomość ta była dla mnie prawie nie do zniesienia. Czy zabił się z powodu tego, co powiedziałem? Czy moje podejście do niego było nieprawidłowe? Może powinienem zaprzestać pracy z tymi młodymi narkomanami? Jakże mógłbym ją kontynuować, wiedząc, że może się to powtórzyć? Byłem tak wytrącony z równowagi i zniechęcony, że przez wiele dni nie mogłem wcale zwiastować. Przeżywałem straszne męczarnie, dręczony dzień i noc myślami o samobójstwie Petera oraz dopuszczeniem możliwości, że w jakiś sposób je sprowokowałem. Stopniowo jednak, po długich modlitwach, Pan uświadomił mi, że oferowałem Peterowi życie a nie śmierć. Każdy, kto odrzucał Chrystusa, wybierał śmierć, nawet bez konieczności przystawienia sobie pistoletu do głowy. Wielu ludzi niszczyło swoje życie przez narkotyki, alkohol i perwersje seksualne, wielu jednak wybierało nowe życie w Chrystusie. Nikomu nie pomogłoby, gdybym zachował milczenie lub dawał powody do fałszywych wniosków, że decyzja, którą należało podjąć nie była ważna i pilna.

Ból w dalszym ciągu przenikał moje serce na wspomnienie Petera. Odbicie jego udreżonej twarzy widziałem w twarzach wielu innych. Miałem napawające mnie strachem poczucie, że te biedne dusze opanowane są przez niezwykle trudne do przewyciężenia zło. Byłem pewien, że Peter został nakłoniony do samozniszczenia przez demony, podobne do tych, które nawiedzały nasz dom i władały moim własnym życiem. Oddał się im we władanie w chwili, kiedy odrzucił Chrystusa. Codziennie stykałem się z dowodami na to, że poprzez narkotyki i wschodni mistycyzm działały moce szatańskie.

Pewnego dnia, późnym wieczorem stałem z dwoma moimi przyjaciółmi przed piwnicą, miejscem naszych spotkań. Tej nocy była ona pusta; nikt w niej nie spał. Próbowaliśmy właśnie uspokoić młodego narkomana imieniem

Raymond, który już dwukrotnie tego wieczoru targał się na swoje życie i wydawał się zupełnie nad sobą nie panować. Trzy tygodnie wcześniej gorąco namawiałem go, by porzucił narkotyki i przyjął Chrystusa. Wyśmiał mnie wtedy. Teraz, kiedy tak rozmawialiśmy we czwórkę, Raymond nagle wciągnął mnie do piwnicy i zanim zorientowałem się, co się dzieje, zaryglował za nami drzwi. Był ode mnie o wiele większy i silniejszy, więc fizycznie nie byłem w stanie mu się przeciwstawić i powstrzymać go. Kiedy znaleźliśmy się w środku za zaryglowanymi drzwiami, zaczął mnie dusić. Nie czułem nic, kiedy ścisnął mi gardło z całą swoją szaleńczą siłą. Zbity z tropu tym niezwykłym faktem, cofnął się na chwilę. Rzuciłem się w stronę drzwi, by je odryglować, lecz Raymond skoczył na mnie jak tygrys.

— Jestem Szatanem! — krzyczał dziko. — Szatan jest we mnie! — Rzucił mnie o drzwi i zaczął rozglądać się za jakąś bronią. Podniósłszy ciężką, dużą butelkę napelnioną owocowym syropem do przygotowywania napojów, zbliżył się do mnie, krzycząc: — Jestem Szatanem! Nie ruszaj się, bo roztrzaskam ci tą butelką twarz! — Uniósł butelkę nad głową, gotów rzucić nią we mnie.

Nie miałem żadnych wątpliwości co do tego, że Raymond był opętany przez demony, które weszły do jego wnętrza w czasie narkotycznego transu, zupełnie tak samo, jak ja byłem we władaniu złych duchów, które dały mi kiedyś nadludzka siłę do uderzenia w głowę ciotki ciężką sztanga zupełnie tak, jakby była kawałkiem drewna. Fizyczna siła prezentowana w tej chwili przez Raymonda była przerażająca. Ja jednak wiedziałem, że władza złych duchów nade mną została złamana w chwili, kiedy Chrystus wszedł do mego serca.

— Jeśli jesteś Szatanem — odpowiedziałem stanowczym głosem — to nie mam zamiaru cię słuchać, ponieważ ja należę do Chrystusa! — Mówiąc to, przesunąłem się o krok w jego kierunku.

Nagle z całej siły rzucił we mnie butelką. Zobaczyłem jak leci ona prosto na mnie i w duchu zawołałem do Jezusa o pomoc. Nie było nawet dość czasu na to, by się schylić. W jednej chwili butelka miała prawie rozbić się o moją twarz, a w następnej uderzyła w drzwi tuż za mną. Poczulem podmuch i zobaczyłem jak zbacza z kursu tak, jakby jej lot został odchyłony przez jakąś niewidzialną tarczę.

— Raymondzie, Jezus kocha cię i chce ci pomóc — powiedziałem, powoli zbliżając się do niego. — Jezus jest Zwycięzcą. W imię Pana Jezusa Chrystusa żądam dla ciebie uwolnienia!

Przebywające w nim demony nie mogły znieść brzmienia imienia Jezus. Raymond zasłonił sobie dłońmi uszy i zaczął biegać dokoła piwnicy wołając: „Nie! Nie!”. Mogłem teraz odsunąć rygiel i wpuścić do środka moich dwóch przyjaciół. W chwili, kiedy wchodzili do wnętrza, Raymond podniósł w górę krzesło i zamierzył się nim, chcąc rozbić mi czaszkę.

— W imię Jezusa, rzuć to krzesło! — rozkazałem. Krzesło upadło na podłogę za nim. Był teraz zupełnie oszalały. Podniósł z podłogi ciężki przenośny piecyk i właśnie ponownie mierzył w moją głowę, kiedy znów powiedziałem:

— W imię Jezusa, zostaw to! — Piecyk wypadł mu z rąk. Zaczęliśmy żarliwie się modlić, prosząc, by Bóg pojmał duchy, które opanowały Raymonda i wypędził je z niego. Raymond uciekł do jednego z kątów i skulił się tam jak zwierzę, wydając dziwne odgłosy. Nadal z żarem i wiarą modliliśmy się w imię Jezusa Chrystusa naszego Pana. Nagle Raymond zawołał:

— Wyszła ze mnie jakaś ciemność! Ale jest jeszcze druga! — Padł na kolana i również zaczął się modlić.

Przez cały czas domagaliśmy się zwycięstwa nad duchami w imię Pana Jezusa Chrystusa. W końcu Raymond wykrzyknął:

— Wyszedł ze mnie! Wyszedł ze mnie! — Zaczął łkać jak dziecko. — Proszę, wybac mi, Panie — wołał przez łzy — za narkotyki, które brałem i za życie homoseksualisty, jakie prowadziłem! — Najwyraźniej pieniądze na narkotyki zdobywał dzięki stosunkom homoseksualnym. Przez łaskę Bożą Raymond stał się nowym człowiekiem.

Stosowane przez nas metody szokowały chrześcijan w Zurychu.

— Ewangelisci mówią, że grunt tutaj jest zbyt twardy — przypomniał nam pewnego dnia Heinz z błyskiem w oku. — Wolne kościoły natomiast twierdzą, że nie da się pozyskać dla Chrystusa tych hippisów, narkomanów, homoseksualistów i prostytutek. A katolicy twierdzą, że to nie jest konieczne — jeśli zostali ochrzczeni jako dzieci i bierzmowani, to w ostatecznym rozrachunku wszystko będzie w porządku. Ha! — Zaśmiał się krótko. — Nam jednak Bóg powiedział, abyśmy wychodzili na ulice i zdobywali ich dla Chrystusa. Oni utrzymują, że nie da się tego zrobić. Nikt poza Armią Zbawienia nie próbuje tego tutaj. Zobaczmy, czego Bóg może dokonać.

Codziennie otrzymywaliśmy nowe dowody na to, że „z Bogiem wszystko jest możliwe”. Czasami, na placu przed dworcem, u zbiegu czterech ulic, zwiastowaliśmy do tłumów ludzi liczących często setki. Wspaniale było widzieć w czasie tych spotkań, jak nieruchawi Szwajcarzy podchodzą do nas

usłyszawszy zaproszenie do przyjęcia Chrystusa. Wiedzieliśmy, że to nie zasługa naszej żarliwości, uzdolnień czy determinacji, lecz działanie Ducha Świętego. Wydawało się, że jesteśmy tylko obserwatorami i świadkami tego, jak rewolucja nabiera rozpędu. Pewien zatwardziały hippis, który został odmieniony przez Chrystusa i uwolniony od narkotyków, okazał nam swoją wdzięczność dając nam swego starego Volkswagena. Robił on tyle hałasu, że nazwaliśmy go „Grzmot”, lecz był niezwykle pomocny w naszej pracy.

Kiedy jeden z przywódców miejscowych hippisów i narkomanów przyjął Chrystusa i został ochrzczony w jeziorze, zaczął o tym mówić cały Zurych. W miarę jak wiadomość ta rozprzestrzeniała się po mieście, zaczęli do nas przychodzić młodzi ludzie z różnych kościołów; jedni czynili to z ciekawości, inni oferowali nam swoją pomoc. Pewna młoda kobieta, do której trafiło wezwanie do służby, ofiarowała nam wszystkie swoje oszczędności, które wykorzystaliśmy na zakup używanego mikrobusu marki volkswagen. Ci, których wiara chrześcijańska nie była prawdziwa i osobista, dawali się często wciągać przez hippisów w ich sposób życia: narkotyki, mistycyzm, seksualną rozwiązłość i perwersję. Jakże wyraźnie dostrzegaliśmy prawdziwość słów Pawła, który powiedział: „Przywdziejcie pełną zbroję Bożą... gdyż walczymy nie przeciwko ciału i krwi, lecz przeciwko księstwom, przeciwko mocom, przeciwko władcom ciemności tego świata”.

Znaleźliśmy się w samym środku tej walki; toczyliśmy ją dzień i noc i widzieliśmy wiele na pozór beznadziejnych przypadków — ludzi, którzy prawdziwie byli opanowani przez moce ciemności, lecz zostawali uwolnieni i przekształceni mocą Chrystusa. Nikt, kto otworzył przed Nim swoje serce, nie był pozostawiony w niewoli nałogów i perwersji, które przez lata panowały nad jego życiem. Teologiczne spory toczone między liberałami i teologami ewangelicznymi były bezsensowne. My w codziennym życiu widzieliśmy liczne dowody na to, że Jezus Chrystus rzeczywiście jest jedyną drogą. Ludziom, którzy potrzebowali całkowitego oswobodzenia, nic innego nie mogło pomóc.

Kiedy owego pamiętnego dnia spaliliśmy nasze bożki, zaczynałem rozumieć, że Chrystus umarł nie tylko dlatego, bym mógł uzyskać przebaczenie, lecz także po to, aby mógł odejść stary Rabi i by Bóg mógł dać mi nowe życie. Stopniowo zrozumienie tego faktu stawało się coraz pełniejsze i odczuwałem to coraz bardziej. W Chrystusie umarłem dla wszystkiego tego, czym kiedyś byłem. Przez swoje zmartwychwstanie zaczął On we mnie żyć. To była tajemnica mojego nowego życia i widziałem teraz, jak to samo dzieje się z ludźmi, dla których nie było żadnej innej nadziei.

Z czasem zrozumiałem, że nowe życie przez śmierć — całe nowe stworzenie przez śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa — było motywem przewodnim Biblii od Genesis do Objawienia. Był to wielki plan realizowany przez Boga od chwili upadku Adama i Ewy. Chrystus nie umarł po to tylko, by przywrócić utracony Raj Edenu. Rodzaj ludzki znów by tylko upadł. Chrystus powstał z martwych po to, by żyć w nas, czyniąc z nas nowy rodzaj ludzi dwukrotnie narodzonych, których serca stały się Jego tronem, wprowadzając Swoje królestwo do naszego wnętrza. Przez całe miesiące rozważałem wers 2:20 z Listu do Galacjan: „Z Chrystusem jestem ukrzyżowany; żyję więc już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”. Jakże prawdziwe wydały mi się te słowa!

Pisma takich ludzi jak Andrew Murray, A.W. Tozer i Oswald J. Smith były mi wielką pomocą w pogłębianiu tego zrozumienia. Dzięki ich książkom wyraźniej niż kiedykolwiek dostrzegałem różnicę między wycofaniem się ze świata, jakiego próbowali buddyjscy mnisi i hinduscy Jogowie, a ukrzyżowanym życiem i mocą zmartwychwstania, która była osiągalna dla ludzi wierzących przez Chrystusa. Stłumienie w sobie fizycznych pragnień, jakiego dokonał mój ojciec, nie było właściwą drogą. Istniał jednak sposób przewyciężenia grzechu w Jezusie Chrystusie. Doskonale wyraził to w swoich pismach Tozer.

„Byli tacy, którzy sądzili, że dla usunięcia się z drogi konieczne jest wycofanie się ze społeczeństwa; wyrzekali się więc wszelkich naturalnych stosunków międzyludzkich w [swojej] walce o umartwienie własnego ciała ... Nie jest zgodna z Pismem wiara, że stara natura Adama może być pokonana w ten sposób ... Nie ustępuje ona przed niczym innym, jak tylko przed krzyżem. ... chcemy być zbawieni, lecz obstajemy przy tym, by umierał tylko Chrystus ... Pozostajemy królami w małym królestwie Duszy Człowieczej i nosimy naszą świecą fałszywym blaskiem koronę z całą dumą Cezara ... Jeśli więc nie umrzemy ... nasze nie ukrzyżowane ciało pozbawi nas czystości serca, podobieństwa naszego charakteru do Chrystusa, duchowej intuicji i zdolności wydawania owoców.”\*

Im bardziej doświadczałem tego, że żyje we mnie Chrystus, tym wyraźniej dostrzegałem błąd popełniony zarówno przez mojego ojca, jak i przeze mnie. Wyrzeczenie się samego siebie, praktykowane we wszelkiego rodzaju wschodnim mistycyzmie, oparte było na fałszywym przekonaniu, że

---

\* A.W. Tozer, *The Root Of the Righteous (Korzeń Sprawiedliwości)* Christian Publications, Inc., Harrisburg, PA: 1955, str. 65-66.

jedynym problemem człowieka było błędne myślenie i, że trzeba tylko „zdać sobie sprawę” z tego, że jest się Bogiem. Jeśli jednak rzeczywiście byłem Brahmanem, to powinienem wiedzieć o tym na początku. Cóż dobrego mogło wyniknąć z ponownego „zdania sobie sprawy” z czegoś, o czym już wiedziałem i zapomniałem? Z pewnością zapomniałbym o tym ponownie. Nie było to żadnym rozwiązaniem, lecz kłamstwem Szatana, mającym na celu przystanie-nie ludziom faktu, że ich grzechy oddzielają ich od Boga. Nie można rozwiązać żadnego problemu po prostu nie przyjmując go do wiadomości. Śmierć Chrystusa za nasze grzechy dostarczyła nam prawdziwego rozwiązania — przebaczenia, którego potrzebujemy, by dostąpić pojednania z Bogiem. A Jego zmartwychwstanie daje nam nowe życie, któremu nigdy nie będzie końca.

Jeżeli pragniemy umrzeć w Chrystusie, akceptując Jego śmierć za nas, wtedy i tylko wtedy możemy naprawdę żyć.

Jakże ogromną wdzięczność żywiłem za to, że w Chrystusie umarłem dla wszystkich moich egoistycznych ambicji! Moje modlitwy nie były już prośbami do Boga o błogosławieństwo dla moich planów, lecz sposobem na poznawanie i podporządkowywanie się Jego woli.

Wierząc w Słowo Boże poprzysiągłem nigdy nie dopuścić do klęski w moim chrześcijańskim życiu. Z pełną wyrazistością dostrzegałem fakt, że Chrystus umarł na krzyżu po to, by dać mi zwycięstwo. Pan ukazał mi to w szczególności przez jeden werset: „W tym wszystkim zwyciężamy przez tego, który nas umiłował”. Również następujące po nim wersety były dla mnie źródłem wielkiej siły wewnętrznej: „Albowiem jestem tego pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani potęgi niebieskie, ani teraźniejszość, ani przyszłość, ani moce, ani wysokość, ani głębokość, ani żadne inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (List do Rzymian 8:37-39). Wierzyłem w to wszystko z całego mojego serca.

# „Nowe życie”

Wykształcenie teologiczne, które otrzymałem w London Bible College, prezentowało najwyższy poziom i miało absolutnie nieocenioną wartość. Nie mogłem przecież uczyć innych nie posiadając samemu gruntownej wiedzy. Poza tym wspólne modlitwy i studia w towarzystwie młodych ludzi z 25 krajów, którzy poświęcili swoje życie służbie Chrystusowi, były dla mnie wielką inspiracją. Wiele weekendów zajmowało mi wygłaszanie nauk w szkolnym zespole ewangelizacyjnym. Koszt kształcenia wraz z wyżywieniem i mieszkaniem wynosił około 500 funtów rocznie. Co pewien czas otrzymywałem z biura wiadomości, że na moje konto wpłacane były fundusze; trwało to przez cały okres mojego pobytu w szkole. Nigdy nie dowiedziałem się, kim byli moi tajemniczy dobroczyńcy.

Na każde wakacje — na Boże Narodzenie, Wielkanoc oraz lato — jechałem z powrotem do Zurychu, by pomagać tam w pracy. Wiosną 1971 naszemu zespołowi została przekazana piwnica w domu starców wykorzystywana już przez nas wcześniej. Mieszkający w Zurychu chrześcijanie, głównie prowadzeni przez nas młodzi ludzie, ofiarowywali nam materiały, czas i pieniądze na odnowienie i przystrojenie tego wielkiego pomieszczenia, które przekształciliśmy w chrześcijańską kawiarenkę. Chcieliśmy uczynić to miejsce możliwie jak najbardziej atrakcyjnym, aby przychodziło tam coraz więcej młodzieży, pragnącej usłyszeć o Chrystusie. W tym czasie w prowadzonych przez nas apostołskich zajęciach uczestniczyło już około 150 osób i niektóre z nich pomagały przy pracy. Wszyscy byli zgodni co do tego, że nasza kawiarenka powinna mieć jakąś nazwę. Najwięcej głosów otrzymała propozycja „Nowe Życie”. Nie można było lepiej oddać tego, co przydarzyło się mnie, i przemian, jakie obserwowaliśmy u tak wielu narkomanów, różnego rodzaju przestępców, a nawet prostytutek i homoseksualistów. Wielu innych, którzy sądzili, że są chrześcijanami tylko dlatego, że zostali ochrzczeni jako dzieci i wychowani w zgodzie z kościelnymi tradycjami, przychodziło teraz, by poznać Chrystusa osobiście i oni również doznawali przeobrażenia. Mimo że Kościół Państwowy miał wiele do zaoferowania, wielu pastorów głosiło ewangelię pozbawioną mocy. Chrześcijaństwo było tu bardziej tradycją kulturową niż osobistą łącznością i towarzyszeniem Bogu przez Jezusa Chrystusa.

Na podstawie modlitw i doświadczenia wypracowaliśmy sobie pewne zasady. Jedną z podstawowych było to, że nigdy nie będziemy prosić o ofiary i przyjmować ich w czasie naszych spotkań, nigdy też nie będziemy nikomu mówić o naszych potrzebach. Naszą ufność chcieliśmy pokładać w Bogu, a nie w ludziach. Jeśli przyjmowaliśmy pomoc od kogokolwiek, to chcieliśmy, by wynikała ona z faktu otwarcia się na Boga, a nie z naszych apeli o wsparcie. Inną zasadą było to, by kierowała nami i motywowała nas tylko miłość Chrystusa. Bóg dał swojego Syna z miłości, a Chrystus umarł za nasze grzechy dlatego, że nas kochał. Modliliśmy się o to, by Bóg pomógł nam głosić Chrystusa i służyć Mu z miłości, a nie z powodu spodziewanej nagrody w niebie. Werset 2:2 z Drugiego Listu do Tymoteusza wyrażał naszą trzecią zasadę: „A co słyszałeś ode mnie wobec wielu świadków, to przekaz ludziom godnym zaufania, którzy będą zdolni i innych nauczać”. Rozumieliśmy, że naszym najważniejszym zadaniem jest pozyskiwanie uczniów, którzy z kolei będą mogli sami pozyskiwać innych i również ich nauczać.

Od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że podstawową potrzebą było solidne nauczanie biblijne oraz jego zdecydowane wdrażanie w chrześcijańskie życie. Nawróceni musieli wiedzieć, w co wierzą i dlaczego. Czym innym było rozpoczęcie z wielkim entuzjazmem życia chrześcijańskiego, a czym innym codzienne umacnianie się w wierze i pozyskiwanie innych dla Chrystusa. Nowo odkryta radość mogła trwać przez kilka dni, a nawet tygodni, lecz kiedy pojawiały się pierwsze trudności i wątpliwości, a przyjaciele próbowali przyciągnąć ich na powrót do starego życia, pokusa ponownego zakosztowania zakazanego seksu lub narkotycznego transu mogła okazać się nie do przewyciężenia. Do zwycięskiego przejścia przez prawdziwe testy i walki w życiu potrzeba było czegoś więcej niż tylko entuzjazmu. Podkreślaliśmy często, że Chrystus nie przyszedł tylko po to, by wprowadzić ludzi do nieba, lecz także po to, by odmienić styl życia, jakie prowadzą na ziemi tu i teraz; że oczekuje od swoich uczniów posłuszeństwa, a nie tylko wiary w Niego. Głosiliśmy to, co powiedział Chrystus: „Jeśli kto chce pójść za mną, niech się zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój, i niech idzie za mną” (Mateusz 16:24). Staraliśmy się, by przesłanie to było jasne i przejrzyste jak kryształ.

Heinz i Annalies, którzy pobrali się krótko po przybyciu do Zurychu, wykorzystywali swoje niewielkie trzypokojowe mieszkanie na działalność, którą nazywaliśmy „ewangelizacją spaghetti”. Polegało to na tym, że zapraszali do siebie spotkanych na ulicach młodych ludzi na obiady i

dyskusje. W końcu działalność ta rozwinęła się do tego stopnia, że prowadzono ją w wielkim starym czteropiętrowym domu z 14 pokojami. Dom ten stał się mieszkaniem dla naszego zespołu i miejscem okresowego pobytu dla setek hippisów, którzy pozostawali tam przez jedną, dwie lub trzy noce i słuchali nauki o Chrystusie. Wielu z nich porzucało swoje plany dążenia narkotykowym szlakiem aż do Indii i wracało do domów, by przeprosić swoich rodziców, których wcześniej nienawidzili, a teraz kochali miłością Chrystusa. Wkrótce jednak i ten przestronny dom przy Moehrlistrasse, gdzie w roku 1972 rozpoczęła swoją działalność nasza pierwsza ośmiomiesięczna szkoła apostołstwa, okazał się zbyt mały. W roku 1973, w budynku, będącym kiedyś dużym domem starców, rozpoczęliśmy nauczanie na pierwszym roku trzyletniej szkoły biblijnej, kładąc szczególnie nacisk na naukę praktyczną. Starannie dobraliśmy naszych studentów, przeprowadzając dokładną ich obserwację w czasie letnich misji. W konsekwencji prawie wszyscy oddali się później całkowicie posłudze chrześcijańskiej. Na trzecim roku studenci spędzali około sześciu miesięcy na praktycznej działalności ewangelizacyjnej w jednym z wielu miast europejskich, gdzie mieliśmy nasze zespoły. Każdy z zespołów zawierał Panu zaspokojenie swoich potrzeb, a ich powiązania z Towarzystwem Nowego Życia były natury raczej duchowej, a nie organizacyjnej. W roku 1974 przeprowadziliśmy się do większej siedziby, mieszczącej się w wiosce Walzenhausen położonej powyżej Jeziora Konstancji w północno-wschodniej Szwajcarii. Poniżej rozciągała się wspaniała panorama części Szwajcarii, Niemiec i Austrii.

Cały nasz zespół podzielał moją troskę o przeciwdziałanie wpływom wschodnich religii, które tak szybko rozprzestrzeniały się na Zachodzie. Od chwili, kiedy stałem się chrześcijaninem, z głębokim przejęciem obserwowałem szybki wzrost już i tak ogromnego, lecz przeważnie nie dostrzeganego wpływu Wschodu na przeciętnego mieszkańca Zachodu. Ta inwazja w subtelny, lecz zarazem zdecydowany sposób wywierała wpływ prawie we wszystkich kręgach zachodniego społeczeństwa. Na skutek zamierzonych wysiłków hinduskich i buddyjskich guru, takich jak Vivekananda, Aurobindo, Śri Chimoy (który przewodzi medytacjom w siedzibie Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku) oraz bardzo wpływowego Dalaj Lamy, następowały znaczące zmiany w zachodnim myśleniu, wierzeniach i stylu życia.

Miliony ludzi dosłownie przyjmowały twierdzenia wschodnich filozofii, akceptując karmę, reinkarnację i wegetarianizm z przyczyn religijnych;

kolejne miliony związały się z niezliczonymi hindusko-buddyjskimi sektami takimi jak ruch Hare Kriszna, Towarzystwo Poznawania Jaźni Yoganandy, Misja Boskiego Światła, Nichiren Shoshu oraz liczne spokrewnione ze sobą grupy Dynamiki Umysłu, jak na przykład kontrolowanie umysłu Silva.

Jako były Hindus, podróżujący wiele po krajach Zachodu, ze zdziwieniem zauważyłem, że nie tylko ruchy Różokrzyżowców i Wolnomularzy mają hindusko-buddyjskie korzenie, lecz prawie wszystkie z ugruntowanych i szanowanych zachodnich sekt, takich jak Nauka Chrześcijańska, Nauka Umysłu, Nauka Religijna oraz Jedność. Wszystkie one są synkretyczną mieszanką hinduizmu i chrześcijańskiej herezji. Nawet powstały w Ameryce Kościół Mormonów ze swoim „chrześcijańskim obliczem” oparty jest na podstawowych hinduistycznych koncepcjach, takich jak wiara w preegzystencję duszy, wielość bogów oraz nauka, że boskość jest ostatecznym celem dla ludzkości.

Czułem ciążącą na mnie odpowiedzialność za uświadamianie ludziom postępującej hinduizacji zachodniego społeczeństwa, zacząłem więc coraz śmielej wypowiadać się publicznie i ostrzegać tych, którzy byli wciągani w Jogę, medytację i inne formy wschodniego mistycyzmu przed niebezpieczną pułapką, w jaką wpadają. Zaczęły nadchodzić liczne zaproszenia ze szkół wyższych i uniwersytetów, proszące mnie, bym wygłaszał odczyty na wykładach z religioznawstwa porównawczego oraz mistycyzmu, jak również w których proszono bym porównywał chrześcijaństwo z hinduizmem i innymi religiami Wschodu. Jak by nie było, mogłem na to spojrzeć z dwóch różnych stron. Wkrótce zacząłem otrzymywać zaproszenia z wielu różnych krajów i nie mogłem już ograniczać się tylko do Europy.

Pod koniec roku 1972, kiedy przebywałem właśnie w Izraelu, podczas serii wykładów w kilku krajach, poczułem w modlitwie, że Bóg każe mi lecieć do Trynidadu pierwszy raz od czasu, gdy wyjechałem do Londynu. Mimo tego, że wszystkie miejsca były wyprzedane, i ze względu na wzmożony ruch przedświąteczny na zwalniające się miejsca oczekiwały długie kolejki, udało mi się dzięki łasce Bożej zdobyć bilet z Teł Avivu do Londynu i dalej do Port of Spain bez konieczności dłuższego oczekiwania. Przyjaciel, którego przypadkiem spotkałem na lotnisku po wylądowaniu, zawiózł mnie prosto do mojego starego domu. Wydawało mi się to cudem, kiedy wspinałem się po schodach i wszedłem do salonu około 15 minut przed północą. Była Wigilia Bożego Narodzenia.

— Rabi! Toż to dar od Boga! — zawołała Ma. — Prosiłam Go, aby przysłał cię tu na Święta! — Cóż to było za powitanie po sześciu latach!

Ma starzała się coraz bardziej i wydawała się o wiele<sup>y</sup> słabsza niż w dniu mojego wyjazdu. Nadal jednak chwaliła Boga i była promieniującym na całe otoczenie świadectwem o Chrystusie. Spędziliśmy wspólnie sporo czasu na modlitwie i rozważaniu Słowa Bożego, wspominając te pierwsze dni, kiedy dopiero co staliśmy się chrześcijanami. Po tylu latach ciągle jeszcze nie mogliśmy nadziwić się zmianom, jakich Chrystus dokonał w naszej rodzinie i w życiu każdego z nas. Wielką radością było dla mnie spotkanie ze starymi przyjaciółmi, zarówno chrześcijanami, jak i Hindusami, dostąpiłem też przywileju głoszenia Ewangelii w wielu miejscach na Trynidadzie i w innych częściach Indii Zachodnich.

Wkrótce po moim powrocie do Europy nadeszła wiadomość o tym, że Ma poważnie zachorowała. Choroba trwała przez kilka tygodni, a potem na pewien czas stan zdrowia Ma poprawił się. W końcu jednak zawiadomiono mnie, że odeszła do Pana. Na pogrzebie nie było tych głośnych zawodzeń, które towarzyszyły śmierci Nany oraz mojego ojca i które zawsze oznaczały odejście Hindusa z tego świata. Wiedzieliśmy, że jest razem z Chrystusem w nowym wymiarze życia w niebie, a nie wcielona w jakąś inną formę życia, rozpoczynając kolejną rundę bólu i smutku tu na ziemi. Miałem pewność ponownie spotkać Ma w dniu powrotu Chrystusa, a to mogło się zdarzyć w każdej chwili — wskazują na to wszelkie znaki. Ja natomiast byłem bardzo wdzięczny Bogu za to, że pozwolił mi zobaczyć Ma po raz ostatni, zanim jeszcze zabrał ją do siebie. Wspomnienie jej życia, prowadzonego zgodnie z zasadami Chrystusa oraz wielu godzin spędzanych przez nią na klęczkach na modlitwie zawsze będzie dla mnie wyzwaniem i inspiracją, bym nadal służył Chrystusowi z całego serca. Ma utwierdzała mnie w tym również w czasie tych ostatnich spędzonych przez nas razem dni.

Jesienią 1975 spełniło się w końcu jedno z moich marzeń. Pięć osób spośród naszego personelu oraz 18 studentów wyruszyło na naszą pierwszą szkolną misję na Wschód. Jednym z celów było szkolenie młodych ludzi, którzy mieli później udać się do krajów takich jak Pakistan i Indie, by zanieść tam przesłanie o Chrystusie. Fundowaliśmy stypendia, które miały być przyznawane wybranym studentom szkół biblijnych, seminariów i uniwersytetów w Indiach i innych krajach Azji. Jednym z moich zadań w czasie tej podróży było zawieranie kontraktów związanych z naszym programem.

W Jugosławii zatrzymano dwa spośród trzech naszych mikrobusów marki volkswagen i aresztowano ich pasażerów za rozpowszechnianie literatury chrześcijańskiej. Po kilku godzinach zostali zwolnieni i mogliśmy

kontynuować naszą podróż na Wschód. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Turcję, po raz pierwszy miałem możliwość zwiastowania w kraju muzułmańskim. Było to dla mnie wielką radością, zwłaszcza że byłem świadkiem przyjmowania Chrystusa przez niektórych muzułmanów. Wielką zachętą dla nas stanowił fakt, że byliśmy goszczeni w Istambule w domu pewnego młodego małżeństwa; ludzie ci przyjęli Chrystusa trzy lata wcześniej w Zurychu. Widzieliśmy, że służą swemu Panu i wzrastają w wierze. Młody małżonek należał do jednej z najbogatszych rodzin w Turcji. W Szwajcarii prowadził życie lekkoducha i mieszkał ze swoją francuską przyjaciółką. Oboje znajdowali się w szponach narkotycznego nałogu, kiedy w naszym centrum w Zurychu, tuż przed wyruszeniem na krucjatę odbywającą się w Monachium w czasie trwania Igrzysk Olimpijskich w 1972 roku, podzieliłem się z nimi Dobrą Nowiną. Oboje odmówili modlitwę grzesznych i przyjęli Chrystusa. Ojciec chłopaka groził, że go wydziedziczy — ten jednak odpowiadał, że Chrystus jest dla niego wart więcej niż cały świat. Właśnie ci dwoje byli teraz małżeństwem i mieszkając w Turcji pozyskiwali dla Pana innych.

W Pakistanie głoszona przez nas ewangelia spotkała się z przychylnym odzewem. Moimi tłumaczami w czasie spotkań byli dwaj młodzi Szwajcarzy. Kilka lat wcześniej, wpłątani po uszy w narkotyki i wschodni mistycyzm, udali się narkotycznym szlakiem do Indii. W cudowny sposób Bóg dotarł do nich w czasie ich pobytu w Pakistanie, gdzie obaj przyjęli Chrystusa. Powróciwszy do Szwajcarii, wstąpili do Szkoły Biblijnej Nowego Życia i podczas tej podróży mogli tłumaczyć na język urdu moje nauki, króre wygłaszałem w różnych rejonach Pakistanu.

Brak czasu zmusił resztę naszego zespołu do powrotu do Szwajcarii, ja natomiast pojechałem dalej do Indii, pragnąc poczynić dalsze kontakty i wygłosić nieco nauk, a następnie odwiedzić niedaleko Bombaju moją matkę, która mieszkała w aszramie swojego guru. Nie miałem żadnych kłopotów z wjazdem do Pakistanu, lecz gdy opuszczałem ten kraj, zostałem aresztowany, co opisane zostało na początku tej książki. Urzędnicy graniczni, pewni, że złapali w swoją sieć grubą rybę — nie co dzień natrafia się przecież na „szpiega” — posłali wiadomość do centrali w Lahore. Sam szef we własnej osobie miał mnie przesłuchać bliżej, a następnie planowano pozbyć się mnie w trybie doraźnym, tak jak na to zasługiwał indyjski agent.

Kiedy wszyscy oczekiwaliśmy na przybycie szefa, pozostawiono mnie samego, nie licząc uzbrojonego strażnika, który stał za drzwiami. Powiedziano mi, że szef to wielce świątobliwy mąż — kapłan, który odbył

trzy pielgrzymki do Mekki. Nie wiedziałem, w jaki sposób kwalifikowało go to do zajmowania wysokiego stanowiska w policji, nie polepszało to jednak mojej sytuacji. Zagorzały muzułmanin prawdopodobnie byłby bardziej wyrozumiały dla Hindusa niż dla chrześcijanina. Mimo to jedyną moją szansą było, że przekonam szefa, iż jestem chrześcijaninem. Co więcej, oddany byłem sprawie dzielenia się Chrystusem ze wszystkimi ludźmi.

W ciągu tych trzech godzin samotnego oczekiwania w niewielkim pokoiku pilnowanym przez strażnika przewinał mi się przed oczami cały wachlarz wspomnień. Nie żałowałem tego, że przybyłem do Pakistanu. Jeśli w czasie mojego pobytu tutaj chociaż jedna osoba otrzymała przebaczenie grzechów i życie wieczne w Chrystusie, to podróż ta była tego warta. Tak się akurat składało, że wielu ludzi przyjęło wtedy Chrystusa. Być może nie będę w stanie przekonać Szefa, że nie jestem szpiegiem — albo Hindusem. Pozostali oficerowie byli przekonani, że kłamię. Jakże straszliwie nienawidzili oni Hindusów! Moja śmierć mogła być dla nich częściową zemstą za tysiące muzułmanów — ich współbraci, zamordowanych przez Hindusów, a wiara w to, że jestem indyjskim szpiegiem uczynić miała zemstę jeszcze słodsza.

Nie ma lepszej niż ta okazji na sprawdzenie własnej wiary; w obliczu prawdopodobnej śmierci byłem teraz bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że Chrystus mnie kocha i że fizyczna śmierć powiedzie tylko moją duszę do Niego — tam, gdzie udała się już przede mną Ma. Moje serce przepełniała radość na wspomnienie tego wszystkiego, czego Chrystus dokonał w moim życiu oraz w życiu tych wszystkich, u których widziałem zmiany zachodzące dzięki wierze. Byłem w rękach Boga i pragnąłem tylko spełnienia Jego woli i wszystkiego, co mogło przysporzyć Mu chwały. Przypominałem sobie pragnienia Pawła wyrażone w więzieniu, gdy mówił, by „Chrystus zyskał większą chwałę w moim ciele, czy to przez życie, czy przez śmierć”. Pomyślałem też o pismach Tozera — jedna z jego książek znajdowała się w moim neseserze — oraz o wersie 2:20 z Listu do Galacjan, nad którym prowadziłem rozważania i wygłaszałem kazania od wielu lat: „Z Chrystusem jestem ukrzyżowany; żyję więc już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”. Umarłem w Nim już wcześniej, tak więc śmierć nie mogła mnie dotknąć. Nie bałem się niczego, co mogli mi zrobić ci ludzie.

— Dlaczego szpieguje pan w naszym kraju? — było jedynym przywitaniem, jakie usłyszałem od Szefa, kiedy w końcu przyjechał.

— Nie jestem szpiegiem — zaprotestowałem. — Nie mógłbym.

— Nie mógłby pan? A to dlaczego? — Wydawał się rozbawiony

— Ponieważ jestem chrześcijaninem.

— Pan? Chrześcijaninem? Czy to nie pański paszport? — zapytał, wskazując na leżący przed nim na biurku dokument. — Maharaj nie jest chrześcijańskim nazwiskiem, w żadnym wypadku. — Wyraz jego twarzy mówił, że obrazą dla jego zdrowego rozsądku byłoby wyobrazić sobie, iż mógłby uwierzyć w tak fantastyczne kłamstwo.

— Tak, nazywam się Maharaj, ale jestem chrześcijaninem — obstawałem przy swoim.

— Proszę to udowodnić. — Uśmiechał się teraz tak, jakby bawił go jakiś ukryty żart.

Było to dla mnie szokiem. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem. W jaki sposób mógłbym w ogóle udowodnić, w co wierzyłem w głębi mojego serca? Nie było w pobliżu nikogo, kto by mnie znał, żadnego świadka, który mógłby zaświadczyć o moim życiu...

— Czy jest pan muzułmaninem? — zapytałem z szacunkiem.

— Tak, jestem.

— Czy może pan udowodnić, że pan nim jest? — Z pewnością uzmysłowił mi to, jak dalece nedorzeczne było jego żądanie.

— Dlaczego miałbym to robić? — odpalił. — To nie ja jestem szpiegiem!

— Ale ja też nie jestem szpiegiem!

— Proszę więc udowodnić, że jest pan chrześcijaninem! — I znów ten uśmiech.

— Cóż — powiedziałem, otwierając mój neseser — oto moja Biblia. Czy Hindus woziłby ze sobą Biblię?

— Sprytny szpieg tak! — Zaśmiał się. Zacząłem przewracać strony tuż przed jego nosem.

— Proszę tylko spojrzeć, sir, proszę zobaczyć te wszystkie podkreślenia, strona po stronie, wersy, które mają dla mnie szczególne znaczenie — proszę też spojrzeć na te wszystkie poczynione przeze mnie notatki!

— Każdy szpieg mógłby to zrobić. Ponownie sięgnąłem do mojego nesesera.

— Oto inne chrześcijańskie książki... proszę spojrzeć na te listy od ludzi, których przywiodłem do Chrystusa — niech pan zobaczy, co piszą.

Machnięciem ręki odrzucił mój ostatni „dowód”, nawet na niego nie patrząc.

— Czy pan myśli, że jestem głupi? Wszystko to można z łatwością sfalszować.

Oniemiałem. Nie było sposobu, by udowodnić, że jestem chrześcijaninem. Wtedy przyszło mi do głowy coś jeszcze.

— Mam jeszcze jeden dowód — powiedziałem, sięgając do nesesera po raz ostatni. — To rękopis, historia mojego życia. — Położyłem go przed nim na biurku. — Jest tu opowiedziane wszystko o moim życiu Hindusa oraz o tym, w jaki sposób stałem się wyznawcą Jezusa Chrystusa. Żaden szpieg nie pomyślałby o sfałszowaniu czegoś takiego... nie tylu stron!

Obrzucając mnie sceptycznym spojrzeniem, otworzył rękopis i zagłębił się w lekturze. Była to moja ostatnia nadzieja. W miarę, jak on przewracał stronę po stronie, na zmianę modliłem się i obserwowałem jego twarz. Gdy doszedł do rozdziału 14 pt. „Śmierć guru” — dalsze rozdziały nie były jeszcze wtedy napisane — zaczął czytać wolniej, prawdopodobnie zaabsorbowany opowieścią o moim przejściu z hinduizmu na chrześcijaństwo. Pod koniec rozdziału, kiedy czytał o rozbijaniu i paleniu bożków, zamruczał z aprobatą i skinął głową. Koran potępia bałwochwalstwo i muzułmanie zniszczyli wielu hinduskich bożków oraz liczne świątynie w czasach podbojów Indii dokonywanych przed wiekami. Powoli i uważnie przeczytał ten rozdział jeszcze raz. Następnie oddał mi rękopis.

— Przekonałem się, że jest pan chrześcijaninem — odezwał się, lecz jego oblicze nie zmiękło ani trochę. — Co jednak robił pan w naszym kraju?

Jak mogłem na to odpowiedzieć? Czyżbym wpadł z deszczu pod rynnę? Słyszałem o chrześcijanach zabitych ostatnio w Pakistanie za to, że opowiadali muzułmanom o Chrystusie. Inni zostali skazani na długoletnie więzienie. Prosząc Boga o mądrość, starannie zacząłem dobrać słów.

— Wasz kraj jest wielki — powiedziałem szczerze — ale macie również wiele problemów. Przybyłem tu wraz z grupą 22 innych osób ze Szwajcarii i Niemiec Zachodnich. Odwiedzaliśmy szpitale, sierocińce i skupiska trędowatych, próbując na wszelkie sposoby nieść pomoc — fizyczną i duchową. Kochamy wasz lud i wasz kraj. Mimo że nasza pomoc nie jest duża, staraliśmy się uczynić wszystko, co w naszej mocy.

Przez cały czas bacznie mi się przyglądał. Następnie odchylił się do tyłu na krześle i wydał z siebie długie westchnienie. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się odprężenie. Otworzył mój paszport, zmęczonym ruchem sięgnął po gumową pieczętkę i przycisnął ją mocno do strony, gdzie widniała notatka o moim wjeździe do Pakistanu. Wręczając mi paszport powiedział:

— Jest pan wolny!

Wdzięczny Bogu za to, że byłem już wolnym człowiekiem, przeszedłem obok uzbrojonego strażnika i wyszedłem z pokoju. Przesłuchujący mnie wcześniej oficerowie, oczekujący na zewnątrz, nie posiadali się ze zdumienia. Nie mogli uwierzyć w to, że pozwolono mi odejść, skoro zapewniali mnie już o tym, że w żaden sposób nie uniknę egzekucji.

Przechodząc przez stumetrowy pas ziemi niczyjej w kierunku indyjskiej stacji granicznej, dziękowałem Panu za Jego łaskawość i modliłem się o to, by ten muzułmański wysoki urzędnik został po przeczytaniu tej historii pozyskany dla Chrystusa. Był on przekonany o jej prawdziwości, a kiedy to czytał, wyraz jego twarzy powiedział mi, że moje nawrócenie do Chrystusa poruszyło go do głębi.

Moje kłopoty jednakże nie skończyły się jeszcze. Zostałem niezwłocznie zabrany do biura w głębi stacji, gdzie mieli mnie przesłuchać urzędnicy indyjscy. Wyglądało na to, że sądzą, iż jestem pakistańskim szpiegiem.

— Musi pan być Pakistańczykiem — upierał się najwyższy z urzędników. — Żaden Hindus nie udałby się do Pakistanu. Co pan tam robił?

— Jestem wyznawcą Chrystusa i wykonywałem tam chrześcijańskie zadania.

— Pan, bramin, jest chrześcijaninem? Parias zostają chrześcijanami, ale nie bramini. Nie wierzę panu.

— No cóż, mogę opowiedzieć panu, jak to się stało. — Zacząłem moją opowieść, próbując uczynić ją możliwie krótką, a on słuchał z rosnącym zainteresowaniem. Kiedy skończyłem, powoli pokiwał głową z niedowierzaniem, otworzył mój paszport, przystawił na pustej stronie stempel wjazdowy i złożył obok swój podpis.

— Życzę miłej podróży — powiedział uprzejmie.

Nie sposób opisać mojego podniecenia, kiedy w końcu wkroczyłem na indyjską ziemię, ojczystą ziemię moich przodków. Tutaj tkwiły korzenie religii, którą porzuciłem; pod względem kulturowym i etnicznym nadal jednak czułem się z tym krajem głęboko emocjonalnie związany. Tu mieszkali moi ziomkowie, tu był mój kraj — miejsce, do którego prawdziwie należałem. Drzewa mango ozdobione barwnymi, śpiewającymi ptakami, przelatującymi z gałęzi na gałąź, zdawały się tańczyć w delikatnych podmuchach wiatru. Rozpościerający się przede mną krajobraz obudził we mnie nostalgiczne wspomnienia o mojej matce i niezliczonych historiach o Ramie, Krisznie oraz innych bogach i bohaterach mitologii hinduskiej, które opowiadała mi, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem.

W oddali słyszałem donośne dźwięki indyjskiej muzyki filmowej — z jakiegoś radia tranzystorowego — charakterystyczny wysoki, lecz nieco nosowy kobiecy głos. Przyczyniało się to do ubogacenia poczucia znajomości krajobrazowego kolorytu, pod wieloma względami przypominającego w większości hinduskie wioski Debe czy Penal w Trynidadzie. Widziałem innych ludzi, którzy wydawali się być równie bardzo emocjonalnie związani z Indiami jak ja: hippisi z Zachodu ku mojemu ogromnemu zdziwieniu całowali po przyjeździe indyjską ziemię. Jednakże po tych pierwszych momentach uniesienia i podziwu, pomimo autentycznego piękna Indii otaczającego mnie zewsząd, nie mogłem oprzeć się ogarniającemu mnie smutkowi na widok wielu innych rzeczy, których nie mogłem zignorować.

Opisanie Indii ludziom, którzy nie widzieli tego kraju na własne oczy, jest rzeczą niemożliwą. Nędza, ubóstwo, choroby i panujące zabobony zdumiewają swym tragizmem. Już sam widok wiosek jest szokujący, lecz prawdziwa zgroza ogarnia człowieka na widok potwornych warunków życia, w jakich w przeludnionych indyjskich miastach egzystują miliony ludzi. Mój gospodarz w Kalkucie powiedział mi, że ponad milion ludzi wegetuje w żałosnych warunkach na ulicach tego miasta, nie posiadając nawet lepianki, którą mogliby nazwać domem. Umierają oni tam, gdzie się urodzili — w rynsztoku, w zaułkach lub na brudnych chodnikach w promieniach prażącego słońca — nie zaznawszy niczego poza nędzą, chorobami i ubóstwem oraz beznadziejnymi próbami ugłaskania lub ściągnięcia na siebie uwagi bóstw, które nie dość, że nie okazują im najmniejszej nawet oznaki miłości lub troski, to wzbudzają tylko jeszcze większy strach. Żyć i umierać w tak strasznej, skrajnej nędzy i mimo to słyszeć, że jest się Bogiem i trzeba tylko „Zdać sobie z tego sprawę"! Któż mógłby wymyślić jakiś bardziej makabryczny żart? Słyszeć, że ropiejące rany na twoim ciele, głód ściskający ci żołądek i głęboka pustka w twojej duszy to tylko maya, złudzenie... czyż mogło istnieć bardziej szatańskie oszustwo?

Ból przepełniał moje serce na widok tych mas ludzkich doświadczających w Indiach ogromnych cierpień. Dziwiłem się, że mieszkańcy Zachodu szukają tutaj duchowego natchnienia. Z doświadczenia wiedziałem, że hinduizm ze swoją fatalistyczną wiarą w karmę, reinkarnację i fałszywych bogów, był przyczyną problemów, które nękały Indie. Jacyż ślepi byli przybysze z Zachodu, którzy szukali oświecenia we wschodnim mistycyzmie! Nie zawierał on nic poza ciemnością, a sytuacja w Indiach była

wymownym świadectwem tego, jak głęboka była w rzeczywistości ta ciemność. Tak wielkie oszustwo mogło być tylko wynikiem działania tej samej siły, która przekonuje miliony ludzi, aby zniszczyli samych siebie po to, by znaleźć się w fałszywym raj, którego doświadczają w narkotycznym transie.

Radosnym, lecz również nieco dziwnym i pełnym napięcia przeżyciem było powtórne spotkanie z moją matką. Widziałem ją zaledwie po raz trzeci w ciągu 21 lat. Krótco po moim wyjeździe z Trynidadu do Anglii porzuciła ona nagle świątynię w Port of Spain, zrzekając się prestiżowej pozycji, która na pozór czyniła ją tak szczęśliwą! Dzięki finansowej pomocy swoich bogatych przyjaciół mogła zakupić sprzęty, książki i wyposażenie potrzebne do uruchomienia szkoły dla dziewcząt. Wszyscy wierzyli w to, że pod jej kierownictwem będzie to instytucja oświatowa pierwszej klasy. Mimo że miała to być szkoła bezwyznaniowa, matka położyła w programie duży nacisk na Jogę, której nauczaniem zajęła się sama. Nagle jednak, pewnego weekendu, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, po prostu spakowała się i zniknęła. Ciotka Revati dowiedziała się później, że matka została wysłana przez swego guru, Babę Muktanandę, do świątyni w Nowym Jorku, gdzie spędziła cały rok, werbując nowych uczniów spośród bogatych Amerykanów, a następnie powróciła do jego głównej świątyni w Indiach, by objąć tam bardzo odpowiedzialne stanowisko.

Kiedy przybyłem do świątyni Muktanandy pod Bombajem, nie było tam młodych ludzi z Zachodu, jako że mistrz przebywał właśnie w Stanach Zjednoczonych. Werbował tam tysiące nowych uczniów i prezentował Jogę Kundalini wraz z jej diabelską mocą lekarzom, którzy — co dziwne — okrzyknęli ją nowością w medycynie. Świątynia tego popularnego guru, stanowiąca kompleks strzelistych budynków, wznosi się jak oaza dobrobytu i bogactwa w samym środku skrajnego ubóstwa.

Raz jeszcze zamieszkałem w hinduskiej świątyni — powróciły wspomnienia z przeszłości i niezwykle wyraźnie odczuwałem zalegającą wokół ciemność oraz obecność złych duchów! Z wdzięcznością jednak przyjmowałem możliwość szczerych rozmów z wieloma ludźmi przybyłymi z Zachodu, którzy tam mieszkali i pobierali nauki.

— Spójrzcie na otaczającą was nędzę — mówiłem ze współczuciem. — Ze swoimi ogromnymi zasobami bogactw naturalnych i potencjałem ludzkim Indie powinny być jednym z najbogatszych krajów świata — zostały jednak zrujnowane przez swoją religijną filozofię. To straszne! Dlaczego w obliczu tego wszystkiego przechodzicie na hinduizm?

— Niedobrze nam się robi od panującego na Zachodzie materializmu — słyszałem w odpowiedzi.

— Indie desperacko próbują właśnie zdobyć zachodnie technologie i materializm — przypominałem im — bo mają nadzieję, że w ten sposób ocalą głodujące miliony. Nie tylko ludzie na Zachodzie, ale i bardzo wielu bogatych Hindusów to materialści. Hinduizm was od tego nie wyzwoli, a Chrystus może to uczynić. Spójrzcie, co wybudował Muktananda za pieniądze otrzymane z Zachodu. Jaką ich część przeznaczył na pomoc głodującym i żyjącym w nędzy ludziom, którzy mieszkają w małych chałupach otaczających tę wspaniałą posiadłość? Chrystus jest jedyną nadzieją dla was, dla mnie... i dla Indii. Odrzucany przez was materializm nie jest chrześcijaństwem.

Moja matka była wychudzona i nie wyglądała zbyt dobrze. Obowiązujący w świątyni rygor był surowy. Każdy dzień zaczynał się od wpół do czwartej kilkugodzinnym praktykowaniem Jogi i medytacją. Mama i ja mieliśmy kilka wspólnych spotkań, lecz nie mogłem zdobyć się na to, by powiedzieć jej choćby słowo o Chrystusie. Wiedziałem, że zerwałoby to kruche więzi, które usiłowaliśmy między sobą przywrócić. Modliłem się jednak codziennie, by Pan pozwolił mi spędzić z nią kilka dni z dala od krępującej obecności demonów przebywających w świątyni.

Ku mojej radości, po około czterech dniach mojego pobytu, matka zgodziła się pojechać ze mną do Bombaju. Mogliśmy zatrzymać się w domu moich przyjaciół, którzy przekazali mi go do mojej dyspozycji na czas swojej nieobecności. Wszystko to przypominało jakiś sen. Matka przygotowywała wspólne posiłki i stopniowo ustępowało panujące między nami napięcie. Znowu byliśmy przyjaciółmi i raz jeszcze po tak wielu latach mieszkaliśmy razem pod jednym dachem. Próbowałem nie czynić nic, co mogłoby zakłócić spokój naszego nowego związku. Cieszyłem się każdą chwilą, odrzucając wszystko, co przypominało mi o tym, jak krótko będzie trwać ten stan rzeczy. Chodziliśmy razem na zakupy, zwiedzaliśmy miasto i odbywaliśmy wspólne spacery. Ponownie zaczynaliśmy poznawać i rozumieć się wzajemnie po tak długiej rozłące. Powoli i z coraz większą ufnością otwieraliśmy przed sobą nasze serca, jak dwoje niegdyś obcych sobie ludzi.

I wtedy, pewnego popołudnia, którego nigdy nie zapomnę, nasza nowa, krucha więź, którą wspólnie próbowaliśmy budować, rozpadła się nagle na tysiące nie dających się ze sobą połączyć fragmentów. Przez cały czas bardzo się pilnowałem, by nie powiedzieć jakiegoś słowa, które mogłoby ją zranić. Żadna wzmianka na temat tego, że jestem chrześcijaninem nie wyszła z

moich ust — zaledwie kilka ostrożnych pytań na temat rzucającej się w oczy nędzy, którą widzieliśmy dokoła. Czy to mogło być wynikiem trwającej tysiące lat karmy i dokonującej się przez reinkarnację ewolucji ku Bogu, o których matka mówiła nieustannie? Nigdy nie próbowała odpowiedzieć na to pytanie, a tylko entuzjastycznie — zbyt usilnie pragnąc uchodzić za szczęśliwą, jak mi się zdawało — opowiadała o Jodze i medytacji oraz swoich obowiązkach w świątyni. Bardzo chwaliła też swojego guru Muktanandę, o którym co rusz wypowiadała się tak, jakby był Bogiem. Tego popołudnia jednakże nie mogłem już dłużej znosić tego w milczeniu.

Po prostu nie wydawało mi się rzeczą słuszną, bym milczał tak, jakbym się z nią zgadzał.

— Ależ Mamo, twój guru nie jest Bogiem — powiedziałem nagle, zadziwiając nawet samego siebie. — Żaden człowiek nie ma prawa, by się Nim zwać.

— No cóż, twój Jezus mówił, że jest Bogiem — odpowiedziała szybko, jakby tylko czekała i miała nadzieję, że poczynię taką uwagę. — Baba mówi tylko to, co także i Jezus powiedział o sobie.

Popatrzyłem na nią ze smutkiem.

— Ależ Mamo — powiedziałem szczerze — kiedy Jezus mówi, że jest Bogiem, to rzeczywiście jest Bogiem, a Biblia dowodzi, że taka jest prawda — twój guru natomiast jest tylko człowiekiem.

Mieszała właśnie jakąś potrawę w garnku stojącym na kuchni. Odwróciła się teraz, by spojrzeć mi w twarz.

— Obraziłeś mojego guru i moją religię; nie mam zamiaru znosić tego dłużej! Jeśli przyjechałeś tylko po to, by nawracać mnie na chrześcijaństwo, to nie fatyguj się i nie przyjeżdżaj już więcej! — Wybiegła z pokoju, pozostawiając mnie w szoku i osłupieniu. Po chwili usłyszałem jak krząta się po sypialni, z której korzystała; następnie rozległy się jej kroki, gdy powoli schodziła po schodach. Spotkałem ją w salonie.

— Wyjeżdżam — powiedziała krótko.

— Mamo, nie możesz tego zrobić — zaprotestowałem, wyjmując jej z ręki małą walizkę i stawiając ją na podłogę. — Proszę, nie odchodź!

Podniosła walizkę i zdecydowanym krokiem wyszła przez frontowe drzwi. Przyglądałem się jej przez okno, czując się rozbity i wyzuty z wszelkiej nadziei. Ona tymczasem pożegnała się z ludźmi zamieszkującymi tę samą posiadłość, z którymi zdążyła się zaznajomić. Następnie zniknęła w głębi ulicy, niosąc w rękę swoją małą torbę.

Nie mogłem uwierzyć, że to wszystko naprawdę się zdarzyło. Czekałem cierpliwie przez taki długi czas, i teraz kłapa! Było to jedno z najbardziej rozdzierających serce przeżyć w całym moim życiu. Zbyt oszołomiony, by myśleć, w jakiś sposób odszukałem drogę do mojego pokoju i upadłem na łóżko. Ogarnęła mnie skrajna rozpacz i prawie wcale nie byłem w stanie się modlić. „Panie”, błagałem, „czy po tych wszystkich latach to jest wszystko, co mogę powiedzieć o Tobie mojej matce? Jeśli teraz nie wróci, mogę jej już nigdy nie zobaczyć! Proszę, sprowadź ją tu z powrotem!” Modliłem się dalej, lecz moją duszę przepełniał taki ból, że wyczerpany w głębokim żalu zapadłem w sen.

Kiedy się obudziłem, było już ciemno. Ktoś chodził po sypialni, z której korzystała moja matka. Usiadłem

I zacząłem się przysłuchiwać. Czy to możliwe? Nagle wszystko ucichło; nie słyszałem nic poza moim własnym oddechem. Zwlekałem dopóty, dopóki mogłem znieść rosnące napięcie, a potem ostrożnie poszedłem na górę do jej pokoju. Leżała na swoim łóżku.

— Czy mogę przynieść ci coś na kolację? — zapytałem.

— Nie — wymamrotała cicho i odwróciła głowę. Poszedłem na dół i przygotowałem sobie coś do zjedzenia. Na górze nadal panowała cisza. Po kilku godzinach zapytałem ją, czy przynieść jej coś do picia, lecz jej odpowiedź była identyczna. Przez większą część nocy modliłem się za nią. Następnego dnia ponownie odrzuciła moje nieśmiałe propozycje dotyczące jedzenia i picia, pozostając w samotności w swoim pokoju. Wieczorem odwiedził mnie przyjaciel z Operacji Mobilizacja i wspólnie modliliśmy się przez długie godziny w pokoju znajdującym się pod sypialnią mojej matki.

Następnego ranka matka zeszła do kuchni i przygotowała śniadanie zupełnie tak, jakby nic się nie stało. Rozmawiając ze sobą unikaliśmy starannie jakiegokolwiek wzmianki na temat tego nieszczęsnego zdarzenia, trzymając się z dala od tematów, które mogłyby prowadzić do powtórnej sprzeczki. Był to dzień przed świętami Bożego Narodzenia — pierwszymi, które mieliśmy spędzić wspólnie w ciągu ostatnich 21 lat. Miałem do załatwienia jakąś sprawę w jednej z chrześcijańskich księgarni w Bombaju i była to ostatnia szansa przed zamknięciem sklepów na święta. Udałem się więc tam późnym popołudniem. Po zakończonej rozmowie, kiedy wraz z bratem prowadzącym księgarnię wychodziłem z jego biura, kierując się ku wyjściu, zwróciłem uwagę na książkę o interesującym tytule — „Teologia hinduska i chrześcijańska” — i kupiłem sobie jeden egzemplarz. Książka

zawierała wiele użytecznych informacji, które mogłem wykorzystywać w licznych wygłaszanych przeze mnie na ten temat wykładach.

Kiedy wróciłem do domu, matka przygotowywała już kolację. Zatrzymałem się w kuchni i zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, kiedy przyszedł mój przyjaciel z Operacji Mobilizacja.

— Mam tutaj coś, co chciałbym ci dać, Rabi — powiedział wręczając mi jakąś książkę. — Wiem, że interesuje cię to zagadnienie.

Wziąłem od niego książkę i zacząłem się śmiać.

— Dziękuję ci — powiedziałem ze szczerą radością — ale właśnie godzinę temu kupiłem sobie taką samą książkę. Co za zbieg okoliczności! — Otworzyłem torbę, którą położyłem wcześniej na stole i wyciągnąłem z niej drugi egzemplarz, po czym ułożyłem oba obok siebie. — I co teraz zrobię z dwoma takimi samymi książkami? — zapytałem żartem.

Matka przez cały czas przysłuchiwała się rozmowie. Pochyliła się teraz nad książkami i bacznie przyjrzała się tytułowi: „Teologia hinduska i chrześcijańska”. Nagle powiedziała:

— Mógłbyś dać jedną mnie!

Prawie zaniemówiłem ze zdumienia. Z trudem powstrzymałem się od okrzyku: „Chwała niech będzie Panu!” Nigdy nie ośmieliłbym się dać jej takiej książki i nawet teraz nie wyciągnęła po nią ręki. Pozostawiłem je leżące na stole. Natychmiast po zakończonej kolacji wzięła jeden z egzemplarzy i poszła na górę do swojego pokoju. Byłem przekonany, że od razu zaczęła ją czytać. Dostrzegłem teraz możliwość uczynienia tego, na co czekałem od lat.

Zadzzwoniłem do domu znanego mi już księgarza i zapytałem, czy mógłby wyświadczyć mi szczególną przysługę.

— Wiem, że księgarnia jest zamknięta na święta — powiedziałem — ale czy mógłbym w jakiś sposób zakupić egzemplarz Biblii?

Pomógł mi z chęcią, zwłaszcza, kiedy zwierzyłem mu się, że ma to być prezent dla mojej matki, który zabrałaby ze sobą do swojego aszramu.

Spokojnie i mile spędziliśmy wraz z matką święta. Następnego dnia po południu oboje musieliśmy opuścić Bombaj; ona wracała do świątyni swojego guru, a ja leciałem do Szwajcarii. Miałem tam wygłosić odczyt na Młodzieżowym Kongresie Misji na Świecie na temat zagrożenia wynikającego z rosnącego wpływu mistycyzmu wschodniego na Zachodzie oraz ogromnej potrzeby głoszenia Ewangelii na Wschodzie. Kiedy roztawaliśmy się, wręczyłem jej Biblię owiniętą w kolorowy świąteczny papier.

— Obiecaj mi coś — powiedziałem uśmiechając się. — Obiecaj, że nie otworzysz tej paczki przed przybyciem do świątyni.

— Obiecuje — powiedziała radośnie — chociaż wydaje mi się, że wiem już, co to jest. Ważyła paczkę w rękach i byłem pewien, iż sądzi, że to pudełko czekoladek.

— Nie, nie wiesz! — powiedziałem śmiejąc się. — To będzie prawdziwa niespodzianka, ale wiem, że ci się spodoba.

\* \* \*

Kilka tygodni później w Stanach Zjednoczonych otrzymałem list od matki. W jednym miejscu napisała: „Dziękuję ci bardzo za Biblię, Rabi. Trzymam ją pod poduszką i czytam codziennie”.

# Epilog

Od pierwszego wydania tej książki pod jej pierwotnym tytułem w 1977 roku wydarzyło się tak wiele, że opowieść o tym wszystkim mogłaby utworzyć jeszcze jeden taki tom. Towarzystwo Nowego Życia, które wspólnie z innymi miałem radość utworzyć, rozwinęło się ogromnie, przekraczając nasze oczekiwania. Pękająca w szwach szkoła biblijna położona jest teraz w przepięknej okolicy, w malowniczej szwajcarskiej wiosce Walzenhausen, leżącej wysoko ponad Jeziorem Konstancji. Roztacza się stamtąd rozległy widok na stykające się w tym miejscu Szwajcarię, Niemcy i Austrię. Szkołę opuściły już setki absolwentów, którzy teraz głoszą Ewangelię na całym świecie, a dzięki ich wysiłkom założonych zostało ponad 20 zborów. W rezultacie pozyskiwani są dla Chrystusa kolejni ludzie wywodzący się z różnych środowisk.

Aby pozostać wolnym i móc podróżować w dalszym ciągu po wielu miejscach, do których prowadził mnie Bóg, postanowiłem, że się nie ożenię przed ukończeniem 30 lat i tak też uczyniłem. W wieku lat 31 zawarłem w końcu związek małżeński. Franzi jest najlepszą małżonką, jaką mógłbym sobie wymarzyć — jest wspaniałą chrześcijanką, kochającą Pana równie gorąco jak ja. Jest tak samo jak ja oddana Panu i odgrywa znaczącą rolę w wyznaczonym mi przez Niego zadaniu. Nie mogłem znaleźć sobie lepszej żony.

Bóg obciążył moje serce prawdziwym brzemieniem, by docierać do ludzi na wszystkich kontynentach z Dobrą Nowiną o Jezusie Chrystusie, szczególnie jednak troską o tych, którzy szczerze poszukują prawdy, lecz są zwodzeni fałszywymi obietnicami wschodnich religii. Po ośmiu latach zaangażowanej działalności w Nowym Życiu opuściłem Towarzystwo z błogosławieństwem prowadzących je osób, by w pełniejszy sposób poświęcić się wykonywaniu tej szczególnej posługi, do której — jak byłem przekonany — przygotował mnie Bóg.

Otwierały się przede mną drzwi na wielu uniwersytetach w całej Europie oraz Ameryce Północnej. Co roku wyruszałem w kolejne podróże z mojej bazy niedaleko Zurychu w Szwajcarii. Przemawiałem na spotkaniach w ponad 300 uniwersytetach i szkołach wyższych od Helsinek po Barcelonę, od Wiednia po Londyn i od Harvardu po Berkeley. Ogromnym przeżyciem jest dla mnie zawsze to, kiedy stykam się ze szczególnym głodem duchowej

prawdy i rzeczywistości, jaki charakteryzuje studentów. Równie wspaniale jest obserwować, w jaki sposób ludzie w różnych miejscach odpowiadają na wezwanie Ewangelii. Rzadko zdarza się, byśmy przemawiali w sali, która nie jest wypełniona po brzegi i gdzie reakcja studentów jest mniej niż entuzjastyczna.

Na innym z etapów odczuwaliśmy potrzebę bliskiej współpracy z kościołami w państwach europejskich; Bóg otwiera przed nami drzwi na całym kontynencie, co sprawiało w nas radość z dzielenia się Chrystusem z mieszkańcami prawie wszystkich krajów Europy Zachodniej. Wszędzie, we wszystkich kościołach spotykaliśmy się u chrześcijan z wielką potrzebą informacji dotyczących wyzwania, jakie Wschód rzuca obecnie chrześcijaństwu. Wychodząc naprzeciw temu zapotrzebowaniu prowadzimy seminaria przeznaczone zarówno dla chrześcijańskich przywódców, jak i ludzi świeckich. Co więcej, odkryliśmy, że ludzie należący do różnych Kościołów często sami nieświadomie stają się ofiarami tej inwazji Wschodu. Muszą oni usłyszeć prostą Ewangelię o Jezusie Chrystusie przedstawioną w sposób, który przeciwstawi ją tak licznym popularnym nurtom tkwiącym korzeniami w ideologiach niechrześcijańskich.

W desperackim poszukiwaniu prawdy ciągnęli do nas niemal nieprzerwanym strumieniem ludzie z całego zachodniego świata — psychiatrzy i teolodzy, pastory i ich parafianie, milionerzy i hippisi. Niezmiennie stawaliśmy twarzą w twarz z tym niesłychanym oszustwem, pojawiającym się w życiu ludzi, zwróconych ku Wschodowi, powodującym ich emocjonalną oraz mentalną degradację i zniszczenie. Typowym przykładem może być tutaj przypadek pewnego milionera z Norwegii. Jego dwaj synowie — zdolni studenci uniwersyteccy, po śmierci matki, w poszukiwaniu pocieszenia zaangażowali się w medytację transcendentálną, w wyniku czego jeden z nich postradał zmysły i popełnił samobójstwo, a drugi wyobcował się całkowicie i opuścił dom. Zdruzgotany tymi wypadkami ojciec zwrócił się do nas po pomoc i z radością mogliśmy obserwować, jak otwiera swoje serce przed Jezusem Chrystusem.

Można by opowiedzieć setki niewiarygodnych historii o najróżniejszych ludziach, którzy — podobnie jak ja — uciekli dzięki naszej posłudze z na pozór beznadziejnej ciemności w prawdziwą światłość. Znanych jest nam wielu uczniów Swami Muktanandy — Joga Maharishi Mahesha, Maharaja Ji, Bhagwana Rejneesha oraz wielu wyznawców Hare Kriszna, którzy porzucili swoich guru, by przyjąć Pana Jezusa Chrystusa i pójść Jego śladem. Prawie każdy z nich (jak na przykład Peter z Irlandii, który był wyznawcą Hare

Kriszna, a potem udał się do Nigerii jako misjonarz) szczerze i aktywnie zaangażował się w głoszenie Ewangelii w jakiejś części świata.

Dla nas samych ogromnym wzruszeniem jest fakt, że dosłownie tysiące ludzi zwróciło się ku Chrystusowi po przeczytaniu pierwszego wydania tej książki. Świadczą o tym liczne otrzymywane przez nas listy oraz zasłyszane opowieści. Wielu — jeśli nie większość — spośród tych ludzi nie kupiło tej książki osobiście, lecz została im pożyczona przez przyjaciół lub najbliższych, którzy byli chrześcijanami. Kiedy ubiegłego lata uczestniczyłem w Międzynarodowym Kongresie Wędrownych Ewangelistów (około 5000 delegatów z całego świata) w Amsterdamie, pewien ewangelista z Azji opowiedział mi z wielkim przejęciem o tym, że osobiście zna ponad sto osób ze swojej okolicy, które po przeczytaniu tej książki stały się chrześcijanami. Najprawdopodobniej było to zasługą kilku zaledwie egzemplarzy, które znajdowały się w ciągłym obiegu.

Czasami bywałem świadkiem zadziwiających i niezaprzeczalnych cudów dokonywanych przez Boga, które stanowiły dla mnie wielkie źródło zachęty i otuchy. Znałem na przykład siostry bliźniaczki — Evelyne i Rosemary, mieszkające w Szwajcarii. Krótko po śmierci swego ojca obie zbuntowały się i porzuciły dom. Rosemary zaczęła pić alkohol i brać udział w licznych libacjach, a Evelyne wplątała się w narkotyki i seks, marnując swoje życie i trwoniąc majątek jako hippiska w Maroku. To właśnie tam zaraziła się bardzo rzadką i nieuleczalną chorobą krwi. Zrozpaczona matka przewiozła ją samolotem do domu. Pękało jej serce i w desperacji wezwała mnie na pomoc do Evelyne, umierającej w jednym ze szpitali w Zurychu.

Matka nie szczędziła pieniędzy, a lekarze czynili wszystko, co było w ich mocy, lecz nadaremnie. Nie znano przypadku, by ktoś przeżył tę straszliwą chorobę. Kiedy matka Evelyne w końcu się ze mną skontaktowała, dziewczyna była nieprzytomna już od kilku tygodni. Lekarze spisali ją na straty, przepowiadając bliską śmierć. Kobieta ta była zdruzgotana w swojej bezgranicznej rozpacz. W drodze do szpitala wylała przede mną żal przepelniający jej serce z powodu tragedii jej córek, a szczególnie tej, która leżała teraz na łożu śmierci. Modliłem się żarliwie o to, by Evelyne mogła odzyskać przytomność choćby na tyle, bym mógł podzielić się z nią Ewangelią.

Stanąwszy przy jej łóżku, powiedziałem cicho: „Evely-ne!” Ku zdumieniu jej matki i siostry Evelyne po raz pierwszy od kilku tygodni otworzyła oczy. Przekazałem jej Dobrą Nowinę o Jezusie Chrystusie najkrócej i najprościej jak potrafiłem, wiedząc, że w każdej chwili może pograć się w wieczności.

Powtórzyła za mną modlitwę, zapraszając Jezusa Chrystusa, by wkroczył w jej życie i w cudowny sposób za sprawą Ducha Świętego narodziła się na nowo. Modliłem się dalej o to, by Bóg dotknął jej umierającego ciała i uzdrowił ją; a Pan w swoim ogromnym miłosierdziu cudownie odpowiedział na tę modlitwę. Ku wielkiemu zdumieniu lekarzy, pielęgniarek i wszystkich innych Evely-ne w pełni odzyskała zdrowie. Obecnie jest szczęśliwą żoną i wraz ze swoim mężem aktywnie angażuje się w działalność chrześcijańską w środowisku młodzieżowym. Rosemary również przyjęła Chrystusa na jednym z moich spotkań, które odbywało się na drugi dzień po modlitwie z Evelyne. Także i ona służy Panu, prowadząc działalność na Dalekim Wschodzie i w Afryce. Ich matka uczyniła ten sam krok i podobnie udziela się w działalności na rzecz swojego Pana.

Kiedy pracujemy na Zachodzie, nasze serca podążają często na Wschód — i co pewien czas wracam do Indii, by głosić tam Chrystusa. Pomimo sporej opozycji otwiera się tam przede mną wiele możliwości i gdyby nie brak miejsca, mógłbym opowiedzieć o wielu wzruszających zdarzeniach — jak na przykład o tym, że byłem pierwszym chrześcijaninem głoszącym Ewangelię na Uniwersytecie Hinduskim w Bena-res — Alma Mater mojej matki. Przebywając w tym mieście miałem także sposobność przemawiać do środowisk prawniczych, składających się głównie z braminów i przedstawicieli innych wysokich kast hinduskich. Jeden z nich ze łzami w oczach powiedział mi później, że nie słyszał niczego podobnego w całym swoim życiu i błagał mnie: „Proszę, przyjedź znowu!”.

W roku 1974 ogarnęło mnie gorące pragnienie wyjazdu do Indii i spędzenia tam reszty mojego życia. Mając już prawie spakowany bagaż, podzieliłem się moimi planami z doktorem Francisem Schaefferem, znanym w wielu krajach przywódcą chrześcijańskim i autorem ponad 20 książek, który przez wiele lat prowadził swoją działalność misyjną wśród zachodnich intelektualistów. Ma swoją bazę w Alpach Szwajcarskich. Poradził mi wtedy, bym przemyślał moje plany i modlił się o to, był bowiem przekonany, że powinienem zostać na Zachodzie — dzięki niezwykłej historii mojego życia nadawałem się w szczególności do tego, by pomagać ludziom, Ignącym do tego, co ja porzuciłem wcześniej. Dr Schaeffer porównał Europę Zachodnią do szeroko otwartych ust pożerających religie Wschodu. Przypomniał mi, że już od lat ostrzegał swoich słuchaczy o tej nadchodzącej inwazji. Posłuchałem jego rady i kilka następnych dni spędziłem przeważnie na modlitwie, dochodząc do głębokiego przekonania, że Schaeffer miał rację: Bóg zlecił mi określoną misję do spełnienia na Zachodzie. Niedługo potem

zasypała mnie lawina zaproszeń na spotkania w całej Europie Zachodniej i potraktowałem to jako potwierdzenie od Pana słuszności mojej decyzji.

Jednak pomimo całej tej pracy prowadzonej na Zachodzie, jednym z najbardziej ekscytujących zjawisk był rozwój działalności misyjnej na Wschodzie. Kiedy przebywałem jeszcze w London Bible College, zapoczątkowałem za sprawą Boga projekt przyznawania stypendiów biednym studentom z Azji, a w szczególności z Indii. Są w tym kraju tysiące gorliwych młodych chrześcijan, którzy szczerze pragną i powinni otrzymać wykształcenie w college'u czy seminarium, nie jest to jednak możliwe z powodu braku środków finansowych. Większość z nich pochodzi z ubogich rodzin. Dzięki hojności braci na Zachodzie możemy co roku przyznawać dziesiątki stypendiów. Na przykład w roku 1984 przyznano ich 65. Indie cierpią nie tylko na brak strawy fizycznej, lecz również na brak lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli i oczywiście kaznodziejów. W czasie podróży po Indiach wspaniale jest spotykać naszych stypendystów, którym mogliśmy pomóc, a którzy prowadzą teraz radosne i owocne życie dla Pana Jezusa Chrystusa.

Moja matka, którą darzę ogromną miłością, nie zwróciła się jeszcze ku Chrystusowi. Jej guru, Muktananda, nadał jej przed swoją śmiercią tytuł Swami. Jest to przykre, ale nie ustajemy w naszych szczerych modlitwach w jej intencji. Natomiast najstarsza siostra mamy, ciotka Sumintra, u której jako chłopiec spędzałem moje najwspanialsze wakacje, przyjęła Chrystusa i jest teraz jedną z Jego najbardziej gorliwych uczennic. Ciotka Revati, po dwóch latach intensywnej pracy misyjnej w Europie, pojechała do Indii, gdzie prowadzi bardzo skuteczną działalność ewangelizacyjną, doprowadzając wielu Hinduśów do Chrystusa.

Po ukończeniu studiów politologicznych i teologicznych na chrześcijańskich uczelniach w Niemczech Zachodnich i USA również i Ananda udał się do Indii, przyłączając się do swojej matki, by głosić Ewangelię w całym kraju. Pomimo fanatycznej opozycji — licznych włamań, złośliwego wandalizmu i pogróżek ze strony Hinduśów — oboje odważnie nie ustają w pracy dla Pana. Sandra, przepracowawszy kilka lat jako pielęgniarka w Szwajcarii, wyszła za lekarza i obecnie oboje pracują jako lekarze i misjonarze w najbardziej potrzebujących pomocy rejonach Afryki. Kriszna, który (z oczywistych powodów) nazywa się teraz Krister, po ukończeniu Yale uzyskał tytuł doktora w dziedzinie filozofii religii na Uniwersytecie Harvarda, gdzie w ciągu spędzonych tam lat dzielił się Chrystusem z profesorami i studentami w tym niezwykle trudnym

środowisku. Obecnie jest aktywnie zaangażowany w działalność misyjną wśród zagranicznych studentów w rejonie bostońskim, który skupia jedną z najliczniejszych cudzoziemskich społeczności studenckich na świecie.

Pod koniec jednego z moich wykładów w Centrum Naukowym Uniwersytetu Harvarda powstał pewien nie w pełni usatysfakcjonowany student, by zadać mi ostatnie, wyzywające pytanie tego wieczoru:

— Mr Maharaj — zaczął krytycznym, sarkastycznym tonem — zwrócił się pan od hinduizmu ku chrześcijaństwu. Jak zareagowałby pan, gdyby ktoś będący na pana miejscu wrócił do poprzednich pana poglądów?

Zastanowiłem się na moment, prosząc Boga o dobrą odpowiedź na to ważne pytanie — prawdopodobnie najtrudniejsze tego wieczoru — i odpowiedziałem:

— Nigdy nie potrafiłbym zrozumieć, w jaki sposób ktoś, na moim obecnym miejscu, mógłby kiedykolwiek wrócić do moich poprzednich poglądów, gdyby rzeczywiście był na moim miejscu. Z mych obserwacji wynika, że mieszkańcy Zachodu szukający prawdy na Wschodzie po prostu nigdy osobiście nie poznali Chrystusa. — Po tych słowach zebrani zgotowali mi owację na stojąco.

Może to dziwne, ale takie wyzywające pytania pochodziły nie tylko od niechrześcijan, lecz także od tak zwanych chrześcijańskich przywódców. Po wygłoszonym przeze mnie wykładzie w pewnej szkole dla nauczycieli w Szwajcarii podobne wyzwanie rzucił mi dyrektor wydziału religii, będący równocześnie pastorem w Kościele reformowanym. Wyrażając brak aprobaty dla mojego wykładu z religioznawstwa porównawczego, powiedział:

— Byłem misjonarzem w Indiach przez 20 lat i widziałem ludzi czczących swojego kamiennego boga. Wierzę więc w to, że kiedy Hindus czci swoich bożków, oddaje cześć Bogu Biblii. Nie pomaga pan w rozwijaniu ekumenii, jakiej potrzebujemy w porozumieniu między religiami, poprzez zaznaczanie tych drastycznych różnic!

— Z całym szacunkiem, pastorze — odpowiedziałem — ale to ja byłem tym Hindusem czczącym kamienne bóstwa. Dziś czczę Boga Biblii i myślę, że upoważnia mnie to do stwierdzenia, że to nie to samo — kamienne bożki i Bóg to dwa oddzielne światy!

Krótko po moim nawróceniu w 1962 roku pewien Hindus z sąsiedztwa powiedział mi, że nie potrwa to długo. Dzisiaj moje serce przepełnione jest wdzięcznością Bogu, że utrzymał mnie w swojej mocy i nigdy nie pozwolił mi zbłądzić nawet na jeden dzień — i trwa to już przez 22 cudowne lata! Przez wszystkie te lata studiowałem dogłębnie Biblię, dostrzegając, jak

prawdziwe jest każde jej słowo. Widziałem też, jakich cudów dokonuje Bóg w życiu ludzi na całym świecie i jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany o tym, że Jezus Chrystus jest dokładnie tym, za kogo się podawał: Drogą, Prawdą i Życiem.

Jestem również wdzięczny Bogu za to, że obdarzył mnie przywilejem głoszenia Ewangelii o Jezusie Chrystusie nie tylko na uniwersytetach, w kościołach i salach wykładowych, lecz także w radiu i telewizji, w 56 krajach tego ginącego świata. Jestem zdecydowany kontynuować to dzieło do ostatniego tchnienia — albo do powrotu Jezusa po należących do niego ludzi.

Rabi Maharaj

PF. 758

8026 Zurich

Switzerland — Szwajcaria

# Słownik

**AHIMSA (AHINSA)** Zasada niestosowania przemocy w odniesieniu do wszelkiego życia. Ponieważ Hindusi wierzą, że owady i zwierzęta, dzięki dobrej karmie, ewoluują w górę, by stać się ludźmi — a ludzie przez złą karmę mogą ponownie stać się zwierzętami lub owadami — zabijanie i spożywanie jakiejkolwiek żywej istoty poza roślinami byłoby równoznaczne z morderstwem i kanibalizmem. Dlatego też Hindusi muszą być wegetarianami.

Ahimsa nie jest jednak całkowicie zgodna ani z hinduskimi pismami, ani z praktyką. Wielu Hinduśów w dalszym ciągu składa ofiary ze zwierząt, a w trakcie swojej historii Hindusi nie dali dowodów mniejszej skłonności do zabijania wrogów w wojnach i rewolucjach niż ludzie nie głoszący zasady ahimsy. Hindusi powstrzymywali się jednak zawsze od zabijania krów.

**ARTI** Obrządek religijny polegający na wykonywaniu określonych ruchów świętym płomieniem lub kadzidłem — trzymanym na tacy w prawej ręce — w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara dookoła wizerunku boga lub świętego. Obrządku tego może dokonywać każdy Hinduś w swoim własnym pokoju modlitw.

**ASZRAM** Od hinduskiego słowa asrama oznaczającego cztery „fazy” w życiu dwukrotnie narodzonego (pochodzącego z wysokiej kasty) Hinduśa: 1) wiek młodzieńczy spędzony w celibacie na studiach religijnych; 2) życie w małżeństwie i płodzenie dzieci; 3) okres wycofania się z życia do pustelni na medytacje i oddawanie się religijnym obowiązkom i rytuałom; 4) wiek podeszły, kiedy oczekuje się od człowieka wyrzeczenia się całego majątku za wyjątkiem przepaski na biodra, miski żebraczej i dzbanka na wodę; utrzymywania się z żebractwa i uwolnienia się od wszystkich obowiązków i rytuałów. Termin ten stosowany jest często w odniesieniu do trzeciej „fazy” życia, jak również w odniesieniu do pustelni mędrca. Obecnie używany jest powszechnie dla określenia religijnej społeczności lub oazy w Indiach, gdzie odbywa się zazwyczaj naukę pod kierunkiem guru. Nawet niektóre chrześcijańskie organizacje w Indiach nazywają swoje oazy „aszramami”.

**AWATAR (AWATARA)** W najogólniejszym sensie wcielenie jakiegokolwiek boga w dowolną istotę żywą. Każdy gatunek ma prawdopodobnie swoich własnych awatarów. Jednakże w szczególnym

sensie, awatar to wcielenie Wisznu. Niektórzy Hindusi utrzymują, że Wisznu miał niezliczone wcielenia, podczas gdy inni uczą, że przyszedł jako awatar tylko dziewięć razy: jako ryba, żółw, sfinks, dzik i karzełek oraz jako Rama, Kriszna, Budda i Chrystus.

Rola, jaką pełni awatar w zbawieniu człowieka, nie jest dokładnie znana, lecz generalnie jest on uznawany za guru w każdym swoim wcieleniu. Wielu ortodoksyjnych Hindusów wierzy, że następny awatar po Chrystusie — Kalki, pojawi się na ziemi za około 425 tysięcy lat. Istnieją jednak obecnie setki guru, którzy są uznawani za awatarów przez swoich zwolenników.

**BARAHI** Od słowa barah oznaczającego „dwanaście” — ceremonia religijna odbywająca się dwunastego dnia po narodzeniu bramina płci męskiej, w czasie której mędrcy i astrologowie przepowiadają przyszłość dziecka.

**BHAGAVAD-GITA** Najpopularniejsze z pism hinduskich, część Mahabharaty, i najpowszechniej czytana święta księga hinduska na Wschodzie i na Zachodzie. Znana jako „Pieśń Pana” i nazywana często „ewangelią hinduizmu” Gita jest dialogiem między wojownikiem Arjuną, który wzdraga się przed zabiciem swoich krewnych w toczonej wojnie, a awatarem — bogiem Kriszna, który występuje jako woźnica w rydwanie Arjuna i zachęca go do spełnienia obowiązku dobrego i odważnego wojownika w bitwie.

**BHAGWAN** Słowo oznaczające w języku hindi Boga lub Pana.

**BHAI** Dosłownie „brat”, honorowy tytuł nadawany ludziom równym sobie. Starszy, religijny Hinduś nie użyłby tego określenia w stosunku do nastolatka, i nigdy w odniesieniu do dziecka. Dlatego też, kiedy Gosine zaczął w ten sposób nazywać Rabiego, było to znakiem, że przeniósł na niego cześć i szacunek, jakimi obdarzał jego ojca.

**BHAJANY** Pieśni wyrażające nabożną miłość, stanowiące część kultu bogów.

**BŁOGOŚĆ (SZCZĘŚCIE, ROZKOSZ)** Stan osiągnąć po rozproszeniu dzięki medytacji i oświeceniu iluzji w jakimkolwiek istnieniu poza Brahmanem, który jest czystą formą istnienia—wiedzy—szczęścia i po ustaniu wszelkich pragnień. Ponieważ stan ten ma istnieć ponad ból czy przyjemność, Budda, który był wychowany jako Hinduś, uważał go za „nicość”, nazywaną też przez niego „nirwaną”.

**BRAHMA** Nie należy mylić go z Brahmanem, który jest skupieniem wszystkich bogów w jednym. Brahma, Stwórca, jest pierwszym bogiem w hinduskiej trójcy. Dwaj pozostali to Wisznu — Obrońca i Śiwa — Niszczyciel. Najprawdopodobniej co 4,32 miliarda lat Śiwa niszczy

wszystko, Brahma ponownie wszystko tworzy, a Wisznu wciela się jeszcze raz, by objawić drogę prowadzącą do Brahmanu. Brahma, malowany często w momencie wychodzenia z pępka Wisznu (co wydaje się być sprzeczne z jego rolą Stwórcy) jest zazwyczaj przedstawiany z czterema głowami i czterema rękami, w których trzyma narzędzia ofiarne, paciorki modlitewne i manuskrypt.

**BRAHMACHARYA** Dosłownie „życie religijne”, nazwa nadawana pierwszemu z czterech etapów w życiu wysoko urodzonego Hindusa. Ponieważ jest to czas obowiązkowej abstynencji cielesnej, słowo to zaczęto również stosować w odniesieniu do starszych religijnych Hindusów, którzy w dalszym ciągu przestrzegają tego ślubowania czystości.

**BRAHMAN** Najwyższa rzeczywistość: pozbawiona formy, niewyraźna, niepoznawalna i niewiedząca; nie jest ani osobowa ani bezosobowa; jednocześnie Stwórca i wszystko, co zostało przez niego stworzone. Brahman jest wszystkim i wszystko jest Brahmanem.

Najwyższą prawdą i zbawieniem dla Hindusa jest „uświadomienie sobie”, że on sam jest Brahmanem, że on i cały wszechświat są jedną i tą samą Istotą. Brahman nie jest jednak po prostu innym określeniem Boga Biblii. Jest to koncepcja obca i przeciwna Bogu judeochrześcijańskiemu. Brahman jest wszystkim, a jednocześnie niczym; łączy w sobie zarówno dobro, jak i zło, życie i śmierć, zdrowie i chorobę, a nawet nierzeczywistość, jaką stanowi maya.

**BRAMIN** Członek najwyższej hinduskiej kasty i dzięki tysiącom reinkarnacji najbliższa Brahmanowi forma człowieka, będąca przez to pośrednikiem między Brahmanem a pozostałymi kastami. Tylko bramin może zostać kapłanem. Daje to braminom wielką władzę nad pozostałymi kastami; bramini muszą jednak prowadzić bardziej religijne życie niż nie-bramini i każdy karygodny czyn popełniony przez bramina pociąga za sobą o wiele surowszą karę niż w przypadku członków niższych kast.

W sanskrycie kasta określona jest słowem varna oznaczającym kolor. Bramini są prawdopodobnie potomkami jas-noskórych Aryjczyków, którzy podbili Indie i nawet obecnie skóra braminów jest na ogół o kilka odcieni jaśniejsza niż u pozostałych kast.

**CHANAN** Delikatna, aromatyczna pasta z drzewa sandałowego używana do wykonywania znaków kastowych i rytualnych zarówno na bóstwach, jak i na wyznawcach. Znaki te wykonuje się na ogół na czole lub na karku.

**DAKSHINA** Jedno z wielu imion Śiwy, znaczące dosłownie „po prawej” i

dlatego używane w odniesieniu do pieniężnej ofiary składanej braminom, którą trzeba podawać na prawej dłoni.

**DEVATY (DEVY)** Bóstwa lub bogowie.

**DEYA** Niewielkie naczynie gliniane z dziobkiem, na którym pali się płomień, zawierające zazwyczaj tłuszcz bawoli lub innego rodzaju oraz knot. Zapala się je w czasie obrzędów religijnych i szczególnych uroczystości.

**DHARMA** Właściwy sposób życia dla Hindusa. Nie jest on czymś absolutnym i jest inny nie tylko dla każdej kasty, lecz także dla każdego człowieka, musi być odkryty przez każdego z osobna. Nie jest to zasada moralna, angażuje raczej pewną dyscyplinę, która ma doprowadzić człowieka do mistycznej jedności z Brahmanem. Dyscyplina ta niekoniecznie odnosi się konsekwentnie do moralnego rozróżnienia między dobrem a złem, które tkwi w świadomości człowieka. Dharma każdego człowieka może być właściwie ponad dobro i zło.

**DHOTI** Długi kawałek materiału owijany przez mężczyzn dookoła siebie jak spódnica. Zazwyczaj zwisa aż do ziemi, lecz w czasie upału lub przy wykonywaniu cięższych prac można zatknąć jej brzegi za pas, skracając ją o połowę. Niektórzy przeciągają ostatnich kilkadziesiąt centymetrów materiału między nogami, zamieniając spódnicę w workowate spodnie.

Mimo że w miastach Hindusi noszą obecnie stroje zachodnie, dhoti używa się powszechnie na wsi. Nawet w miastach święci mężowie i kapłani noszą na ogół dhoti, często uzupełniając strój marynarką.

**FALLUS (LINGAM)** Termin używany w odniesieniu do symbolu boga Śiwy w postaci męskiego członka. Istnieją dowody na istnienie kultu fallicznego w dolinie Indusu jeszcze przed inwazją Aryjczyków. Początkowo wyśmiewany przez aryjskich zdobywców kult tego erotycznego symbolu został później przez nich przejęty. Mimo że wiąże się z kultem płodności, tantryzmem i religijnymi rytuałami obejmującymi perwersje seksualne, fallus Śiwy jest ważnym przedmiotem kultu prawie w każdej hinduskiej świątyni, a nie tylko w tych świątyniach, które są szczególnie poświęcone Śiwie.

**GHAT** Specjalny teren przeznaczony do obrzędowej kremacji ciał ludzkich. W Indiach wiele jest takich miejsc, lecz najbardziej popularne i święte leżą w pobliżu niektórych „świętych” miast, jak na przykład Benares, wzdłuż brzegów Gangesu, co ułatwia rozrzucenie prochów nad wodami świętej rzeki.

**GURU** Dosłownie nauczyciel, lecz w tym sensie, że jest on objawieniem Brahmanu. Techniczna strona nauki z pism hinduskich nie polega na samym ich czytaniu. Muszą one być nauczane przez guru, który sam również

pobierał nauki u swojego guru. W celu osiągnięcia stanu samoświadomości (uświadomienia sobie własnej Jaźni) każdy Hinduś musi mieć swojego guru. To właśnie za pośrednictwem guru starożytna mądrość mędrców przechodzi na kolejne pokolenia. (Wiele osób studiujących Biblię dostrzega zadziwiające podobieństwo między tą koncepcją duchowego oświecenia przez wiedzę a Drzewem Poznania Dobrego i Złego, które spowodowało upadek człowieka w Raju).

Guru jest czczony nawet po śmierci i wielu Hindusów uważa, że może on w większym stopniu porozumiewać się z nimi po przejściu z tego świata do domniemanych wyższych sfer istnienia. Dlatego miejsce spalenia ciała guru jest uważane przez wielu za idealne miejsce do prowadzenia medytacji.

**GUŚLARZ** Rodzaj czarowników, uzdrowicieli, sprowadzonych do Indii Zachodnich z Afryki, często obrażanych przez Hindusów. Powszechnie uważa się, że mają oni władzę nad mocami demonów i innych istot niższego rzędu, które za pewną opłatą wykorzystują do spełniania życzeń ludzi zwracających się do nich po pomoc.

**HINDUIZM** Główna religia w Indiach obejmująca tak wiele różnorodnych i sprzecznych ze sobą wierzeń, że aż niemożliwa jest do zdefiniowania. Można być panteistą, politeistą, monoteistą, agnostykiem, a nawet ateistą; moralistą lub amoralistą; dualistą, pluralistą lub monistą; można regularnie uczęszczać do świątyni i czcić różnych bogów lub w ogóle nie przestrzegać obowiązków religijnych — i nadal można zwać się Hindusem.

Hinduizm twierdzi, że obejmuje i akceptuje wszystkie religijne wierzenia, lecz każda zawarta w tym religia staje się częścią hinduizmu. Zwolennicy synkretyzmu próbują umieszczać chrześcijaństwo w tych „wszechogarniających objęciach”, lecz jest rzeczą oczywistą, że Bóg Biblii nie jest Brahmanem, niebo nie jest nirwaną, Jezus Chrystus nie jest po prostu jednym z wcieleń Wisznu oraz że zbawienie przez łaskę Bożą i wiarę w śmierć Chrystusa za nasze grzechy i Jego zmartwychwstanie jest sprzeczne z całą nauką hinduizmu.

**JANMA** Nazwa nadawana poprzedniemu życiu przez tych, którzy wierzą w reinkarnację. Oznacza ona swego rodzaju odskocznnię na drodze egzystencji przygotowującą człowieka do uczynienia następnego kroku. Jedna janma decyduje o tym, jaka będzie następna.

**JIVAN-MUKTI** Stan niezwykle wychwalany w Bhagavad--Gicie jako najwyższy ideał dla człowieka. Jest to osiągnięcie przez Jogę mistycznej jedności z Brahmanem jeszcze w ludzkim ciele.

**JOG** W potocznym znaczeniu każdy, kto osiągnął pewną sprawność w praktykowaniu Jogi. W prawdziwym znaczeniu człowiek będący mistrzem Jogi — to znaczy ktoś, kto dzięki praktykowaniu Jogi osiągnął jedność z Brahmanem, która jest jej celem.

Prawdziwy medytujący Jog odcina się od wszelkich bodźców zmysłowych — od rodziny, przyjaciół i wszelkich kontaktów z ludźmi. Przebywa rzekomo poza przestrzenią, czasem, kastami, krajami, religią, a nawet dobrem i złem.

Jak powiedział Kriszna w Bhagavad-Gicie, dla Joga nie liczy się nic poza samą Jogą.

**JOGA** Dosłownie „połączenie” — odnosi się to do jedności z Brahmanem. Istnieje kilka rodzajów i szkół Jogi oraz różne techniki, lecz wszystkie mają ten sam ostateczny cel, jakim jest jedność z Absolutem.

Pozycje oraz kontrola oddechu są pomyślane jako pomoc w prowadzeniu wschodniej medytacji oraz jako sposób kontrolowania ciała przy wprowadzaniu dyscypliny wiodącej do wyrzeczenia się wszelkich pragnień, które mogłyby w przeciwnym razie wpływać na umysł.

Zadaniem Jogi jest zwłaszcza wywoływanie stanu transu, który ma pozwolić umysłowi na wyzwolenie się i połączenie z Brahmanem. Joga jest sposobem na wycofanie się ze świata iluzji i udania się na poszukiwanie jedynej prawdziwej Rzeczywistości. Jeśli chce się osiągnąć jedynie sprawność fizyczną, trzeba raczej wybrać ćwiczenia przeznaczone specjalnie do tego celu. Żadna część Jogi nie może być oddzielona od kryjącej się za nią filozofii.

**KARMA** Dla Hindusów — prawo przyczyny i skutku, które decyduje o przeznaczeniu i losie. Zasada ta uczy, że za każdą moralną lub duchową myśl, słowo lub czyn, karma wywołuje nieunikniony skutek. Prawdopodobnie nie mogłoby się to odbyć w jednym życiu; karma czyni więc z reinkarnacji rzecz niezbędną. Okoliczności i warunki każdego następnego narodzin oraz wydarzenia każdego następnego życia zależą całkowicie od postępowania człowieka w tym samym wieku w poprzednich wcieleniach. W karmie nie istnieje przebaczenie. Każdy człowiek musi cierpieć za swoje własne uczynki.

**KASTA** Doktryna popierana w Gicie przez Krisznę i prawdopodobnie stworzona przez aryjskich zdobywców Indii w celu utrzymania dobrowolnego podporządkowania się im podbitych ciemnoskórych drawidyjczyków. Nauka ta głosi, że cztery istniejące kasty — bramini, ksatrijowie, wajsjowie i siudrowie — powstały z czterech części ciała

Brahmy — bramini z głowy, a pozostali z kolejnych niższych części. W naturalny sposób wynikały stąd nauki dotyczące karmy i reinkarnacji, mówiące, że członkowie niższych kast przez akceptację swojego losu bez skargi mogą poprawić swoją karmę i mieć dzięki temu nadzieję na wyższe wcielenie przy następnych narodzinach.

Niedotykalni (pariasi) znajdowali się poniżej systemu kastowego i dlatego nie należeli do religijnego systemu hinduizmu. Po najeździe na Indie muzułmanów najłatwiej było nawrócić pariasów, gdyż islam oferował im natychmiastowy wyższy status. Większość chrześcijan w Indiach również wywodzi się od pariasów. Wielu z nich jest chrześcijanami tylko z nazwy po to, by nie być pariasami.

**KRISZNA** Najpopularniejszy i najbardziej kochany przez ludzi bóg hinduski, bohater niezliczonych legend, z których wiele ma charakter erotyczny. Kriszna jest najlepiej znanym na Zachodzie bogiem hinduskim dzięki misyjnej gorliwości śpiewających, tańczących i odzianych w szafran uczniów „Hare Kriszna”, których widuje się w większości dużych miast. Mają oni nadzieję na osiągnięcie szczęścia i zbawienia przez wielokrotne, monotonne śpiewanie mantry: „Hare Kriszna, Hare Kriszna, Hare Rama, Hare Rama, Hare Hare Hare”. Podobnie jak Rama, Kriszna jest uważany za jedno z wcieleń Wisznu.

**KUNDALINI** Dosłownie „zwinięta”: jest to imię bogini symbolizowanej przez węża zwiniętego w 3 i 1/2 zwoju, śpiącego z ogonem w paszczy. Bogini ta, albo „wąż życia, ognia i mądrości”, ma mieszkać w ciele człowieka u podstawy kręgosłupa. Wzbudzona bez odpowiedniej kontroli, szaleje we wnętrzu człowieka jak zły wąż z siłą, której nie sposób się oprzeć.

Mówi się, że bez odpowiedniej kontroli kundalini wytwarza nadprzyrodzoną moc psychiczną mającą swoje źródło w istotach demonicznych i w końcu doprowadza do moralnego, duchowego i fizycznego zniszczenia. Niemniej jednak, to właśnie moc kundalini ma być wyzwalana i kontrolowana przy pomocy medytacji i Jogi. Zaawansowani studenci Medytacji Transcendentalnej oraz innych form medytacji praktykowanych obecnie na Zachodzie doświadczali przeżyć związanych z kundalini.

**LOTA** Niewielka mosiężna czara, z której w czasie różnych obrzędów religijnych wylewana jest, rozpryskiwana lub pita „święta” woda.

**MAHABHARATA** Jeden z dwóch wielkich poematów epickich wśród pism hinduskich, drugi z nich to Ramayana. Składa się ona ze 110 000 dwuwierszy i jest trzy razy dłuższa od chrześcijańskiej Biblii, a co za tym

idzie, jest najdłuższym poematem na świecie. Jest ona dziełem wielu poetów i redaktorów, którzy nieustannie dokonywali w niej odpowiadających im zmian, dodając, usuwając lub poprawiając pewne fragmenty. Zawarte w niej nauki nie są spójne i często jawnie sprzeczne; niemniej jednak pismo to jest w dalszym ciągu czczone przez Hindusów.

**MANDIR** Jedno ze słów oznaczających hinduską świątynię.

**MANTRA** Symbol dźwiękowy, składający się z jednej lub więcej sylab, używany często do wywoływania stanu mistycznego. Musi być przekazana przez żywy głos należący do guru i nie można nauczyć się jej w żaden inny sposób. Rozumienie znaczenia mantry nie jest konieczne; jej skuteczność leży w powtarzaniu dźwięku. Mantra ma uosabiać ducha lub bóstwo, a jej powtarzanie przywołuje tę istotę do osoby wymawiającej mantrę. W ten sposób mantra spełnia dwie funkcje: zaprasza konkretną istotę do wstąpienia w osobę, która ją powtarza oraz wywołuje w osobie medytującej stan pasywności ułatwiający to połączenie istot.

**MAYA** Hinduska koncepcja pozornego istnienia całego wszechświata — zarówno umysłu, jak i ciała w postaci doświadczanej przez człowieka. Ponieważ Brahman jest jedyną Rzeczywistością, wszystko inne jest iluzją, wychodzącą od Brahmy Stwórcy jak ciepło powstające z ognia. Człowiekowi w jego ignorancji nie udaje się dostrzec jedynej Rzeczywistości i dlatego akceptuje on tę iluzję albo nierzeczywisty wszechświat form, bólu i smutku. Zbawienie następuje przez oświecenie, które rozwiewa tę iluzję.

Ponieważ wszechświat wydaje się być taki sam dla wszystkich obserwatorów i rządzi się określonymi prawami, niektóre sekty hinduskie uczą, że maya jest w rzeczywistości snem bogów i że ludzie dodają tu tylko swoje osobiste poczucie cierpienia.

**MEDYTACJA** Na Zachodzie oznacza ona racjonalne rozważania, kontemplację, lecz dla wschodnich mistyków jest czymś wręcz odwrotnym, co wywołuje na Zachodzie spore zamieszanie w tym względzie.

Medytacja wschodnia (rozumiana jako Medytacja Transcendentalna, Zen, itd.) jest techniką odrywania się od świata rzeczy i idei (od maya) przez uwolnienie umysłu od wszelkich świadomych czy racjonalnych myśli, co powoduje przeniesienie człowieka w „wyższe” stany świadomości.

Mimo że jest ona popularyzowana na Zachodzie pod wieloma nazwami, celem każdej wschodniej medytacji jest „uświadomienie sobie” własnej podstawowej jedności ze Wszechświatem. Są to drzwi do „nicości” zwanej nirwaną. Medytacja, sprzedawana powszechnie jako technika „relaksująca”,

ma w rzeczywistości na celu i w końcu doprowadza do poddania się mistycznym siłom kosmicznym.

**MĘDRZEC (PANDIT)** Bramin szczególnie obeznany w hinduizmie i zdolny do stosowania tej wiedzy dla dobra innych, na przykład poprzez rady dotyczące przyszłości, wstawianictwo u bogów i sprawowanie religijnych rytuałów i obrzędów. Nie wszyscy bramini są kapłanami lub mędrkami. Mimo że wszyscy bramini przez urodzenie automatycznie zyskują takie prawo, nie wszyscy w wystarczającym stopniu oddają się religii, by móc zostać mędrkami. Obecnie większość braminów w Indiach wykonuje świeckie zawody.

**MOKSZA** Uwolnienie z cyklu reinkarnacji przez wkroczenie w najwyższy stan istnienia osiągany przez tych, którzy uciekli przed wszechświatem maya i dotarli do jedności z Brahmanem. Hindusi oczekują na moksza jako koniec bólu i cierpienia, narzucanego im przez reinkarnację w kolejnych wcieleniach. Według ortodoksyjnego hinduizmu nie ma jednak ostatecznej ucieczki i w końcu trzeba powrócić do cyklu kolejnych śmierci i narodzin. Ponieważ kiedyś był tylko Brahman — jak mówią hinduskie pisma — powrót do niego nie przyniesie nic dobrego; moksza jest tylko tymczasowym odpoczynkiem, kolejnym stadium w kole egzystencji, które obraca się w nieskończoność, powtarzając się co 4,32 miliarda lat.

**NAMAHSTE** Popularne hinduskie pozdrowienie, oznaczające dla niektórych po prostu „dzień dobry”. Towarzyszy mu złożenie dłoni i uprzejmy ukłon, będący uznaniem Uniwersalnej Jaźni znajdującej się we wszystkich ludziach.

**NIRWANA** Dosłownie „zdmuchnięcie”, jak przy gaszeniu świecy. Nirwana jest „niebem” zarówno dla Hindusów, jak i buddystów, chociaż liczne istniejące sekty mają różne zdanie na temat tego, czym ona jest i w jaki sposób się ją osiąga. Prawdopodobnie ma to nie być miejsce ani stan — ma znajdować się w nas wszystkich i czeka na to, by ją sobie „uświadomić”. Jest ona nicością, błogością wynikającą z tego, że nie jest się już w stanie odczuwać bólu ani przyjemności, co następuje przez zanik osobistej egzystencji dzięki wchłonięciu przez czyste Istnienie.

**NYASA** Ceremonialny akt przywoływania bóstwa do ciała wiernego przez umieszczanie dłoni na czole, ramionach, klatce piersiowej itd. i równoczesne powtarzanie mantry. Samo powtarzanie mantry ma na celu przekształcenie wiernego na podobieństwo bóstwa, które jest uosabiane przez wibrację lub dźwięk mantry. Zadaniem nyasy jest wzmocnienie tego procesu.

**PUJA** Dosłownie „adoracja, uwielbienie”. Zarówno słowo, jak i reprezentowana przez nie forma kultu są pochodzenia drawidyjskiego. Zostało przejęte jako termin określający wszelkie rytualne i obrzędowe formy kultu, takie jak na przykład aryjski zwyczaj składania ofiar ze zwierząt, połączony ze smarowaniem ołtarza krwią. W późniejszych latach, pod wpływem buddyjskiej zasady niestosowania przemocy, obrzędy te stopniowo ustąpiły drawidyjskim praktykom polegającym na ofiarowaniu kwiatów i naznaczaniu wiernych maścią z drzewa sandałowego.

Obok kwiatów, współczesne formy hinduskiej puja, odprawianej zarówno w świątyniach, jak i w domach prywatnych, zawierają na ogół ofiary z owoców, tkanin, wody i pieniędzy.

**RAMA** Wcielenie Wisznu; jego życie jest tematem epickiej Ramayany. Według Hindusów Rama postępuje zawsze z największą szlachetnością i jest ideałem mężczyzny; jego żona, Sita, jest ideałem kobiety. Wszystkie hinduskie sekty głęboko czczą Ramę, a jego imię jest imieniem najczęściej nadawanym hinduskim dzieciom. Każdy Hinduś pragnie umrzeć z imieniem Ramy na ustach. Mahatma Gandhi w chwili upadku po otrzymaniu śmiertelnej rany z rąk hinduskiego zamachowca wypowiedział słowa: „O Rama! O Rama!”

**RAMAYANA** Dosłownie „dzieje Ramy”, jeden z dwóch wielkich hinduskich poematów epickich, składający się z siedmiu ksiąg opowiadających o ludzkim życiu boga Ramy, wcielenia Wisznu. Prawdopodobnie w dużym stopniu przeredagowana przez buddyjskich autorów, pierwotnie miała kilka wersji; obecnie w Indiach powszechnie uznawane są trzy oficjalne wersje, różniące się od siebie w pewnych szczegółach.

**RIGWEDA** Najważniejsza i najbardziej czczona z czterech Wed (lecz nie najstarsza). Stanowi zbiór różnych starych legend, pieśni (mantr) i hymnów, podzielona jest na dziesięć ksiąg. Zawarte w niej hymny — najczęściej stereotypowe i suche, stanowią pochwałę wielu prymitywnych bogów przyrody. Jej modlitwy kapłańskie mają charakter egoistyczny i zmysłowy, rzadko wyrażają pragnienie duchowej mądrości, częściej są prośbą o wino, kobiety, bogactwo i władzę.

**SAMOUŚWIADOMIENIE (UŚWIADOMIENIE SOBIE WŁASNEGO JA)** Najwyższy cel wschodniej medytacji i Jogi, niezależnie od przypisywanej mu nazwy: uwolnienie od „iluzji”, że indywidualna jaźń jest różna od Jaźni Uniwersalnej, czyli Brahmanu. Przez niewiedzę człowiek prawdopodobnie zapomniiał, kim w rzeczywistości jest i dlatego uważa, że

jest kimś odrębnym od innych ludzi i Brahmanu. Przez samouświadomienie zostaje uwolniony od ignorancji indywidualnego istnienia i powraca do jedności z Brahmanem.

**SANDHYA** Bóg brzasku, nazwa nadawana także porannym, południowym i wieczornym modlitwom dwukrotnie narodzonego Hindusa (z kast powyżej kasty siudrów), w czasie których możliwie największą ilość razy powtarza się mantrę Gayatri, konieczną do utrzymania słońca na niebie i uzyskania zbawienia przez powtarzającą ją osobę.

**SANYASI** Religijny Hindus, który w czwartej fazie życia, wyrzekłszy się wszystkiego, znajduje się ponad wszelkimi zasadami i rytuałami, trzymając się z dala od społeczeństwa i obrzędów. Jeśli nie należy do żadnego specjalnego zakonu, lecz jest niezależny, może być nazywany sandhu — lub jeśli jest mistrzem Jogi, można nazywać go Jogiem.

**SHAKTI PAT** Termin używany dla określenia dotknięcia guru, który zazwyczaj dotyka ręką czoła wyznawcy, co wywołuje nadprzyrodzone skutki. Shakti znaczy dosłownie moc; wykonując Shakti pat guru staje się kanałem, przez który przepływa pierwotna moc — kosmiczna moc wypełniająca cały wszechświat, której uosobieniem jest bogini Shakti — małżonka Śiwy. Nadprzyrodzone działanie Shakti przez dotyk guru może powalić wyznawcę na ziemię; może on też ujrzeć jasne światło i doznać oświecenia lub wewnętrznej iluminacji, możliwe jest także przeżycie innych mistycznych lub psychicznych doświadczeń.

**SWAMI** Jest to sanyasi lub Jog należący do konkretnego religijnego zakonu. W praktyce termin ten jest często używany jako tytuł nadawany guru lub głowie zakonu.

**TASSA** Wielki obrzędowy bęben.

**TŁUSZCZ BAWOLI (KROWI)** Olejek wytwarzany z masła, stosowany do jedzenia i do celów obrzędowych, uważany za wielką świętość, ponieważ pochodzi od krów (bawo-lic) — najświętszych ze wszystkich stworzeń.

**UPANISZADY** Dosłownie „blisko siedzący”, nazwa nadana części pism hinduskich, zawierającej pewne mistyczne nauki, które na początku miały być przekazane przez starożytnych guru wybranym uczniom siedzącym blisko nich i pobierającym nauki. Pochodzą z roku około 400 p.n.e. i początkowo nie były uznawane za część kanonu wedycz-nego. Upaniszady zostały uznane za kanoniczne w czasach późniejszych.

Filozofia zawarta w Upaniszadach jest ezoteryczna i rozumiana przez niewielu ludzi. Omawiane są tu różnorakie zawikłane tematy począwszy od natury Boga i człowieka, a skończywszy na celu istnienia i ostatecznego

zbawienia. Upaniszady próbują rozwiązać wszystko przy pomocy jednej tezy, która często się w nich przewija: chodzi tu o jedność indywidualnej duszy (atman) z Duszą Uniwersalną (Brahman) oraz o podstawową jedność wszystkiego.

Jedno z najśłynniejszych sformułowań tej doktryny znajdujemy w nauce przekazywanej przez Uddalakę jego synowi Svetaketu w Upaniszadzie Chandogya: „Ta ledwo uchwytana istota rozplywa się wszędzie we wszystkich rzeczach. Jest to prawdziwe Ja; i — Svetaketu — ty nim jesteś!”

**WEDANTA** Dosłownie „najważniejsza, ostatnia albo najlepsza z Wed”. W najszerszym sensie odnosi się to do Upaniszadów; w węższym znaczeniu chodzi tu o jeden z sześciu ortodoksyjnych systemów filozofii hinduskiej opartego na Upaniszadach i po raz pierwszy sformułowanego przez filozofa Bodarayanę, który żył około 2000 lat temu. Wedanta jest bezkompromisowa w swoich monisty-cznych i panteistycznych poglądach; Brahman jest Wszystkim, jest jedyną Rzeczywistością; wszystko inne jest iluzją.

Towarzystwo Wedanty, założone przez Vivekanandę — następcę Ramakriszny, posiadające swoje ośrodki na całym świecie, głosi naukę o tolerancji dla wszystkich religii. „Jedność wszystkich religii” głoszona przez Towarzystwo nie wynika jednak w rzeczywistości z liberalizmu czy tolerancji, lecz opiera się na bezkompromisowym monizmie, mówiącym, że wszystko jest Jednością.

**WEDY** Podstawowe pisma hinduizmu, uznawane za większe od bogów, ponieważ będą trwać nawet po zniszczeniu bogów. Wierzy się, że są one objawieniem pochodzącym od samego Brahmanu — Absolutu i że od początku istniały w swojej wiecznej i doskonałej formie. W skład Wed wchodzi: Rigweda, Jadźurweda, Samaweda oraz Atharwa-weda. Wedy zostały wewnętrznie podzielone na cztery typy utworów: Mantry (metryczne hymny pochwalne), Brahma-ny (podręczniki obrzędów i modlitw pod przewodnictwem kapłana), Aranyaki (traktaty przeznaczone specjalnie dla pustelników i świętych) oraz Upaniszady (traktaty filozoficzne).

**WEDYJSKI JĘZYK** Język, w którym początkowo pisane były Wedy — archaiczna forma sanskrytu, zwana też staroindoaaryjskim. Przymiotnik „wedyjski” oznacza „zgodny z nauką lub przedstawiony w Wedach”.

**WYŻSZA ŚWIADOMOŚĆ** Istnieją różne „poziomy” świadomości osiągane przez Jogę i medytację, nazywane stanami „wyższymi”, ponieważ różnią się od normalnej świadomości człowieka i mają być doświadczane w drodze ku nirwanie. Różne szkoły wschodniego mistycyzmu definiują te stany w różny sposób. Typowe byłyby tutaj następujące stany: „świadomość

jedności", polegająca na doświadczaniu mistycznej jedności ze wszechświatem oraz „świadomość Boga", polegająca na doświadczeniu uczucia, że samemu jest się Bogiem.

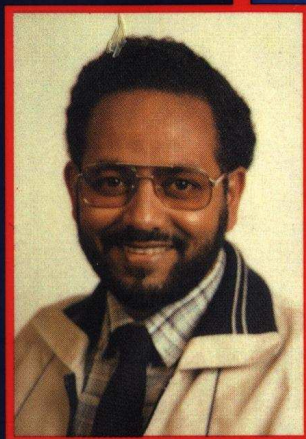
Podobnych „stanów świadomości" doświadcza się przez hipnozę, trans osiągany przez osoby będące mediami, niektóre narkotyki, obrzędy magiczne, czarnoksiężskie (voo-doo) itd. Wszystkie one wydają się być niewiele różniącymi się między sobą formami tego samego okultystycznego zjawiska.

NOWE,  
UZUPEŁNIONE WYDANIE  
CHWYTAJĄCEJ ZA SERCE  
AUTOBIOGRAFII

# ŚMIERĆ GURU

Rabi R. Maharaj jest potomkiem długiej linii bramińskich kapłanów i guru. Codziennie spędzał długie godziny na medytacji, lecz stopniowo w jego życie zaczęło wsączać się rozczarowanie. W naturalny i uczciwy sposób opisuje hinduskie życie i zwyczaje, idąc tropem swojego pełnego trudności poszukiwania sensu życia oraz walki o wybór między hinduizmem a Chrystusem.

W czasach, kiedy wschodni mistycyzm, religia i filozofia fascynują wielu ludzi na Zachodzie, Maharaj oferuje pełne świeżości i ważne obserwacje czynione z perspektywy jego własnego doświadczenia.



*"Unikalne świadectwo wewnętrznej walki  
Hindusa i odkrytego przez niego ostatecznego  
triumfu nad śmiercią.*

*Książka wyzywająca i inspirująca.  
To trzeba przeczytać."*

HAL LINDSEY

ISBN 83-00-03359-9